



N. 1



1807

BILO ERK
tytułu Badań
swackich PAN

Fig. archiwalny IBL

ROZRYWKI

Alfreda Henrykowska

WIECZORNE ROZRYWKI

przy

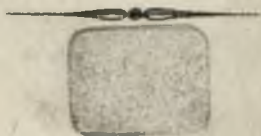
KOMINKU.

z

3 stalorytami

i

23 drzeworytami



POZNAN,

nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha.

1855.

<http://rcin.org.pl>



Spis rzeczy.

	Strona
Cybularka. (Z ryciną).....	1
Cygańska pociecha. (Z ryciną).....	3
Wołoch pilnujący winnicy. (Z ryciną).....	5
O rachubie czasu.....	7
Dwa kruki. Rzecz opowiadana przy stole wierującym, przez R. W. Berwińskiego.....	36
Reguły staropolskie.....	141
O wynalazku balonów.....	143



W. G. 1840. 1840.

W. G. 1840. 1840.

Cybularka

<http://rcin.org.pl>

Cybularka.

(Z ryciną.)

Co to za ładna na tym obrazku dziewczyna? Poznańczykowi, choć powiem, co mu już i w napisie powiedziałem, że to Cybularka, nie wiele mu jeszcze przez to wytłómaczę, bo ani w Poznaniu samym, ani w Poznańskim, nieznanym jest ten rodzaj cybulkowego przemysłu, którym nie tak dawno w Warszawie trudniły się, a może i teraz jeszcze się trudnią młode i czasem wcale ładne dziewczęta. Chodzą one po ulicach, po kuchniach prywatnych i publicznych garkuchniach i roznoszą cybulę, powiazaną jak paciorki jedna z drugą, i w kilku tak ponizanych sznurkach zawieszoną zwykle na prawem ramieniu, jak to obrazek nasz wskazuje. Nie jestto w prawdzie strój nazbyt uroczy; przyznać nawet trzeba, że czasem i to zwykle szpeci tylko wcale ładną dziewczynę i sprawia, że lew mody i elegant bałamut odwracają oczy i nos od najładniejszej nawet cybularki, chroniąc się starannie narkotycznego zapachu cybuli, którym każda z nich aż do zbytku przeperfumowana. Dla czegoż więc, zapyta tu może kto, nazbyt delikatnem powonieniem obdarzony, dla czegoż podawać obrazek i portret takiej nie salonowej piękności? Ach! szanowny rygorysto zapachów, odpowiem mu wtedy; przypatrz się tylko dobrze téj cybularce, której masz portret przed sobą. Jestto wcale niezwykła cybularka i niezwykła kobieta! Mniejsza o to, że ładna, a nawet, jeśli mam prawdę powiedzieć, bardzo ładna i miła; mniejsza o to! Lecz co ważniejsza i ciekawsza, że młoda ta dziewczyna zebrała sobie

bardzo piękny posąg i znaczny majątek na swoim cybulkowym przemyśle. Ale też miała i takt i rozum niezwykły. Nie po ulicach i kuchniach cybulę swoją roznosiła, lecz umiała się zawdy wywiedzieć o takich okazjach, przy których innym ludziom i na inny użytek sprzedawała swój produkt bardzo drogo. Jeżeli np. gdzie umarł jaki stryj bogaty, albo bezdzietny kawaler, a na pogrzeb zjechali się szczęśliwi po nim spadkobiercy, i potrzebowali choć jedną łzę w czasie mowy pogrzebowej dla przywoitości wysączyć, a zapłakać na żaden sposób nie mogli; wtedy nasza cybularka zbliżała się niepostrzeżona do najbardziej zakłopotanych i szeptała im po cichu do ucha: „dwa dukaty za jedną cybulkę!“ Dostawała zaś w takim razie zwykle i więcej. Czasem udawało jej się nawet i od samego mówcy coś dostać. Tak nieboszczyk Augustyn Wilkoński sam mi powiadał, że kiedy to razu owego, jak wszystkim wiadomo, złapała go, uchodzącego przed wexlami, szlachta parafialna na pogrzebie bogatego stryja, po którym spadek cały wzięść miała, a mówcy obywatelskiego przy grobie znaleźć nie mogła, i obiecała panu Augustynowi spłacić jego wexle, jeżeli dobrą powie mówkę; on wtedy przyjął ofiarę i z wielką pompą i uroczystością mówić zaczął; lecz w chwili najuroczystszej, kiedy słuchaczów do łez koniecznie miał wzruszyć, i wołać chciał na nich głosem tragicznym: „Płaczcie i zalewajcie się łzami głębokiego smutku, wy osieroceni i biedni!“ wtedy uśmiech złośliwy i sarkastyczny głos mu przerywał i usta wykrzywił. Tracił już przytomność i kontenans pan August, gdy niespodzianie wsunęła mu nasza cybularka małą cybulkę w rękę i wszystko jakby naraz ręką przewrócił. Mówca potarł oczy i zalali się łzami, zalali się krewni, zalali słuchacze! Mowę uznano za przewyborną! Wexle zapłacono. Cybularka dostała 6 dukatów. Lecz nie na samych tylko pogrzebach umiała ona tak dobre robić interesu. Jeżeli np. młoda, a zalotna żona wyprawiała z domu starego męża i krztusiła się przy pożegnaniu łkaniem, którego wykrztusić nie mogła, wtedy podsunęła się do niej z boku cybularka i szeptała: „Piękna pani, cztery dukaty za dwie cybulki!“ A czy myślicie, że jej choć raz odmówiono? Nic też przeto dziwnego, że mając tak znaczny, jak się spodziewać należy, odbyt na <http://biblioteka.org.pl> swoje cybulki i spieniężając je tak dobrze;

nie dziwnego, że się ta dowcipna cybularka wielkiego dorobiła posagu; a dorobiwszy się takiego posagu, nic i w tem dziwnego, że choć cybularka znalazła sobie wnet męża. Ale co może dziwnem zdawać się będzie, to ta osobliwość, że owym szczęśliwym mężem tej cybularki był ów nieszczęśliwy Cybulski, co to jak dawna powiada przypowieść i o czem też Mickiewicz pisze w Tadeuszu, przegrał żonę w karty. Tą przegraną żoną Cybulskiego była właśnie nasza Cybularka, jak ją na obrazku widzicie.

Teraz niech każdy powie, czy nie warto było dać ją poznać publiczności?

Cygańska pociecha.

(Z ryciny.)

„Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło!“ powiada polskie przysłowie. Cygańskie zaś przysłowie powiada całkiem przeciwnie: „Nie ma tego dobrego, coby na złe nie wyszło!“ — Powtórzył mi je raz jednego pewien Cygan, którego spotkał nie w Poznańskim, bo w Poznańskim Cyganów nie ma, ale za to są jeszcze w Galicyi, dokąd całemi hændami w pewnych porach roku przychodzą z Węgier. Tamto spotkałem raz owego Cygana, który mi to przytoczone przysłowie powiedział, a kiedym zgodzić się na nie niechciał i żądał bliższego objaśnienia, jał mi tak prawić: „Owa tak zwana oświata, owa cywilizacya, którą wy Poznańczycy tak bardzo chwalicie, cóż ona dobrego przyniosła nam Cyganom? Przerzebiła lasy i puszcze, w których dawniej Cygan tak się bezpiecznie ukrywał, a dziś zając się ledwie uchowa; poprostowała drogi i bite gościńce, pobudowała ostre i kamieniste żwirówki, po których bosa noga cygańska chodzić nie umie i nie może; urządziła czujną policyą i zaprowadziła nieludzkich żandarmów, z którymi plemie cygańskie nigdy się zgodzić nie potrafi; jedném słowem zrobiła wszystko, co tylko zrobić była mogła na naszą szkodę. Macie też dzisiaj swoją cywilizacyą, ale za to nie macie Cyganów. Nie ma więc tego dobrego, coby na złe nie wyszło!“

Uśmiechnąłem się na tę cygańską argumentację, i chciałem pesymistę mego przekonać, że to złe, które z cywilizacji wypływa, spada właściwie tylko na Cyganów, a to z własnej ich winy, bo gdyby oni pogodzili się ze społeczeństwem, któremu wojnę poniekąd dotąd wydają, gdyby się poddali warunkom porządku i pracy, bez których żadne towarzystwo ludzkie ostać się nie może, toby używać mogli tych samych korzyści, jakie innym ludziom uczciwym nastęrczają cywilizacja i oświata. „Co mi za korzyści!“ zawołał na to niepoprawny Cygan; „dziękuję za nie i kwituję z góry! Mam ja w cygańskim mojem życiu większe od was przyjemności i pociechy!“ „A to jakie?“ zapytałem zdziwiony i ciekawy. Cygan nic nie odpowiedział, wziął mnie tylko za rękę i zboczył z drogi na lewo do pobliskiego lasu. Tu gdyśmy przyszli, zatrzymał się w głębi zielonego jaru przed szalasem, na wejściu którego stara Cyganka gotowała przy rozpalonym ogniu spartańską zupę bez okrasz i soli; małe cyganie, jak to obrazek pokazuje, siedziało nagie i skulone na ziemi, jak małpeczka i bawiło się stłuczoną ojca fajeczką; a starszy brat tego małego, odziany podartymi kilku strzępami, które niegdyś były koszulą, wyniósł na żądanie ojca z szalasu stary klarynet i skrzypce. Ojciec skrzypce podstroił i usiadł, klarynet podał chłopcu i zaczęli grać. Dziwna to była muzyka! Jak żyję podobnej nie słyszałem! Jakieś się w niej odzywały głosy raz dzikie, namiętne, jakby wycie burzy; drugi raz rzewne i smętne, jak pamięć straconej ojczyzny. Cygan był prawdziwy w swoim rodzaju artysta! Grał na skrzypcach własnej roboty, jak ten, co pierwszy je wymyślił, a po oczach jego było widać, że całą duszą tonął w każdym tonie, który z nich smyczkiem wywodził. Kiedy nareszcie skończył, powstawszy z dumą, zbliżył się do mnie i rzekł: „A co, jaśnie oświecony panie, nie prawdaż

My choć chłodno i głodno,
Ale żyjem swobodno!“

Chciałem mu już odpowiedzieć, że prawda, ale mi nagle przyponniało się znowu przeciwne polskie przysłowie, które utrzymuje, że o głodzie nie chce się wojewodzie. Nic więc nie odpowiedziałem i dotąd jeszcze o tém myślę, który w tym razie ma słusność: czy Cygan, czy wojewoda?



Włoch

malowane przez J. K. Verelst

Włoch pijący wino

<http://rcin.org.pl>

Wołoch czatujący w winnicy.

(Z ryciną.)

Nie wszystko wszystkim znane jest i wiadome na świecie! A powiedzieć to trzeba nie tylko o samych cudownych i niepojętych dziełach Storzyciela, ale również czasami i o martwych, znikomych utworach rąk ludzkich. Nawet o marnych i znikomych! Dowód tego najlepszy mamy właśnie przed sobą w owym obrazku, który choć wcale nie jest marny i ładajaki, któż przecie od razu potrafi o nim powiedzieć, że wie co właściwie przedstawia? Powtarzam: *właściwie*, bo że to wołoski stróż winnicy, sam napis nam oznajmia. To przeto odgadnąć, nie byłaby żadna sztuka! Ale sztuką byłoby, a nawet wielką sztuką, gdyby kto bez mojej pomocy od razu wytłómaczył: na co on też w owej winnicy czatuje z takim wyteżeniem w oku, z taką zgrozą w ustach i w całej twarzy, z tą odwiedzioną w rękę i do wystrzału gotową jańczarką, z temi za pas zatkniętymi pistoletami? Niech mi to kto odgadnie! Tylko proszę, żeby się niektórym pozorom nie dał złudzić. Są zaś te pozory w niniejszym obrazku tak zwodnicze, że gdyby nie napis, który nam w owym stróżu poznać daje Wołocha, pewien jestem, że każdy, co choć raz w życiu widział druciarza w narodowym jego stroju, z klapiastym, okrągłym na głowie kapeluszem, z wełnianą bondą na ramieniu, z parcianemi łapciami na nogach; gotówby i tego stróża uznać za Słowaka, a idąc trochę jeszcze dalej w domysłach, gotówby może z jego odwiedzionej jańczarki, z pistoletów za pasem, z oszczepu przy nogach wyprowadzić wniosek, że to karpacki opryszek. Gruboby się jednak omylił, ktoby go brał za zbójcę. Zbójca albowiem żaden nie wygląda ani tak uczciwie, ani tak przyzwoicie! Żaden też nie wychodzi na zasadzkę przed chatę, ani w winnicy, jak nasz Wołoch, nie czycha na życie przechodzącego podróżnika. Nie opryszek to i nie zbójca — rzecz pewna! Któż więc jest i na czyjeż właściwie życie, skoro nie na życie bliźniego, czycha o nocnej porze tak uzbrojony? Na czyje czycha życie? Możeby kto gotów odpowiedzieć, że na owego lisa, co to w znanej każdemu bajce uznał z téj tylko

przyczyny winogrona za kwaśne i niedojrzałe, że za wysoko dla niego wisiały. Teraz, gdy znalazł nisko przy ziemi wiszące, chciałby ich pewno skosztować i skrada się ostrożnie; ale nie mniej ostrożny i przezorny Wołoch, czy Słowianin, gotów mu utrudnić tę próbę i poczęstować łakomca ołowianemi gronkami z jańczarki. I jabył może tak myślał, gdyby nie ów wyraz przerażenia i trwogi w spojrzeniu wołoskiego stróża — i gdyby nie ów rozpalony ogień, przy którym czatuje. Lis na ogień nie idzie! *Sat sapienti!* A choć nie wszystko nie wszystkim znane jest na świecie, to mądrzej głowie, dość na jednym słowie!

O rachubie czasu.

Myśl nasza dwiema drogami w nieskończoność bieży. Tam, przeszłość długie wypadków rozwijając pasmo do przedwiecznego wszechrzeczy prowadzi ją źródła; tu, przyszłość do wyższego lotu nowych sił dostarcza i ku ziemi obiecanej wiarą jój przyświeca. Lecz człowiek jedném pojęciem *Czasu* łączy i ogarnia obiedwie. *Czas* jest jak obraz; na jego tle wylana wieczność, uroczyista, niezglębiona, nieprzebrana; na jego widowni zmienne wszystko, ruchome jak ocean i jak pył znikome. *Czas* jest warunkiem i podstawą, początkiem i końcem wszystkiego. W jego dziedzinie krążą światy po niezbadanych firmamentu drogach, z jego łona jak strumień w coraz szerszy wznastający potok zawikłane ludzkości wytryskują dzieje; a życie ludzkie, co w ciągłych kroplach jak rosa wsiąka w tę ziemię, cały zakres tego życia, jego nicość i znaczenie, jego losy, sprawy i zamiary, to wszystko swém ramieniem opasuje czas!

Daremne przeto byłoby też poszukiwanie, komu wynalazek rachuby czasu przypisać należy. Sama potrzeba oznaczania minionych lub przyszłych zdarzeń zniewoliła zapewne już najpierwszych ludzi do podzielenia czasu na części pomniejsze za pomocą wspólnej i zrozumiałej wszystkim miary. Na-

tura nastręczała tę miarę. Niebo zarumienione na wschodzie, zwiastowało bliskość dnia; wnet słońce wstało na widnokręgu i jak ognista skazówka posuwało się wyżej i wyżej ku najwyższemu zagięciu niebieskiego łuku, gorzało tam przez czas niejaki, a pochyliwszy płomienne czoło, znów gasło na ziemskiej krawędzi; potem noc nadeszła i spoczęło stworzenie. Tak dnie i noce nieodmiennym postępując porządkiem, były miarą najkrótszych ustępów czasu, nie znano bowiem początkowo stosownego środka do oznaczania mniejszych jeszcze części i nie odróżniano nawet południa, które w naturze żadnym szczególnym nie objawia się znakiem. Dopiero po wynalezieniu gnomonu południe nabrało większego znaczenia i pewności. Pierwsze gnomony były to proste słupy lub inne tym podobne dość wysokie i pionowo ustawione przedmioty, których cień padała na równą ziemię. Uważano, kiedy śród dnia cień ta była najkrótszą, poczem wzdłuż niej pociągniono linię aż do podstawy słupa, tym sposobem otrzymano narzędzie, które dość wygodnie oznaczało południe, ile razy cień padała na ową linię. Podobnego gnomonu już na 600 lat przed Chr. używał Anaximander nie tylko do oznaczania południa, ale i do innych jeszcze astronomicznych spostrzeżeń, i wypośredkował za pomocą jego, że pochyłość ekliptiki *) wynosi stopni 24 **). Niepotrzebnie spór toczono o to, czyli obeliski pierwotnie służyły za gnomony; być może, że miały inne znaczenie, przecież można przypuścić, że dla niezwykłych rozmiarów i korzystnego nader stanowiska używano ich także do rozmaitych spostrzeżeń w astronomii, zwłaszcza u ludu, który się z wielkim zamięłowaniem téj nauce oddawał. Tyle jest pewnym, że za panowania cesarza Augusta niezmiernym kosztem trzy obeliski sprowadzono do Rzymu, z których jeden na 117 stóp wysoki, u szczytu opatrzony złotą galką stał na polu Marsowém i służył za skazówkę zegarowi słonecznemu

*) Przez ekliptikę rozumimy drogę, którą słońce w przeciągu roku na około ziemi *zdaje się* obiegać.

***) Pochyłość ekliptiki jest to kąt, który ona tworzy z płaszczyzną równika; wynosi teraz 23 stopnie, 27 min., 32 sek.; za czasów Anaximandra była wprawdzie o kilka minut większą, lecz nie dochodziła 24 stopni. Z tém wszystkiém zadziwiającym jest rezultat osiągnięty tak niedokładnym narzędziem!

olbrzymiej wielkości, pomysłu i wykonania astronoma Maniliusza. W nowszych czasach doskonałemi gnomonami słyneły Bononia, Paryż i Rzym, najlepszy jednak urządził roku 1468 Toscanelli w kościele katedralnym we Florencyi, który z taką dokładnością wskazuje chwilę południa, że możebny błąd nie dochodzi pół sekundy. Prawie równocześnie z gnomonem rozpowszechniły się zegary słoneczne. Na téj saméj zasadzie oparte tém się różnią, iż oprócz linii południowej, mają jeszcze linie odpowiadające pojedynczym godzinom, zazwyczaj od godziny 6tej z rana do 6tej po południu. Początki zegarów słonecznych sięgają bardzo odległych wieków; Żydzi używali ich już za czasów Hiskiasza, 700 przed Chr. (II ks. królów, 9—11). W Grecyi, Anaximenes z Miletu uchodzi za ich wynalazcę, lecz inni utrzymują, że je w 50tej Olimpiadzie (580 przed Chr.) sprowadzono z Babilonii. Ta sama niepewność zachodzi w Rzymie, gdzie według niektórych pisarzy L. Papirius Cursor pierwszy zegar słoneczny wystawił w roku 291; według innych zaś świadectw dopiero w trzydzieści lat później Marcus Valerius Messala przywiózł podobny zegar pomiędzy zdobytymi w Sycylii sprzętami i ustawił go w rynku obok mównicy.

Czém za dnia zegary słoneczne, tém w nocy były konstelacje. Nic nie wiemy o ich początku ani o pochodzeniu dziwaczných poczęści ich nazwisk, tylko wzmianki rozrzucone tu i owdzie po dziejach Chaldei, Egiptu i innych krajów świadczą wymownie, że je znano oddawna. Stary testament (w ks. Hiob) wspomina o konstelacjach Oriona, Wozu i Plejad! *) Rozmaite położenie, w którym ukazywały się względem ziemi, zmieniające się dość szybko i widocznie w przeciągu każdej nocy, naturalnym było środkiem do oznaczania godzin tą porą. Był to niejako zegar żywcem zdjęty z niebiosów. Każdy lud żyjący z naturą, nieosłabionemi jeszcze zmysłami przypatrując się zjawiskom, które go zewsząd otaczają, przywłaszcza je wyobraźni i używa ich po swojemu. Przecież i u nas nie jeden kmiotek podróżujący nocą, bez wszelkich narzędzi z gwiazd odczyta sobie godzinę i kierunek drogi. Co do nas to przez oświatę zaiste zyskaliśmy wiele, rozum wzbogaciliśmy nauką,

*) Kośnicy, Furman i Baby jak je lud wielkopolski zowie.

sztukami pięknymi wykształciliśmy zmysły, a legionem zbytków i wygod przemysł nas obdarzył, ale niewątpliwie zubożeliśmy w przywiązanie do natury i nie rozumiemy dziś jej żywej i gorącej mowy, bo serca nasze chłodzone teorią, nie zdołają pojąć natchnień jej płomienną duszy!

W czasie niepogody jednakże tak słońce jako i gwiazdy swój posługi odmawiały ludziom. Chwycono się przeto mechanicznych środków. Z dwóch naczyń kształtu lejkowego, w węższym końcu za pomocą małej szyjki połączonych, napełniono wierzchnie wodą i czekano póki ona przez ciasny kanał szyjki nie spłynęła w dolne. Zwyczajnie trwało to godzinę. Poczém przewrócono obadwa naczynia, tak że dolne wierzchniem się stało, przez co ściekanie wody rozpoczęło się na nowo. Proste te narzędzia klepsydrami zwane, wiele miały błędów i niedogodności, bo niedość, że szczególniej wymagały baczości aby nie chybić chwili stosownej do ich odwrócenia, ale nadto otwór pomiędzy naczyniami każdą zmianą ciepła to zwężany, to rozszerzany, wodę, której objętość z tej samej przyczyny także się zmieniała, bardzo nierówno przepuszczał, a ztąd i godziny równemi nie były. Piasek, którego później zamiast wody używano nie zapobiegał tym wadom. Pomimo to, w niedostatku lepszych narzędzi posługiwano się klepsydrami aż do początku XVI. wieku, w którym to czasie Piotr Hele w Norymbergii, a podług innych Izaak Habrecht w Strasburgu wynalazł zegarki kieszonkowe, lubo już dawniej, bo od połowy XI. wieku znano zegary poruszane za pomocą kółek, lecz te tak były niedokładne, iż prawie żadnego z nich nie zrobiono użytku. Nareście Huygens r. 1656 przez szczęśliwy pomysł zastosowania wahadła, mechanice zegarów nową uTOROWAŁ drogę. Teraz i astronomowie, którzy dotąd czas z ruchu ciał niebieskich mozolnie obliczali, śmieliej już podczas spostrzeżeń zegarom zaufać mogli. Teraz także porzucono zwyczaj odnoszenia wszelkich czynności publicznego i prywatnego życia do *czasu słonecznego prawdziwego* i na jego miejsce zaprowadzono jako normę *czas słoneczny średni*.*)

*) W astronomii rozróżnia się trojaki rodzaj czasu. Naprzód *czas syderalny* czyli *czas obrotu pierwszej sfery* (Tempus primi mobilis), powtórne, *czas słoneczny prawdziwy* (Tempus solare

Sztuka tymczasem nieustannie postępowała dalej. Wzbogacały ją liczne i coraz świetniejsze odkrycia. Z pracowni naj-sławniejszych mechaników wychodziły narzędzia nieznanéj dotąd doskonałości. Ale równocześnie wzrastały także ro-zszczenia astronomii a mianowicie żeglugi, dla której dobry zegar morski (chronometr) jest drugą po kompasie duszą. Anglicy lepiej niż ktokolwiek czuli nieskończenie ważne jego znaczenie. Parlament angielski wyznaczył przeto w r. 1714 10,000 funtów szterlingów nagrody za zrobienie chronome-tru, któryby przewożony w różne klimaty, w czasie sześciu miesięcy nad 2 minuty nie zblądził. Prócz tego wyznaczył

verum) i *czas słoneczny średni* (Tempus solare medium). Prze-ciąg czasu, od chwili w której jaka bądź gwiazda jast w połu-dniku pewnego miejsca, aż do chwili kiedy tęż gwiazdę po raz drugi ujrzymy w południku, obejmuje *dzień czasu syderalnego*. Jest to *właśnie jeden obrót* ziemi na około osi. Czas pomiędzy chwilą przechodu słońca przez południk, aż do tegoż momentu następującego dnia, wynosi *dzień czasu słonecznego prawdziwego* i zawiera nieco *więcej* aniżeli jeden obrót ziemi. W czasie roku te dni słoneczne nie są jednéj długości; zimą są *dłuższe* aniżeli latem, t. j. innemi słowy, gdybyśmy czas od południa do po-ludnia podzielili na 24 równych części, spostrzeglibyśmy natych-miast, że każda z tych części zimą większą jest niż latem. Téj nierówności, zegary mechaniczne, których wartość głównie polega na jednostajnéj regularności biegu, żadną miarą wskazywać nie mogą. Z tego powodu wymyślono *czas słoneczny średni*, którego pojedyncze części, na przykład dni, godziny i tam dalej przea-cały rok są między sobą równe i ten to czas bezpośrednio po-dają nam zegary. Długość dnia słonecznego średniego jest ary-tmetycznym środkiem u wszystkich dni słonecznych prawdziwych całego roku i przewyższa o $\frac{1}{365}$ długość dnia syderalnego, która wynosi 23 godzin, 46 minut, 4₀₀₁ sekund czasu słonecznego śre-dniego. Dzień słoneczny prawdziwy najdłuższym jest w końcu Grudnia, ma wtenczas 24 godz. i 30 sek., najkrótszym zaś w po-łowie Września, 23 godz. 59 min. 39 sek. Czas słoneczny praw-dziwy cztery razy w roku zgadza się ze średnim t. j. 14. Kwie-tnia, 14. Czerwca, 31. Sierpnia i 23. Grudnia; opóźnia się za nim w połowie Lutego o 14. min. 34 sek., wyprzedza go w po-łowie Maja o 3 min. 55 sek. opóźnia się za nim drugi raz przy końcu Lipca o 6 min. 9 sek. i znowu go wyprzedza na początku Listopada o 16 min. 16 sek. Co do dalszego, odśelamy cie-kawszych czytelników do tablic sprowadzenia czasu słonecznego prawdziwego na czas słoneczny średni, które się przy niniejszym znajdują kalendarzu.

jeszcze 2000 funtów szterl. jako wynagrodzenie za robione w tym celu doświadczenia i próby. Nikt się nie zgłosił, zdawało się, że sztuka doszła do kresu.

Parlament podwoił wyznaczoną summę w nadziei, że przecież ktoś to zadanie rozwiąże. Napróżno! Po kilkunastu latach nakoniec John Harrison, niepospolitych zdolności człowieka, po długiej i mozolnej pracy pierwszy chronometr w rzezonowanych warunkach wykończył w r. 1736; później zrobił trzy inne jeszcze doskonalsze, z których dopiero ostatni w r. 1764 uzyskał zadowolenie parlamentu i wyrobił mu 10,000 f. szt. jako połowę wyznaczonej nagrody.*) Temi czasy Breguet w Paryżu i Jürgensen w Kopenhadze wydoskonalili chronometry do najwyższego stopnia, i zdaje się w istocie, jakoby z tej strony sztuka dalej pójść nie zdołała. Jest to podziwienią godny owoc ludzkiej wytrwałości!

Powiedziawszy ile potrzeba było o narzędziach przeznaczonych do *sztucznego* mierzenia najmniejszych ułamków czasu, powróćmy do zjawisk, na których jego naturalny opiera się podział. Prawie wszystkie starożytne narody poczynały dzień wieczorem po zachodzie słońca, jak to dziś jeszcze widzimy u Żydów; Persowie tylko i Babilończycy nie trzymali się tego zwyczaju i wschód słońca za naturalniejszy uważali początek. Żydzi bardzo długo liczyli na całe dnie; po wygnaniu dopiero nauczyli się podziału na godziny od Babilończyków, którzy go według podań Herodota używali od dawna. Noc miała inny podział, na trzy, później na cztery straże i tylko czas od wschodu do zachodu słońca (t. j. dzień w ściślejszym znaczeniu) miał 12 godzin. Lecz godziny ich w ciągu roku bardzo były nierówne, gdyż różnica pomiędzy najdłuższym a najkrótszym dniem wynosi w Palestynie 4 godziny i 24 minut. Grecy, przed zaprowadzeniem zegarów słonecznych rozróżniali tylko rano, południe i wieczór, albo też dzielili dzień według zatrudnień: na dobę śniadania, na dobę zaludnienia się miejsc publicznych, zaprzągania bydła, zapalania

*) Drugą połowę otrzymał Harrison w roku 1772. W ogóle odebrał 24000 funtów od rządu angielskiego, a oprócz tego jeszcze kilka set funtów od kompanii indyjskiej, ale zmuszono go do wydania wszystkich chronometrów i ich rysunków.

światła i t. p. Ateńczykom długość własnej cieni służyła za zegar, i tak n. p. zapraszali do siebie przyjaciół na czas 5cio łokciowej cieni. U Rzymian w używaniu były, podobnie jak i u nas, dwojakie dnie: *dzień cywilny* (dies civilis), który się zaczynał o północy, i do którego się stosowały sprawy publiczne i *dzień naturalny* (dies naturalis), trwający od wschodu aż do zachodu słońca. Dzień cywilny nader niestosowny miał podział na następujące 16 części: 1) Media nox, 2) Mediae noctis inclinatio, 3) Gallicinium, 4) Conticinium, 5) Diluculum, 6) Mane, 7) Antemeridianum tempus, 8) Meridies, 9) Tempus postmeridianum, 10) Solis occasus, 11) Vespera, 12) Crepusculum, 13) Prima fax, (primae tenebrae), 14) Concubium, 15) Intempesta nox, 16) Inclinatio ad mediam noctem. Południe w główniejszych częściach miasta ogłaszano publicznie. Dzień naturalny dzielono na cztery doby odpowiadające naszym godzinom 6tej, 9tej, 12tej i 3ciej, a w nocy miano inne cztery, oznaczane jako vespera, media nox, gallicinium, conticinium albo téż mówiono zwyczajem wojska, prima, secunda, tertia, quarta vigilia, z których każda mniej więcej trwała czwartą część nocy. Zegary słoneczne i klepsydry całej tej rachubie położyły koniec. Obecnie wszystkie oświecone narody dzielą dzień na 24 godzin, licząc dwa razy od 1szej do 12tej; godzinę dzielą na 60 minut, minutę na 60 sekund. Początkiem dnia jest północ. Inną jednakże jest rachuba astronomów; ażeby bowiem spostrzeżeń jednej nocy nie rozkładać na dwie daty, zaczynają dzień od południa i liczą godziny jedną kolejną aż do 24tej. Tym sposobem spóźniają się o pół dnia za zwyczajną rachubą; tak n. p. dnia 3. Stycznia 10ta godzina przed południem, astronomicznie oznaczona jest dnia 2. Stycznia 22gą godziną.

Połączenie siedmiu dni w tygodzień od najdawniejszych czasów wielu ludom było właściwe. W Chaldei, Egipcie, Arabii, w Chinach, u dawnych Indyan, a nawet u starożytnych Peruwian spotykamy się z tygodniem. Biblijna tradycja wyraźnie wspomina, że Bóg w sześciu dniach świat stworzył, a siódmego spoczywał. Mimo tak odległego początku, zdaje się jednak, że Żydzi dopiero podczas swego pobytu w Egipcie skład tygodnia poznali; Herodot przynajmniej Egipcyanom wynalazek tej rachuby przyznaje, a Dio Cassius nietylko to

potwierdza, ale nadto wyjaśnia nam, jakim porządkiem dnie poświęcone planetom nazwiska ich nosiły. Egipcyanie znali siedm planet, najodleglejszy z nich Saturn według ich wyobrażeń był najpierwszym i najdoskonalszym, drugim był Jowisz i tak następowały Mars, Słońce (liczone do planet), Wenera, Merkury i księżyc. Mniemali oni, że nad każdą godziną panuje jeden planeta z kolei. Jeśli więc nad pierwszą godziną dnia panował Saturn, natenczas siódmą opiekował się księżyc, ósmą znów Saturn i tak dalej licząc łatwo dojść, że 24ta, t. j. ostatnia dnia godzina, dostała się pod rządy Marsa, a 25ta czyli pierwsza drugiego dnia, z porządku przypadała Słońcu i t. d. Każdy dzień od planety, który nad pierwszą panował godziną, przybierał nazwisko. Saturn jako najdoskonalszy, stał na czele i rozpoczynał tydzień; dzień jemu poświęcony odpowiada naszej sobocie. Wskazany co tylko sposobem łatwo oznaczyć dnie i ich następstwo w tygodniu.

Ten system niezmienny w niczem dostał się później z Aleksandryi do Greków i Rzymian, którzy przedtem tygodnia z siedmiu dni nie mieli, chociaż w Rzymie podobny okres o jeden tylko dzień dłuższy *Nundinae* zwany, w powszechnym był użyciu. Rzymskie nazwiska dni w tygodniu są: dies Saturni (sobota), dies Solis (niedziela), dies Lunae (poniedziałek), dies Martis (wtorek), dies Mercurii (środa), dies Jovis (czwartek), dies Veneris (piątek). Nazwiska te rozeszły się po wszystkich krajach zostających pod rzymskim panowaniem, i dla tego teraz jeszcze u ludów całej prawie południowej Europy, lubo duchem ich języka rozmaicie przekształcone, istnieją z tą odmianą, że zamiast dies Saturni i dies Solis, położono nazwy Sabbath i dies dominica (dzień pański) także wielokrotnie naginane. *) Lalande i Ideler utrzymują,

*) Do porównania posłużyć może zestawienie tych nazwisk w czterech językach

łacińskie	włoskie	hiszpańskie	francuskie
dies Dominica	Domenica	Domingo	Dimanche.
„ Lunae	Lunedì	Lunes	Lundi.
„ Martis	Martedì	Martes	Mardi.
„ Mercurii	Mercodì	Miercoles	Mercredi.
„ Jovis	Giovedì	Jueves	Jedi.
„ Veneris	Venerdì	Viernes	Vendredi.
Sabbath	Sabbato	Savado	Samedi.

że 4 główne odmiany księżyca, trwające po $7\frac{3}{8}$ dnia, były powodem do ustanowienia tygodnia; niepodobna atoli dociec rzeczywistego jego pochodzenia, dość, że na całej kuli ziemskiej ludy najróżniejszych wyznań, niezgadzające się bynajmniej w rachubie czasu, po sześciu dniach pracy siódmy poświęcają służbie Bożej i spoczynkowi. Jest to jakoby jedno ze wspólnych ludzkości znamion.

Tém niezawodnie księżyc jest źródłem miesięcy *) znanych od niepamiętnych czasów. I w istocie nie trudno było dostrzedz, iż równą zawsze była ilość dni upływających od nowiu do nowiu. Każda taka *lunacya* (*lunatio*) jak się czas ten zowie, kończyła się regularnie pomiędzy 29 a 30tym dniem, (dokładnie nie umiano tego w początkach oznaczyć) i stanowiła naturalny miesiąc, który jednak miał tę niedogodność, że z ułamkiem dnia się kończył. Ażeby tego uniknąć, zaokrąglano miesiące, dając albo wszystkim po 30 dni, jak czynili Egipcyanie i początkowo Grecy; albo też dwie lunacye mające razem 59 dni (i $1\frac{1}{2}$ godz.) rozkładano tak, że miesiące miewały na przemian po 29 i 30 dni; był to środek nieco lepszy, którego trzymali się Żydzi, Turcy i Chińczycy. Ale ani jedno ani drugie nie zdołało utrzymać rachuby przez dłuższy czas w zgodzie ze zjawiskami nieba. *Synodyczny* **) obrót księżyca czyli *jedna* lunacya trwa rzeczywiście 29 dni, 12 godzin, 44 min. i 3 sek. W pierwszym więc razie każdy miesiąc o 11 godz. 16 min. był za długi, w drugim co dwa miesiące liczono 1 god. 28 min. za mało. Gdy będzie mowa o roku, zobaczymy jakimi sposobami usiłowano sprostować błąd bardzo znaczny, który z tej rachuby pochodził.

Pojedyńcze dni miesięcy oznaczano albo samą tylko bieżącą liczbą, albo dołączano jeszcze tygodniowe ich nazwisko, tak zupełnie jak i my czynimy. U Persów dni miały imiona aniołów, do których należały słońce i księżyc. Oso-

*) Lud nasz nawet księżyc miesiącem nazywa, a i niemieczie Mond i Monat niezaprzeczenie z jednego wyszło źródła.

**) *Synodyczny* obrót dla tego tak nazwany, że wtenczas słońce, ziemia i księżyc do jednej linii się schodzą (*συνοδεῖω*, zgrupowują się). Jest z resztą wiadomą rzeczą, że w czasie nowiu lub pełni te trzy ciała znajdują się koniecznie w kierunku linii prostej.

bliwszém urządzeniem odznaczały się miesiące u Rzymian i dla tego pomówimy o nich obszerniej. Pierwszy dzień miesiąca przypadał zawsze z nowiem księżyca; wywołanym był publicznie i dla tego nazywał się „*Calendae*“ *). Prócz tego ogłaszano jeszcze dwa dni w miesiącu, t. j. 18ty przed następującemi kalendami rozróżniany jako „*Idus*“ i od tegoż wstecz licząc dziewiąty „*Nonae*“ nazwany. Później ten porządek odmienił się nieco. W skutek różnych postanowień niektóre miesiące otrzymały po 31 inne po 30 a Februariusz tylko 28 dni. Przez to w miesiącach Martius, Majus, Quintilis i October przypadały Idus 15go, w innych miesiącach już 13go dnia po pierwszym. Upływało więc między dniem Idus a następującemi kalendami niekiedy 19, 18, a nawet 16 tylko dni. Równie i Nonae w wymienionych czterech miesiącach były siódmym, w innych zaś piątym dniem po kalendach. Z téj to przyczyny uroczyste obwoływanie kalend poświęconych Junonie brzmiało w miarę ich czasu: *Septies*, lub *Quinquies te calo Juno novella*. Dnie pomiędzy temi trzema głównemi zawarte wyrażano liczbami wstecznym porządkiem: XIX, XVIII, XVII i t. d. Calendarum, VIII, VII, VI i t. d. Iduum, VI, V i t. d. Nonarum, wskazując tym sposobem ile jeszcze dni niedostawało do jednego z głównych **); dzień zaś bezpośrednio go poprzedzający odróżniano przez wyraz „*Pridie*“ i mówiono jak wypadło, Pridie Calendarum, Iduum, Nonarum. Tyle tymczasem o znaczeniu i wewnętrznym składzie miesięcy. Są one tak ściśle połączone z historią i rachubą roku, że jeszcze dość często mówić nam o nich wypadnie.

Mniej ustalone lecz o wiele rozmaitsze są *porę roku*. Winniśmy jednak przedewszystkiem poznać różnicę pomiędzy *fizycznemi* porami roku, jakie widzimy w naturze, a *astronomicznemi*, które nam podaje kalendarz. Jedne i drugie zawisły wprawdzie od położenia ziemi do słońca, lecz zmiany

*) (Calo, wołam). Rzymskie Calendae było to coś nakształt naszych zapust; bawiono się hucznie i wesoło, a jednak mówiono o nich „*Calendae tristes*“ — był to termin płacenia długów i procentów. — Prawda, że zapusty!

***) Podobnej rachuby sami używamy czasem; zamiast n. p. powiedzieć „26. Grudnia“, mówimy „mamy jeszcze 5 dni do Nowego roku“ i t. p.

stopniowej, której to położenie w każdej chwili doznaje, na zwyczajnej drodze zmysłami dostrzedz nie zdołamy; sądzimy o niej tylko przez oczywiste różnice w stanowisku słońca i wpływ, który ono wywiera na organiczne życie. *Fizyczne pory roku*, jedne w drugą przechodząc nieznacznie, minęłyby niepostrzeżone, gdybyśmy doświadczeniem pouczeni, nie poznawali ich za pomocą pewnych zjawisk im tylko właściwych. Lecz te zjawiska n. p. przelot ptaków, zakwitanie roślin i t. p. same zależą od temperatury powietrza i wielu innych przypadkowych okoliczności, i nie powtarzają się z tą regularnością, ażeby na nich nieomylną miarę czasu uzasadnić można. Tak pojmowane pory roku, jako skutek zewnętrznych i po części miejscowych przyczyn, są więc tylko wyrazem naszych wrażeń i dla tego ani *ogólnego* znaczenia, ani też *stałych* granic mieć nie mogą; chyba że pójdziemy wbrew naturze i zrobimy przedział tam, gdzie go nie masz. Nadto jeograficzne położenie krajów, bliskość morza, góry i w ogóle cała nieskończenie urozmaicona formacja ziemi, w rozlicznych cieniach odmieniają pory roku co do czasu, miejsca i własności. W klimatach gorących, gdzie po kilku miesiącach ustawicznych i ulewnych deszczów, tuż następują równie długie susze i upały, i w krajach polarnych, gdzie dnie najsroźszych mrozów stykają się prawie z krótkim lecz gorącym latem, dwie pory roku tylko są znane. Tam zaś, gdzie zmiany te są mniej gwałtowne i przejścia łagodniejsze i dłuższe, jak w krajach stref umiarkowanych, tam powszechnie rok ma cztery pory. Wreszcie cały ten podział jest dość dowolny; żydzi w Azyi mniejszej n. p. mieli sześć pór roku, czyli: czas zasiewu, czas dżdżysty, zimę, czas żniwa, lato i czas upałów. Hezyod wspomina tylko o czasie żniwa i czasie órki; późniejsi dopiero pisarze greccy rozróżniają pory roku do naszych podobne.

Astronomiczne pory roku żadnego związku nie mają z tém, co się dzieje na powierzchni ziemi, ale odnoszą się raczej do czterech punktów nieba. Ekliptyka w dwóch przeciwnych punktach równik przecina, w dwóch innych o 90 stopni od tamtych odległych oddala się od niego, raz ku północy, drugi raz ku południu o 25 $\frac{1}{2}$ stopnia. W każdym z tych punktów słońce znajduje się raz w roku. W *pierwszym* około 20. Marca i *trzecim* około 22. Września, czyli z początkiem

wiosny i jesieni widzimy słońce na wysokości równika, pierwszy raz w znaku Barana, drugi raz w znaku Wagi. Na całej ziemi wtenczas dzień i noc zarówno po 12 godzin mają i dla tego nazywamy tamto *wiosennem* a to *jesiennem porównaniem dnia z nocą* (Aequinoctium vernum, aeq. autumnale).

Lato zaczyna się, gdy słońce jest w *drugim* punkcie ekliptiki, w znaku raka, a zatem w *najmniejszem* od naszego punktu pionowego oddaleniu; dzieje się to około 21. Czerwca. Na północnej połowie ziemi dzień teraz jest najdłuższy, noc najkrótsza. Czas ten zowie się *latowym nawrotem słońca* (solstitium aestivum), gdyż odtąd słońce znowu ku równikowi nawracać poczyna. Nakoniec około 21. Grudnia widzimy słońce w *czwartym* punkcie, w znaku Koziorożca; teraz przeciwnie od naszego punktu pionowego najbardziej oddalonym będąc, sprawuje, że noc jest najdłuższą a dzień najkrótszy; to jest *zimowy nawrót słońca* (solstitium hibernum) i początek *zimy*. Na północnej półkuli

zima	trwa	89 dni	1 godz.
wiosna	„	92 „	22 „
lato	„	93 „	14 „
jesień	„	89 „	17 „

Zanim dalej postąpimy, chciemy się pierw porozumieć, co właściwie nazywamy rokiem. Przypuściwszy dla ułatwienia, że ziemia w miejscu nieruchoma stoi, a słońce w koło niej porusza się, *rokiem słonecznym* nazwiemy czas potrzebny słońcu do wykonania jednego obiegu na około ziemi. Ale jak długim jest ten czas, czyli po ilu dniach powraca słońce do punktu, od którego liczyć poczęto i jakże oznaczyć ten punkt na drodze, po której ani z miarą w rękę chodzić, ani znamion granicznych kłaść nie można? Gwiazdy położone wzdłuż drogi słonecznej są wprawdzie wyborym i dziś jeszcze jedynym ku temu środkiem; słońce toczące się od jednej do drugiej, obiegłszy wszystkie, powraca do tej, którą za pierwszą uznano, ale zastosowanie tak prostego prawidła do praktycznej rachuby czasu nader wielkim ulega trudnościom. Wszystko tu zależy na najściślejszem oznaczeniu chwili powrotu słońca do tej samej gwiazdy, za pomocą najakuratniejszych i dla pewności wielokrotnie powtarzanych spostrzeżeń, których bez doskonałych narzędzi wykonać niepodobna. Tu bowiem ka-

ždy błąd, choćby nieznaczny od razu, lecz powtarzający się corocznie, powiększa się coraz bardziej i nareszcie po dłuższym lub krótszym czasie bardzo wielką pomiędzy biegiem słońca a rachubą roku uczyni różnicę. Starożytne narody nie miały ani potrzebnych narzędzi, ani dosyć w astronomii doświadczeń, aby tak znacznym trudnościom podołać. Zjawiska, o których mówiliśmy przy porach roku, były im wskazówką, że inny rok się zaczął, ale o dokładném oznaczeniu jego długości nie można było myśleć. Przez przybliżenie wiedziano tylko dość ogólnie, że rok ma około 360 dni. Ta niepewność była powodem, że niektóre ludy nie zważały na słońce i stosowały się do księżyca, jako najprostszego środka rachuby. Z dwónastu lunacyi (po $29\frac{1}{2}$ dnia) utworzono *rok księżycowy*, zawierający przeto dni 354. Porównany ze słonecznym, rok księżycowy o 11 dni jest krótszy i dla tego początek jego przechodzi co dwa lub trzy lata w inny miesiąc słonecznego roku. Przykład lepiej to objaśni. Dajmy na to, że rok księżycowy i słoneczny zaczęły się razem dnia 1. Stycznia, natenczas z 354 dniem t. j. 20. Grudnia naszej rachuby, czyli 11 dni przed końcem słonecznego roku, rok księżycowy upłynie. Odtąd licząc, po drugich 354 dniach, czyli już 9. Grudnia przypadnie koniec drugiego księżycowego roku, 28. Listopada koniec trzeciego i t. p. przez wszystkie miesiące, co rok 11 dni rychlej. U kilku nakoniec ludów nie troszczono się bynajmniej ani o słońce ani o księżyc, ani o żadną zgoła zasadę w podziale czasu. Poco tyle mozołu, kiedy można było daleko wydatniej jednym zamachem sprzątnąć wszystkie trudności. Połączono więc dowolną zupełnie liczbę miesięcy w jeden okres i nazwano go rokiem. Rozumie się, że rok taki na żadném przyrodzoném nie oparty prawie i zależący li od woli pojedynczych ludzi, nigdy też głębszego nie mógł mieć znaczenia.

Przypatrzymy się teraz nieco bliżej rachubie lat niektórych ludów, a zrozumiemy tém lepiej naszą własną, która kształcona stopniowo, przyswajając sobie dobre zasady poprzedników, prostując co złe i błędne, dopiero po wielu udoskonaliła się wiekach.

Przedewszystkiém jednakże wiedzmy, że rok słoneczny zawiera 365 dni, 5 godzin, 48 minut, 44 sekund. Te

liczby gdy ciągle mieć będziemy na uwadze, łatwiej w każdym przypadku wielkość błędu i jego skutki poznamy.

Rachuba *Egipcyan* głównie opierała się na biegu słońca. Ich rok składał się początkowo tylko z 360 dni, skoro się jednak przekonano, iż to nie wystarcza, dołączono do nich jeszcze dni pięć. Miesiące było 12: Thoth, Phaophi, Athyr, Chojak, Tybi, Mechir, Phamenoth, Pharmuthi, Pachon, Payni, Epiphi, Messori, z których każdy miał po dni 30, a owe 5 dni dodawano dopiero na końcu roku. Corocznie około czasu, w którym Syryusz (najjaśniejsza gwiazda w konstelacyi Psa Większego) przysłonecznie*) wschodził, poczynały także wznosić wody Nilu**). Z tej przyczyny wschód Syryusza największem dla Egiptu był zjawiskiem. Wydarzał się regularnie po upływie słonecznego roku. Ale że rok Egipcyan, mający tylko 365 dni, o 6 godzin blisko był za krótki, co po czterech latach czyniło dzień różnicy, przez to i wschód Syryusza opóźniając się o tyleż, co cztery lata przechodził na następujący dzień kalendarza, i nie przypadał na tę samą datę, aż znowu po 1460 latach, przeszedłszy wprzód kolejno wszystkie 365 dni roku. Okres ten od konstelacyi Psa Większego nazwany *peryodem kanikularnym* (Periodus canicularis vel sothiaca) zaczynał się z rokiem, w którym Syryusz dnia 1. Thoth pierwszy raz wschodził o świcie i służył do obliczania czasu wzbierania Nilu w innych latach. Dowolnie zaś zaprowadzonemi były: okres Apisa, lat 25, i peryod Fe-

*) Jeśli gwiazda, która przez dłuższy czas dla bliskości słońca niewidzialną była, pierwszy raz znowu, porównano z niem wchodząc, ukazuje się, natenczas nazywa się to jój przysłonecznym wschodem (Ortus heliacus).

***) Szczególniejsza jest, że greckie nazwisko Nilu, *Νεῖλος*, w głoskach swych zawiera liczby, których summa odpowiada liczbie dni egipskiego roku.

$$N = 50$$

$$E = 5$$

$$I = 10$$

$$A = 30$$

$$O = 70$$

$$\Sigma = 200$$

nixa, lat 500, które astronomicznego znaczenia nie miały. Znali Egipcjanie dostatecznie swój błąd popełniany w rachubie roku, ale nie chcieli mu zaradzić, ażeby w niczem nie naruszać nadewszystko im ważnego porządku dni świątecznych.

Po nieszczęśliwej bitwie pod Actium Rzym nową Egipctowi narzucił rachubę czasu, tém tylko różniącą się od dawniejszej, że po upłynieniu znanych nam już miesięcy, przez trzy lata dodawano 5, każdego czwartego zaś roku 6 dni, przez co i przysłoneczny wschód Syryusza tego samego dnia przypadał corocznie. Pierwszy dzień tej nowszej rachuby odpowiada 29. Sierpnia r. 30 przed Chr.

Greków usiłowaniem było urządzić kalendarz, któryby ważną dla nich rachubę na lata księżycowe z biegiem słońca pogodził. Trudne to zadanie wielokrotnie zatrudniało ich astronomów. Głównie chodziło o to dowiedzieć się, ilu potrzeba było *całych lunacyi* do utworzenia *okrągłej liczby lat słonecznych*. Z razu przyjęto, że dwa lata słoneczne*) zamykają w sobie 25 lunacyi, które tak podzielono, że pierwszy rok miał 12, drugi 13 miesięcy. Ta rachuba „*Trieteris*“ nazwana, nie trwała długo. Znaczny jój błąd tyle narobił pomieszania, że Solon rozporządził, aby nie uważać na słońce i zatrzymać nadal zwyczajne lata księżycowe. Tym sposobem przynajmniej na niejaki czas przywrócił porządek. — Nieco później pokuszono się na nowo o porównanie kalendarza ze słońcem. Za radą astronoma Kleostratesa zaprowadzono okres z 8miu lat złożony; trzeci, piąty i ósmy rok miały po 13 miesięcy czyli 384 dni, pozostałe pięć były lata księżycowe zwyczajne. Cały okres dobrze porównany ze słońcem, względem księżyca chybiał o $1\frac{1}{2}$ dnia i dla tego wkrótce potem nowy nieporządek powstał w kalendarzu. Nareszcie Meton Ateńczyk, 1,430 przed Chr. ustanowił tyle wslawiony i w części dziś jeszcze w naszej rachubie kościelnej pod nazwą złotój liczby używany 19to letni okres. Według niego 6940 dni**) zgadzało się prawie zupełnie z 19tu latami słonecz-

*) Długość słonecznego roku oznaczono przytem na 365 dni i 6 godzin. Nadmieniamy tu, iż błąd ten popełniano aż do czasów reformy kalendarza przez papieża Grzegorza XIII.

**) Meton wiedział, że błądzi względem słońca o 6 a względem księżyca o $7\frac{1}{2}$ godzin, lecz przyjęcie 6940 dni dla tego było

nemi jako i z 235 lunacyami; różnica wynosiła tylko $1\frac{1}{2}$ godziny. Osiągnął więc czego szukano oddawna, t. j. *pewną liczbę całych lunacy, równających się długością czasu pewnej ilości całych lat słonecznych*. Dalej ułożył 235 miesięcy częścią po 29, częścią po 30 dni i podzielił je na 19 lat, z których 7 otrzymało po 13, reszta zaś jak zwyczajnie po 12 miesięcy. W ogóle było: 8 lat po 354, 4 lata po 355 i 7 lat po 384 dni. Ku łatwiejszemu pomiarkowaniu się w tej dość zawikłanej rachubie, udzielamy tu w całości kalendarz Metona, tym kształtem, którym go podaje niemiecki chronolog Ideler.

koniecznym, iż praktyczna chronologia wszelką miarę czasu jedynie w *całych liczbach* wyraża. Na tém także zasadza się *rachuba cykliczna*, która zawsze podaje ilość *całych* tylko dni zawartych między dwoma peryodycznie powtarzającemi się zjawiskami, a błąd pochodzący z zaniedbania ułamków prostuje wtedy dopiero, gdy ich summa wystarcza do utworzenia jednej lub kilku całości. Tym sposobem powstają dłuższe lub krótsze okresy czasu. Znany powszechnie czteroletni okres, w którym rok przestępny o *tyle* jest dłuższy, o *ile* 3 lata zwyczajne *razem wzięte* są za krótkie, jest przykładem cyklicznej rachuby. *Rachuba astronomiczna* tém się od niej różni, że w każdym razie najmniejsze ułamki czasu bezpośrednio uwzględnia, jest przeto o wiele dokładniejszą, ale do potrzeb codziennego życia zastosowaną być nie może.

LATA OKRESU.

Miesiące.	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	10.	11.	12.	13.	14.	15.	16.	17.	18.	19.
Hekatombaeon ..	30	29	30	30	30	30	29	30	30	30	29	29	30	30	30	29	29	30	30
Metagitnion	30	30	29	29	30	29	30	29	29	29	30	30	29	29	29	30	30	29	29
Boëdromion	29	29	30	30	29	30	29	30	30	30	29	29	30	30	30	29	29	30	30
Pyanepsion	30	30	29	29	30	30	30	29	29	30	30	30	29	29	29	30	30	29	30
Maemakterion	29	29	30	30	29	29	29	30	30	29	29	29	30	30	30	29	29	30	29
Poseideon	30	30	29	29	30	30	30	29	29	30	30	30	29	29	30	30	30	29	30
Poseideon II. (mies. przystęp.)	—	—	30	—	29	—	—	30	—	—	30	—	30	—	—	29	—	—	29
Gamelion	29	30	29	30	30	29	29	29	30	29	29	29	29	30	29	30	29	30	30
Anthesterion	30	29	30	29	29	30	30	30	29	30	30	30	30	29	30	30	30	29	29
Elaphebolion	29	30	30	30	30	29	30	29	30	29	29	29	29	30	29	29	29	30	30
Munychion	30	29	29	29	29	30	29	30	29	30	30	30	30	29	30	30	30	29	29
Thargelion	29	30	30	30	30	29	30	30	30	29	29	30	29	30	29	29	29	30	30
Skirophorion	30	29	29	29	29	30	29	29	29	30	30	29	30	29	30	30	30	29	29
Dnie roku	355	354	384	354	384	355	354	384	354	355	384	354	384	354	355	384	354	354	384

<http://rcin.org.pl>

19 lat = 235 miesięcy = 6940 dni.

Urządzenie to z wielu względów dogadzało Grekom, bo niedość, że każdy miesiąc zaczynał się od nowiu, ale nadto co 19 lat w tym samym porządku powtarzały się zaćmienia słońca i księżyca i na ten sam dzień znowu przypadało wiosenne porównanie dnia z nocą. Dla tego wszystkie państwa Grecyi i wiele innych narodów, których rachuba czasu polegała na biegu księżyca, z niektórymi odmianami co do układu i nazwisk miesięcy kalendarz Metona przyjęły. Wszakże pomimo tylu korzyści mały jego błąd sprawił, że już po 100 latach nie zgadzał się z zjawiskami nieba. Kalippus roku 331 zaprowadził nową rachubę. Dołączył 4 okresy Metona, a odtrąciwszy od nich jeden dzień, utworzył peryod 76 letni *), względem księżyca o 6 godzin tylko za długi. Było to ostatniem ulepszeniem greckiego kalendarza.

Czteroletnie olimpiady dowolnie zupełnie ustanowione były na pamiątkę olimpijskich igrzysk i z rachubą roku żadnej nie miały styczności.

Inaczej rozwijała się rachuba czasu u *Rzymian*. Romulus ustanowił rok z 304 dni złożony. Z dziesięciu miesięcy Martius, Aprilis, Majus, Junius, Quintilis, Sextilis,**) September, October, November i December, 4 miały po 31 a sześć po 30 dni. Rok taki nie odnosił się ani do słońca ani do księżyca. Dla tego Numa dodał im jeszcze dni 57 i utworzył dwa nowe miesiące Januarius i Februarius, któremi rok się kończył. Ażeby tę rachubę za pomocą wtrącania (intercalatio) potrzebnych jeszcze dni porównać z biegiem słońca, dość nieszczęśliwie użyto ośmioletniego okresu Kleostrata i dodawano pod nazwą *Mensis Mercedonius* co dwa lata po 23. Lutego, raz 22, drugi raz 23 dni; ale że rok Numy zawierał dzień więcej niż zwyczajny rok księżycowy, przeto i błąd już dość znaczny w Grecyi o 8 jeszcze dni powiększył się w Rzymie. Wielki ztąd nieład powstał w kalendarzu; ażeby mu zaradzić, poczyniono kilka niestosownych odmian i tém pogmatwano go do reszty. Tak zbalamuconą zupełnie rachubę czasu

*) $4 \times 6940 - 1 = 57658.$

$76 \times 365 \frac{1}{4} = 57759.$

**) Quintilis i Sextilis ku uczczeniu pamięci Cezara i Augusta otrzymały później nazwiska Julius i Augustus.

oddano augurom, i nie wiele pytając o środki, pozwolono im w kalendarzu czynić odmiany dowolne. Ta „*licentia intercalandi*“ była hasłem do niesłychanych nadużyć. Augurowie porozumiewawszy się z najwyższą władzą w kraju, a częściej jeszcze własnym powodowani interesem, przedłużali i skracali rok według woli i upodobania. Juliusz Cezar objąwszy dyktaturę, pamiętną swoją reformą dalszym bezprawiom tamę położył. Kalendarz rzymski w strasznym był wtenczas nieporządku i zamieszaniu — 67 dni było opuszczonych zupełnie. Sosigenes astronom, którego do pomocy przyzwał z Egiptu, doradził mu, ażeby nową rachubę zastosował jedynie do roku słonecznego, a księżyc, jako źródło wszelkich błędów, całkiem zaniechał. Cezar rozpoczął reformę tém, że owe 67 zapomnianych dni przyłączył do roku 708 a. u. c. (45 przed Chr.); długi ten rok miał 445 dni w 15 miesiącach: nazwisko „*Annus confusionis*“ czyni go pamiętnym w historii. Dalej rozporządził, ażeby rok zwyczajny miał 365 dni, a dla sprostowania błędu 6ciu godzin popełnianego w ten sposób corocznie, każdego czwartego roku 366 dni liczyć nakazał. Czterem miesiącom nadał po 30, 7 po 31 a Lutemu 28 dni. Dzień dodatkowy roku przestępnego (*annus intercalaris*) umieścił po 23. Lutego, a początek roku ustanowił na dzień 1. Stycznia. Rok 709 a. u. c. (44 przed Chr.) jest pierwszym téj rachuby. Wyrażenie „*Quartus annus*“ tłómaczono fałszywie i lata 1szy, 4ty, 7my i t. d. uważano za przestępne. Po 40tu latach dopiero pomiarkowano się i naprawiono pomyłkę. Rachuba ta *Juliańska* zwana, szybko rozszerzyła się po całym państwie rzymskiem; przyjęli ją nawet i chrześcianie, położyli wszakże w kalendarzu imiona swoich świętych na miejsce pogańskich, i porzucili na wniosek Dyonizjusza Małego zwyczaj liczenia lat od zbudowania Rzymu, uznając Narodzenie Chrystusa za stosowniejszy początek rachuby.

Kalendarz Juliański przez nieodmienną regułę lat przestępnych corocznie 11 minut, 15 sek. w przecięciu nadlicza. Uchybienie to, małe na pozór w 128 latach czyni dzień różnicy i jest przyczyną, że wiosenne porównanie dnia z nocą, już na początku IV. wieku (po Chr.) przypadało o 3 dni rychlej niż za czasów Cezara. W r. 325 na soborze odbytym w Nicei, sprostowano wprawdzie to zбочenie wiosennego

ekwinokcyum i ustanowiono je na dzień 21. Marca, ale nie zatamowano źródła, z którego błąd pochodził, przez co ułtawicznie powtarzał się i powiększał, tak dalece, iż przy końcu XVI. stulecia 10 dni wynosił, a tём samém i ekwinokcyum przeszło z 21go na 11go Marca. Panujący w ówczas papież Grzegorz XIII. gorliwie zajmąwszy się tym przedmiotem, nową zamierzył wykonać reformę kalendarza. Powodowały go do tego mianowicie dawniejsze ustawy kościoła tyczące się Wielkanocy. Wypada tu nadmienić, że sobór nicejski, chcąc na wszystkie czasy przeszkodzić spotkaniu się Wielkanocy chrześcian z żydowską, przypadającą zawsze **razem z pełnią księżyca** w połowie miesiąca Nigan, wydał uchwałę, według której kościół miał obchodzić Wielkanoc *w następującą po wiosennej pełni niedzielę.* *) Grzegorz XIII. starając się przede wszystkim o przywrócenie porządku z czasów owego soboru, nakazał, aby w bieżącym 1582 roku po dniu 4. Października opuszczono 10 dni i bezpośrednio 15go liczono i przez to w następującym roku ekwinokcyum wiosenne znowu na dzień 21. Marca sprowadził. Ale ażeby je tём na przyszłość przy tymże dniu utrzymać i powtarzaniu dawniejszych błędów zapobiedz, za podstawę swój rachuby zamiast 365 dni i 6 godzin poprzedników, wziął astronomicznie oznaczoną długość roku i rozporządził, że każdy czwarty rok, jak dotąd i nadal ma być rokiem przestępnym z tym jednak wyjątkiem, że ostatni rok stulecia (rok setny; annus secularis) skoro *całe sta* jego liczby przez 4 bez reszty podzielonemi być nie mogą, ma pozostać rokiem zwyczajnym. W ten sposób z czterech

*) Najpierwsza *po* wiosenném porównaniu dnia z nocą, albo tём *razem z niém* przypadająca pełnia, nazywa się *wiosenną*, a że służy do obliczania Wielkanocy, także *wielkanocną pełnią*.

Ponieważ tak chrześcianie jako i żydzi cyklicznie ustanawiają Wielkanoc, przeto pomimo rozporządzenia soboru Nicejskiego święta nasze zchodzą się niekiedy z żydowskiemi. Jeżeli n. p. pełnia wiosenna wydarzy się w sobotę, natenczas stósownie do przepisu zaraz nazajutrz będzie Wielkanoc. Ale równocześnie rozpoczyna się także i święta żydów, jeśli według ich rachuby (nieco odmiennój od naszej) pełnia na tём niedzielę przypadnie. W tym wieku zdarzyło się to 4 razy, r. 1805, 1825, 1828, 1832, teraz nie nastąpi aż r. 1903. Niemasz więc obawy o niepodobne święta!

po sobie idących wieków, zawsze jeden tylko rokiem przestępnym kończyć się może; tak r. 1600 jest przestępny, 1700, 1800, 1900 są lata zwyczajne a dopiero rok 2000 znowu jest przestępny i t. d. *Gregoryańska* ta rachuba czasu zawiera więc w 400 latach 97 lat przestępnych, *juliańska* zaś w tymże samym czasie ma ich 100 i dla tego właśnie liczy mylnie 3 dni i 3 godziny za nadto. Sprostowanie błędu jest przeto bardzo znaczne ale nie zupełne, bo

400 greg. lat = 400 jul. lat — 3 dni;

lecz to dokładności gregoryańskiej rachuby nie umniejsza, gdyż pozostający jeszcze błąd nieznaczny prawie, dopiero w kilka tysięcy lat uczyni dzień różnicy i potrzebę małej poprawki wywoła.

Niewłócznie po urządzeniu gregoryańskiego kalendarza zaprowadzono go w katolickich krajach, gdy tymczasem protestanckie srodze nienawidząc wszystko, cokolwiek wychodziło z apostołskiej stolicy, upornie trzymały się *juljańskiej* rachuby. Próżno to zaślepienie potępiali uczeni, próżno ziomków gromił Kepler pytając: „czyli czekać myślą, aż jaki *Deus ex machina* protestanckie stany oświeci, że nie o to rzecz idzie, *któ* kalendarz wymyślił, ale raczej o to, *który* jest najlepszy!“ Lecz z wiatrem poszły słowa tego męża; pozór zawisłości od rozporządzeń papieża jak zły duch protestantów straszył, i obstali przy swoim. Daremnym atoli był ich opór, pokonały go nareszcie przykrzejsze coraz niedogodności *juljańskiej* rachuby. Dnia 27. Września 1699 r. uchwałyły protestanckie stany w Ratysbonie zaprowadzenie nowego kalendarza, zastrzegły jednak, ażeby go choć w części odróżnić od kalendarza katolików i uwolnić się zarazem od pokutującego w sumieniu widma papieża i Rzymu, że do ustanawiania Wielkanocy służyć ma astronomiczna rachuba na miejscu niedokładnej cyklicznej. Tak przekształcony nieco kalendarz gregoryański „poprawnym kalendarzem“ ochrzczony, otrzymał prawo rozgłoszenia się w Niemczech. Zaraz w następującym roku 1700 po dniu 18. Lutego liczono 1. Marca i tём wykonano reformę. Tuż za tym przykładem poszły Dania, Holandya i Szwajcarya. W końcu jednakże niemiłe w życiu publiczném i prywatném powstały nieporozumienia, albowiem przez zastosowanie rachuby astronomicznej, Wielkanoc u protestantów

przypadała niekiedy tydzień rychlej aniżeli u katolików. Zdarzyło się to w latach 1724 i 1744 i było powodem, iż stany protestanckie na mocy cesarskiego patentu d. d. w Wiedniu 7. Czerwca 1776, swój poprawny kalendarz zniosły i do gregoryańskiego całkowicie się przyłączyły. Anglia w r. 1752, Szkocya i Szwecya w rok później, przyjęły też rachuby, która więc dzisiaj zarówno służy katolikom i protestantom całej Europy. Rosyanie tylko i Grecy teraz jeszcze używają dawnego juljańskiego kalendarza i ztąd pochodzi różnica 12tu dni pomiędzy ich rachubą a naszą.*) Z każdym rokiem setnym, który u nas jest *zwyczajny*, u nich *przestępny*, do tej różnicy jeden dzień przybywa.

Objaśnimy teraz bliżej *cykliczną rachubę* kościelną i załączymy przykład obliczenia Wielkanocy na rok bieżący 1854. Według postanowienia Soboru w Nicei, *Wielkanoc ma być obchodzoną w niedzielę po tej pełni, która albo w samo wiosenne porównanie dnia z nocą, albo też pierwsza po niem przypada; gdyby jednak taż pełnia wydarzyć się miała w niedzielę, natenczas Wielkanoc ma nastąpić dopiero w tydzień później*. Porównanie wiosenne naznaczano przytém stałe na dzień 21. Marca, a względem księżyca przyjęto, że pełnia przypada nieodmienne 14. dnia po nowiu. Najrychlejszym przeto terminem Wielkanocy jest dzień 22. Marca, najpóźniejszym 25. Kwietnia; dwa te dni zowią się *granicą wielkanocną*.

Głównie więc chodzi o wyszukanie pierwszej wiosennej pełni. W jul. kalendarzu użyto w tym celu znanego nam 19letniego okresu Metona, po którego upłynieniu zmiany księżyca znowu na te same dni przypadają. Okres ten zaczynający się od roku, w którym nów zdarza się 1. Stycznia, nazywa się *wrotem księżyca* (Circulus lunaris) a liczba bieżąca, która oznacza pojedyncze jego lata, ma nazwę *złotój liczby* (Numerus aureus.**). Liczb tych jest 19. Ażeby otrzymać złotą

*) Rosyanie nie opuścili 10 dni w Październiku 1582 r. i lata setne 1700 i 1800 nie zamienili na zwyczajne, dla tego więc mają dziś 12 dni nadliczonych.

**) Nie jest pewnem zkad pochodzi nazwisko „złota liczba“; po największej części zgadzają się na to, że kalendarz Metona dla swój wyborności otrzymał tak zaszczytny przydomek.

liczbę należącą do jakiegobądź roku, do jego liczby trzeba dodać 1 i dzielić przez 19, reszta jest złotą liczbą; jeśli zaś dzielenie schodzi bez reszty, natenczas jest nią 19. Tak

$\frac{1854 + 1}{19}$ zostaje 12 reszty. — Jest więc na rok 1854 złota

liczba 12, to znaczy, że w tym roku *nowie* tak przypadają jak w roku 12. wrotu księżycowego. Ale rachuba ta jest niedostateczną; po 310 (czyli jak się w praktyce przyjmuje po 300) latach zmiany księżyca przypadają już o 1 dzień rychlej;

aniżeli w normalnym wrocie. Dla tego w greg. kalendarzu co 300 lat ma być uwzględnionym ten błąd jako *równanie księżyca* wynoszące dzień jeden.

Dalej zaprowadzono *epakty* (Epactae), które rachubę bardziej ułatwiają, niż złota liczba.

Przez epaktę rozumimy *liczbę wskazującą, ile dni przed 1. Stycznia wydarzył się nów ostatni*. Jeżeli n. p. przypadał 18. Grudnia, epaktą będzie 14, albowiem od 18. (incl.) do 31. Grudnia upływa dni 14. Epakta rocznie powiększa się o 11, skoro jednak dochodzi 30, natenczas też liczbę od niej odciągnąć i resztę za epaktę wziąć należy.

Pochodzi to ztąd, że w 30. dniach ubiega jeszcze cała lunacya. Z tej to przyczyny zamiast epakty 30 kładzie się zwykle zero (0) lub gwiazdkę (*), można ją bowiem równie uważać za koniec jednej lub początek drugiej lunacyi.

Epaktę oznacza się powszechnie liczbą rzymską; chcąc ją wynaleźć, wypada złotą liczbę pomniejszyć o 1 i mnożyć przez 11; iloczyn, jeśli nie przewyższa 30 jest epaktą; w przeciwnym razie dzieli go się przez 30 i reszta oznacza epaktę.

Na rok 1854 epaktą jest I. gdyż $\frac{(12-1) 11}{30}$ daje 1 reszty. Atoli przepis ten służy tylko na wiek XVIII. i XIX., w których mamy taki epakt porządek:

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

złota liczba. | odpowiednia epakta. | złota liczba. | odpowiednia epakta.

1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.

O (* lub XXX).
XI.
XXII.
III.
XIV.
XXV.
VI.
XVII.
XXVIII.
IX.

11.
12.
13.
14.
15.
16.
17.
18.
19.

XX.
I.
XII.
XXIII.
IV.
XV.
XXVI.
VII.
XVIII.

Przy złotej liczbie 19 widzimy epaktę XVIII. następująca więc odpowiadająca złotej liczbie 1 powinna być właściwie być XXIX. (t. j. $18 + 11$), lecz tu odstępuje się od reguły i zamiast 11 dodaje się 12, ażeby epaktą znów było 0 (czyli XXX). Jest to sprostowaniem błędu epaktowego wrotu zawierającego jeden dzień nad 19 lat słonecznych i nazywa się *przekroczeniem epakt* (saltus epactarum). Porządek epakt zmienia się dość często. Wiemy, że greg. rachuba czasu w przeciągu czterech wieków opuszcza trzy dni w latach setnych; nazywamy to *równaniem słońca*. Prócz tego co 300 lat zdarza się równanie księżyca. Każde opuszczenie dnia zmniejsza epakty o 1, każde równanie księżyca o tyleż je powiększa. Od roku przestępnego 1600 epaktami były I., XII., XXIII., IV. i t. d.; w roku 1700 opuszczono dzień i epakty zmniejszone o 1 szły tym porządkiem: 0, XI., XXII., III. i t. d.; w r. 1800 znowu dzień wypuszczono, epakty powinnyby się przeto znowu o 1 pomniejszyć, ale przypadające równanie księżyca zniosło się w tym roku z równaniem słonecznym i dla tego epakty niezmieniły się i tak trwać będą do końca tego wieku. Najbliższe równanie słońca w roku 1900 nada im porządek XXIX., X., XXI., II. i t. d. w którym pozostaną aż do roku 2200.

Trzeba nam teraz poznać literę niedzielną. Jeżeli przy pierwszym dniu roku położymy literę A, przy drugim B i tak dalej aż do G, a potem zaczawszy znów od A ten porządek powtórzymy przez wszystkie 365 dni, dostrzeżemy łatwo, że każdą niedzielę oznaczać będzie ta sama litera. To jest *litera niedzielna* (Litera dominicalis.) Porządek ten jest stały; przy dniu 1. Stycznia zawsze jest litera A. Ale, że rok zwyczajny ma 52 tygodnie i jeden dzień, przeto niedziele corocznie posuwają się wstecz o jedną literę, t. j. otrzymują tę, która w roku zeszłym oznaczała soboty. Rok n. p. 1853 mający lit. niedz. B rozpoczął się sobotą przy której była lit. A; ten rok także się sobotą zakończył, następująca więc niedziela czyli 1. Stycznia 1854 koniecznie mieć będzie lit. A. W roku przestępnym dzień dodatkowy umieszcza się po 23. Lutego (staje się 24.) i nie otrzymuje żadnej litery. Lit. F oznaczająca w latach zwyczajnych dzień 24. Lutego, w przestępnych znajduje się dopiero przy 25. t. m. Są przeto w roku przestępnym *dwie* litery niedzielne, jedna, która służy do 24. Lu-

tego, druga odtąd aż do końca roku. W terażniejszym wieku otrzymamy literę niedzielną w greg. kalendarzu, gdy do lat od roku 1800 ubiegłych jeszcze czwartą ich część (całą liczbę tylko biorąc) dodamy, potem przez 7 podzielimy i resztę według tego jak można od 5. lub 12. odjmiemy; pozostała liczba odpowiada miejscu litery niedzielnej w powyższym porządku. Gdy dzielenie schodzi bez reszty 5ta litera t. j. E jest niedzielna.

Przykład na rok 1854; od r. 1800 upłynęło lat 54
do tego czwarta ich część 13

67

podziel. przez 7; reszta 4; odjęta od 5, zost. 1 = A lit. niedz.

W roku przestępnym tym sposobem otrzymuje się literę niedzielną mającą znaczenie *po* 24. Lutego, następująca po niej litera służy aż do tego dnia; n. p. w roku 1856 lit. niedzielna F do 24. Lutego potem E.

Podobnie postępuje się w jul. kalendarzu, tylko że resztę z dzielenia odciaga się zawsze od 7. Będzie więc w tym kalendarzu w r. 1854 lit. niedz. Ć.

W związku z lit. niedzielną jest *wrot słońca* (Circulus solaris) czyli okres lat 28, po którego ubieżeniu dni tygodniowe powracają na te same dni miesiący. W jul. kalendarzu dla stałej reguły w liczeniu lat przestępnych wrot słońca nie zmienia się nigdy. Przytaczamy go tutaj:

1. G—F.	8. E.	15. C.	22. A.
2. E.	9. D—C.	16. B.	23. G.
3. D.	10. B.	17. A—G.	24. F.
4. C.	11. A.	18. F.	25. E—D.
5. B—A.	12. G.	19. E.	26. C.
6. G.	13. F—E.	20. D.	27. B.
7. F.	14. D.	21. C—B.	28. A.

Wrot słońca greg. kalendarza ulega zmianom z przyczyny opuszczenia dnia w latach setnych. W wieku XIX. mamy taki:

1. E—D.	8. C.	15. A.	22. F.
2. C.	9. B—A.	16. G.	23. E.
3. B.	10. G.	17. F—E.	24. D.
4. A.	11. F.	18. D.	25. C—B.
5. G—F.	12. E.	19. C.	26. A.
6. E.	13. D—C.	20. B.	27. G.
7. D.	14. B.	21. A—G.	28. F.

Ażeby go ułożyć na przyszłe stulecie, zamiast 1. E—D., 2. C. i t. d. trzeba zacząć tym porządkiem: 1. F—E., 2. D. i t. d.

Z obódwóch tabliczek bezpośrednio wziąć można literę niedzielną, skoro tylko odpowiednia liczba słonecznego wrotu jest znana. Rok, w którym Chrystus narodził się, był 10tym w ówczesnym wrocie, dla tego trzeba do liczby roku dodać 9 i dzielić przez 28; iloraz wskazuje ile dotąd wrotów ubiegło, a reszta daje liczbę w bieżącym wrocie słońca, jeśli zaś reszty nie masz, 28 jest tą liczbą. Zupełnie tak postępuje się w jul. kalendarzu, n. p. $\frac{1854 + 9}{28} = 66$; reszta 15.

Rok 1854. jest zatem 15. w bieżącym 67. wrocie słońca. Przy liczbie 15 powyższych tabliczek widzimy w greg. kalendarzu literę A., w jul. zaś literę C., która, jako już i z dawniejszego wiemy, są literami niedzielnymi na rok 1854.

Czasami znajdujemy jeszcze liczbę 15letniego *wrotu Indykcyi* (Circulus Indictionum), który jest bez wszelkiego astronomicznego znaczenia i tylko przez zwyczaj utrzymuje się w kalendarzu.*) Do liczby roku dodajemy 3 i dzielimy przez 15, reszta jest liczbą Indykcyi; w r. 1854 jest nią 12.

Do obliczenia Wielkanocy wystarczają epakty i litera niedzielną. Epaktę odciąga się od 23, lecz jeśli tę liczbę prze-

*) Indykcyę ustanowił Konstantyn W. w r. 313 lecz wiadomo dla czego im lat 15 przeznaczył. Niewątpliwym jest

wyższa od 53,**) *reszta wskazuje, ile jeszcze dni po 21. Marca upływa do pierwszej wiosennej pełni*, gdyż w jednym tylko przypadku pełnia ta wydarzy się w samo porównanie dnia z nocą, t. j. gdy epaktą będzie XXIII. Dzień 21. Marca raz na zawsze oznaczony jest literą C.; licząc od-tąd dalej, łatwo poznaje się za pomocą znaney litery niedzielnej, na jaki dzień tygodnia przypada pełnia wiosenna, poczem na następującą niedzielę ustanawia się Wielkanoc. Zastósujmy to prawidło do roku 1854. Wiemy, że jego złotą liczbą jest 12, z której otrzymaliśmy epaktę I.; wiemy dalej, że literą niedzielną jest A. Epaktę I. odciągamy od 23 i otrzymujemy 22 reszty t. j. że w 22. dni po 21. Marca, czyli 12. Kwietnia, pełnia wiosenna przypada. Ponieważ zaś dzień 21. Marca (lit. C.) w roku 1854 jest wtorkiem, co z litery niedzielnej wypływa, przeto nie trudno policzyć, że 12. Kwietnia (lit. D.) będzie środą, a zatem Wielkanoc przypadnie dopiero w 4 dni później, czyli w niedzielę 16. Kwietnia.

Łatwiej jeszcze Wielkanoc obliczyć można za pomocą załączonych tu dwóch tablic pełni wiosennych na cały wrot księżyca, skoro tylko wiadomemi są złota liczba i litera niedzielna:

ich związek z podatkami Rzymian, i dla tego przypuszczają niektórzy, że co 15 lat w całym państwie szacowano majątki.

**) Stosownie do rachuby cyklicznej, w 103 dni po nowiu, który nam wskazują epakty, zawsze wydarzy się pełnia. Jeżeli więc epakta mniejszą jest niż 23, wtenczas pełnia ta przypada jeszcze po 21. Marca i jest zgodnie z ustawą kościoła wiosenną pełnią; przeciwnie zaś przypadnie już przed tymże dniem, gdy epakta nad 23 się powiększy. W takim razie trzeba czekać do następującej pełni i w rachubie dodać jedną lunacyą, czyli dni 30. W pierwszym przypadku wpływa zatem do wiosennej pełni 103, w drugim 133 dni; lecz, że czas od 1. Stycznia do 21. (incl.) Marca 80 dni wynosi, przeto opuszczamy go dla ułatwienia i zatrzymujemy pozostające według okoliczności 23 lub 53 dni. W latach przestępnych nie potrzeba uwzględniać dodatkowego dnia, albowiem już litera niedzielna o jeden dzień przestępuje w Lutym i dalsza korekcyą zbyteczną czyni.

		złota liczba.	odpowiednia pełnia wiosenna.		złota liczba.	odpowiednia pełnia wiosenna.		
W juljańskim kalendarzu.	1.	5.	Kwietnia	D.	1.	13.	Kwietnia	E.
	2.	25.	Marca	G.	2.	2.	Kwietnia	A.
	3.	13.	Kwietnia	E.	3.	22.	Marca	D.
	4.	2.	Kwietnia	A.	4.	10.	Kwietnia	B.
	5.	22.	Marca	D.	5.	30.	Marca	E.
	6.	10.	Kwietnia	B.	6.	18.	Kwietnia	C.
	7.	30.	Marca	E.	7.	7.	Kwietnia	F.
	8.	18.	Kwietnia	C.	8.	27.	Marca	B.
	9.	7.	Kwietnia	F.	9.	15.	Kwietnia	G.
	10.	27.	Marca	B.	10.	4.	Kwietnia	C.
	11.	15.	Kwietnia	G.	11.	24.	Marca	F.
	12.	4.	Kwietnia	C.	12.	12.	Kwietnia	D.
	13.	24.	Marca	F.	13.	1.	Kwietnia	G.
	14.	12.	Kwietnia	D.	14.	21.	Marca	C.
	15.	1.	Kwietnia	G.	15.	9.	Kwietnia	A.
	16.	21.	Marca	C.	16.	29.	Marca	D.
	17.	9.	Kwietnia	A.	17.	17.	Kwietnia	B.
	18.	29.	Marca	D.	18.	6.	Kwietnia	E.
	19.	17.	Kwietnia	B.	19.	26.	Marca	A.

W gregoryańskim kalendarzu.

Rok kościelny zaczyna się z pierwszą niedzielą adwentu, lecz że Boże Narodzenie przypadać może każdego dnia w tygodniu, przeto i adwent a dalej i rok sam różnej bywa długości. Najwcześniej zaczynać się może 27. Listopada, najpóźniej 3. Grudnia; to są granice kościelnego roku, miewającego to 52, to 53 tygodnie.

Ustęp o chrześcijańskiej rachubie czasu zakończymy krótką wzmianką o kalendarzu rzeczypospolitój francuzkiej, którą konwent narodowy zaprowadził dekretem z dnia 5. Października 1793 r. Podział decymalny służył mu za podstawę. — Dzień podzielony był na 20 godzin (t. j. 24 naszych), godzina na 100 minut, minuta na 100 sekund. Okres 10cio dniowy „*Décade*“ zastępował tydzień; dnię jego rozróżniano jako *Primidi*, *Duodi*, *Tridi* i t. p. aż do *Décadi*. Miesiące składały się bez wyjątku z trzech dekad czyli dni 30; w ogóle było ich 12, a każde 3 należące do tej samej pory roku, to samo także nazwiska miały zakończenie i szły tym porządkiem:

I.
Jesień. *Vendémiaire,*
Brumaire,
Frimaire.

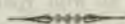
II.
Zima. *Nivôse,*
Pluviôse,
Ventôse.

III.
Wiosna. *Germinal,*
Floréal,
Prairial.

IV.
Lato. *Messidor,*
Thermidor,
Fructidor.

Prócz tego dodawano jeszcze przez trzy lata po pięć, a w czwartym przestępnym roku sześć uzupełniających dni, (jours épagomènes). Taki okres czterech lat zwał się „*Franciade*.” Początkiem roku było jesienne porównanie dnia z nocą, odpowiada to naszemu 22. Września i jest zarazem rocznicą proklamacyi rzeczypospolitej, od której także lata liczono, tak iż z 22. Września 1792 r. poczyna się pierwszy rok tój rachuby. Mimo dobrej zasady, na której był opartym kalendarz republikański, wiele miał niedogodności i nie utrzymał się długo, albowiem już w 13 lat później zniósł go senat uchwałą z dnia 9. Września 1805, poczem Francya z dniem 1. Stycznia 1806 do gregoryańskiej wróciła rachuby.

Część drugą tój zajmującej pracy przyrzekamy, da Bóg doczekać, na rok przyszły. Wydawca.



Dwa kruki.

Rzecz opowiadana przy stole wirującym,

przez

R. W. Berwińskiego.

„Nie nowego pod słońcem!“ zawołał nareszcie pan Hilary, nasłuchawszy się długiego mego opowiadania o najważniejszym chwili obecnej wypadku, poruszającym dwie kuli ziemskiej hemisfery, zaprzatającym równocześnie wszystkie nieomal głowy myślące i niemyślące palce wszystkich nieomal próżniaków w Europie i Ameryce.

Ktoby o tém wiedział, że ja to piszę pod czas wiosny roku 1853, tenby zgadł niewątpliwie od razu, że tu na myśli mam owe *stoły* i *stołowe nogi*, co to nietylko poruszają się dziś i chodzą stosownie do woli rozkazującego im człowieka bez jego pomocy, ale co nawet nieraz rozumniejsze i mędrsze są od niego, bo wiedzą o rzeczach, o których on nie wie i odpowiadają na zapytania, na które i najrozumniejszy odpowiedziećby nie umiał.

Ową to historią tańczących i gadających stołów opowiadałem przez kilka godzin panu Hilaremu; a on wysłuchawszy jój pilnie i z wielkiem, jak się zdawało, zajęciem, zawołał wreszcie: „nie nowego pod słońcem, panie Ryszardzie!“

Niepomału zadziwił mnie ten wykrzyknik i pozwoliłem

sobie zrobić uwagę, że zjawisko owo ze stołami najniewątpliwiej zupełną jest nowością, bo nawet z nowego świata przeszło do nas, i dla tego właśnie może znudzoną w podeszłym wieku Europę tak nadzwyczajnie zajmuje.

Na tę moją uwagę pan Hilary powtórzył z przyciskiem: „nie nowego!“ ale po głosie i po oczach jego znać było, że mówił w roztargnieniu, a zaciągająca się na czole chmurka lekka, choć widoczna, zdradzała niewątpliwie, że w głowie zbierał jakieś dalekie wspomnienia, i że je wiązał z dopiero co przezeń opowiedzianą historią magnetyzowanych stołów.

Nie mogłem zataić przed nim tego z méj strony podejrzenia; jakoż i on przyznał natychmiast, że nie było płonne, ale tylko w drugiej połowie. Obstawał albowiem przy tém, że zjawisko z gadającymi stołami nie jest w rzeczy saméj żadną nowością i na dowód tego zaczął mi rozpowiadać nader ciekawe szczegóły o Mesmerze i jego teoryi magnetyzmu.

Jabym to wszystko już tutaj chętnie czytelnikowi memu powtórzył, ale w interesie saméjże powieści mojej czuję doskonale, że przedewszystkiém wypadałoby mi zapoznać go bliżej z osobą pana Hilarego, który w dalszym jéj ciągu najważniejszą poniekąd odgrywa rolę.

Czuję więc przedewszystkiém potrzebę zaznajomienia czytelników z panem Hilarem, ale jak to zwykle dzieje się na świecie, nie będę mógł zadosyć uczynić temu, o czém wiem, że jest potrzebne; czyli po prostu: nie będę im mógł powiedzieć, kto właściwie jest ten pan Hilary, kto go rodzi, i gdzie i kiedy? Nie będę zaś tego mógł im powiedzieć z prostéj przyczyny, że sam tych elementarnych do towarzyskiéj znajomości między dobrze wychowanymi ludźmi wiadomości i nocyi o panu Hilarem nie znam i nie posiadam.

Znajomość moja z nim przypadkowa, a powiedziałbym nawet: szczególna i nadzwyczaj wiele posiadająca dla mnie uroku, dla tego może właśnie, że się nie zawiązała zwyczajnym trybem przyjętych u nas form towarzyskich, spowodowaną była przez tę okoliczność, że los zapędził mnie był przed rokiem do pewnego miasta zagranicznego, które tę szczególną w dzisiejszym czasie pomiędzy większemi miastami Europy miało właściwość, iż Polak był w niem osobliwością i gościem nadzwyczaj rzadkim.

Mnie w takim mieście interesa dłuższy czas przymuszały siedzieć i znosić dotkliwie tortury zupełnego w licznym społeczeństwie odosobnienia, które dla nas Polaków tćm są nieznośniejsze, że wszyscy nieomal dziecinnie jakoś przywiązani jesteśmy do języka, obyczajów, i rzeczy można: do fizyognomii narodowych.

Łatwo więc pojmie, kto kiedy w życiu tortur takich doświadczał, jak żywą radość sprawiło mi odkrycie, które razu jednego w miejscu publicznych zabaw zrobiłem, odkrycie drugiego jeszcze w tćm mieście Polaka.

Spotykałem go już był kilka razy, to po koncertach, to po kawiarniach, to w teatrze, i postać jego, równie jak fizygnomia uderzyły mnie od pierwszego zaraz spotkania. Nie pierwszej był młodości, przechodził już nawet pewnie siódmy krzyżyk. Włosy i wąsy miał posiwiałe; ale postawa jego wyniosła, jeszcze sprężysta i krzepka, nie pokazywała objawów fizycznego zniedołężnienia, jakie się pospolicie przywiązuje do wieku, który podeszłym nazywają. W oczach zaś, czarnych jak węgiel i wielkich, choć zawsze lekko przymrużonych, tyle miał ognia i życia, żeby niemi mógł być kilku młodych ospalców bez własnej krzywdy obdzielić i zapalić.

Nie sam jednak ogień i życie nadawały tym oczom dziwny jakiś i niezwyčajny charakter i wyraz. Było w nich jeszcze coś takiego, co nigdy opisać się nie da, co czasami tylko biegły malarz portrecista pochwyć i pędzlem na płótno, jak ducha, zakląć potrafi. Oddychały one jakimś tchnieniem jakichś długich, niewidzialnych promieni, których wpływ tajemniczy czułem na sobie i wtedy nawet, kiedy nie patrzyły na mnie.

Te to oczy przyćmione, lecz nie przygasłe, a dymiące urokiem, jak dwa w uspieniu wulkany, te oczy, ten ich wyraz, ta cała nareszcie fizygnomia, pociągały mnie mimowolnie ku nieznanemu i sprawiały to, że ile razy go w miejscach publicznych spotkałem, śledziłem pilnie choć bez zamiaru wszystkie jego kroki, i starałem się ile możności, choć bez natręctwa i niepostrzeżony, wybierać sobie miejsca w jego najbliższćm sąsiedztwie.

W takim to razu jednego znajdując się sąsiedztwie, podchwyciłem z największćm mojm zadziwieniem wyraz polski,

zrzucony przez nieznanego w chwili zniecierpliwienia posługaczowi, który potrącony w natłoku, oblał go obnoszoną kawą. Wyraz, jak powiedziałem, był polski i energiczny, a że go ów nieznanomy wymówił bez namysłu i w chwili zniecierpliwienia, znać było, że szedł mu z serca, że przeto był wyrazem macierzystej jego mowy.

W jednej chwili zrobiłem sobie tę psychologiczną kombinacją, a uradowany odkryciem niespodziewaném, zbliżyłem się do nieznanego i rzekłem:

„Pan Polak! Wybacz pan, że go zaczepiam i narzucam się poniekąd, ale pozbawionemu od kilku miesięcy nietylko towarzystwa, ale nawet widoku spół-ziomków, darować mi można, że korzystam z przypadkowego zdarzenia, które mi pozwala poznać w obcém mieście Polaka i pomówić z nim pare słów po polsku.“

Nieznanomy króciutką chwilę popatrzył na mnie i widać było, że go to niespodziane spotkanie także zadziwiło, ale miarkując czémprędzej chwilowe zadziwienie, odpowiedział uprzejmie:

„Nietylko darować, ale podziękować panu winienem za sposobność, jaką mi podajesz, zrobienia miłej znajomości w niebardzo miłym dla Polaka mieście niemieckim.“

Potém nastąpiła między nami, jak zwykle przy pierwszej znajomości, rozmowa dość ogólna i obojętna, to o położeniu owego niemieckiego miasta i jego okolicach, to o mieszkańcach, sposobie ich życia, zabawach i nudach. Powtarzać jej tu nie będę, bo w ogóle całą tę scenę przytoczyłem jedynie dla tego, żeby się czytelnikowi wytłómaczyć, dla czego powiedzieć mu nie potrafię, kto był pan Hilary. Znajomość moja z nim, jak sam widzi, była przypadkowa, a kiedym ją w sposób opowiedziany zawiązał, nie wiedziałem wtedy nawet tego, co dziś już wie mój czytelnik, że owemu Nieznanomemu imie było Hilary. Nie wiedziałem tego i przy następném i przy trzecim, a nawet przy czwartém jeszcze spotkaniu, które wszystkie były przypadkowe po miejscach zawsze publicznych.

Za każdym jednak takim spotkaniem znajomość nasza przybierała coraz więcej interesu, nietylko dla mnie, ale i Nieznanomy, co zrazu przy największej uprzejmości i formach wła-

ściwych ludziom dobrego wychowania, przestrzegał jednak ściśle granic zinnęj tylko grzeczności, stawał się coraz przystępniejszy i przybierał w rozmowach swoich ze mną tok coraz poufniejszy. Znać i jemu poznanie się to przypadkowe nie było niemiłe. Przypadłem mu widocznie do gustu.

To też przy czwartém spotkaniu, kiedym się chciał oddalić i żegnałem go podaniem ręki, rzekł, ściskając mnie za nią z szczerością:

„Jeżeli nie masz nic ważnego, to pójdź ze mną na herbatę; pogawędzimy jeszcze trochę o Niemcach.“

Nie pożądanego nie mogło być dla mnie w tej chwili, jak taka propozycya. Przyjąłem ją tedy z radością i wyszedłem razem z Nieznajomym, który mnie wziął pod ramię i prowadził — do siebie! A ta właśnie okoliczność, że mnie do siebie prowadził, miała niesłychany pociąg i drażniła moją ciekawość. Przyznać się albowiem muszę, iż po pierwszém zaraz jego poznaniu, gorliwie starałem się w mieście dowiedzieć coś bliższego o nim, o jego powołaniu, nazwisku i mieszkaniu. Ale starania moje wszystkie były daremne, szczególnie co do odkrycia nazwiska. Wszyscy go nieomal znali — od dziecka ulicznika począwszy aż do dziada żebraka — ale nikt nazwać nie umiał; odpowiadał tylko każdy na moje pytania: „Das ist ja der polnische Graf!“ Grafem tedy polskim *Καθ' ἑξοχὴν* był dla całego miasta. I o mieszkaniu jego również nie lepiej umiano mnie oświecić. Znalazł się wprawdzie raz chłopiec, który się podjął zaprowadzić mnie do niego; lecz zamiast do mieszkania, zaprowadził mnie w ciasną uliczkę przed mur wysoki i długi, w pośrodku którego znajdowała się furtka dobrze w żelazo okuta i dobrze na klucz zamknięta.

„Tu mieszka der polnische Graf!“ zawołał z tryumfującą miną chłopczyzna, wskazując na furtkę.

„„Jakże tu ma mieszkać, odrzekłem zdziwiony, kiedy tu nie masz mieszkania, ani domu!““

„Ja nie wiem mój Panie, replikował chłopiec, *jak* tu der polnische Graf mieszka, ale *że* mieszka mogę zaręczyć, bo go tędy dwa razy na dzień wychodzącego i wchodzącego widuję z tamtej oto naprzeciw piwnicy, gdzie mieszka moja matka.“

Argumentacya była oczywista i jasna. Chłopcu trudno

było zaprzeczyć, lecz trudniej jeszcze było zrozumieć, jak w ogóle człowiek, a w szczególności hrabia polski mięszkać mógł w murze. Jeszcze zaś trudniej i najtrudniej dla mnie było wytłómaczyć sobie, jakim sposobem ten hrabia mógł taką tajemniczością okrywać i ukryć pobyt swój w wielkiem i ludnym mieście, do którego od kilkunastu już lat, jak mi mówiono, rok rocznie przyjeżdżał i w którym rok rocznie po kilka przesiadywał tygodni. Jakim sposobem mógł się tu taką tajemniczością okrywać i z jakich to robił pobudek? Otóż to były pytania, na które wystarczającą odpowiedź, jak się przekonałem, sam tylko mógł dać bezpośrednio hrabia, lub też pośrednio bliższa i dłuższa z nim znajomość.

Łatwo więc wytłómaczyć sobie skwapliwość, z jaką przyjąłem propozycyą Nieznajomego, żeby do niego pójść na herbatę — i łatwo wytłómaczyć sobie ciekawość, z jaką przy jego postępowaniu boku, udając się do owego tajemniczego mieszkania.

Ciekawość ta rosła za każdym krokiem i zamieniała się w istotne zdumienie, kiedy postrzegł, że mnie bynajmniej nie prowadzi w ową ciasną uliczkę, ale przeciwnie w najludniejszą część miasta i na jedną z najpierwszych jego ulic, gdzie same stały pałace i kilkopiętrowe, wyniosłe i okazałe kamienice. Rozumiałem już, że nowej uledz mam mistyfikacyi i że herbatę zapowiadzaną pić będziemy w jakiej eleganckiej kawiarni. Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy nareszcie minawszy pałac wspaniały, wstrzymaliśmy się tuż za nim, przed małym domeczkiem, który choć murowany i dachówką pokryty, że tylko trzy okna miał frontu i jedno bardzo niskie piętro, wyglądał między przytykającemi do niego gmachami, (z drugiej albowiem jego strony stała czteropiętrowa kamienica) wyglądał, mówię, między niemi, jak karzeł we familii olbrzymów.

Domku tego powierzchowność uderzała mnie już nie raz, kiedy po tej ulicy flanując, gapił się po domach. Przychodziło mi wtedy na myśl, że przed niedawnemi nazbyt czasy wszystkie domy na tej ulicy, tak jak ten, wyglądały; ale gdy tamte wyrosły z dzieciństwa pod okiem ludzi jeszcze żyjących, ten dzieckiem pozostał przy ziemi, ale dzieckiem zgrzybiałym. Nosił też na sobie płeśń wieku i wszystkie cechy starości,

a posępnego pozoru dodawały mu jeszcze dwie zamknięte wiecznie u dwóch dolnych okien okiennice, i wiecznie zamknięte drzwi dębowe i poczerniałe.

Te dwie zamknięte okiennice zawsze mnie uderzały, kiedym koło tego domku przechodził, i każdą razą mimowolnie wtedy spojrziałem, czy się która z nich nie uchyliła. Ale tego nigdy dostzedz nie mógł. Dziś, kiedyśmy przed nim stanęli, otworzył Nieznajomy drzwi dębowe kluczem, który z kieszeni wydobył, a przepuściwszy mnie naprzód do sieni, pociągnął mocno za dzwonek znajdujący się wewnątrz domu.

W tej chwili dało się na górném piętrze słyszeć drzwi skrzypnięcie i wnet ukazał się na schodach schodzący na dół człowiek, który jeśli nie wiekiem, to przynajmniej zgrzybiałością, o jaki lat dziesiątek przewyższał Nieznajomego, tak był pochylony ku ziemi i licznemi na twarzy poorany zmarszczkami. Ubiór miał krojem ósmnastego wieku: do kolan pończochy, trzewiki ze świecącemi sprzączkami, frak o wielkich, jak talarzy, guzach, a wszystko czarne jak noc, co dziwnie odbijało przy białych jak śnieg włosach.

Kiedy zeszedł na dół, zaczął się przy ostatnim schodzie prostować i prężyć, jak żołnierz, kiedy ma stanąć do frontu, co mu się jednak zgoła nie udawało. Robił to widać, z nałogu starego służbisty, bo przyjacielskie postępowanie Nieznajomego wcale podobnego rygoru w służbie nie wymagało. Uderzył on go z lekka po ramieniu i rzekł głosem nieco podniesionym, dla przytępionego, jak widać było, słuchu: „Mój Szymonie, dasz nam herbatę i świece, jak będzie potrzeba.“

Szymon nic nie odpowiedział. Lecz kiedy usta milczały, to oczy jego zwrócone na mnie z zdziwieniem, głośno zdawały się mówić: a ty tu co robisz w tym domu, człowieku! Niesłychaném, widocznie, byłem dla niego zjawiskiem, i nie wiem, dla czego sam sobie na takie wyglądałem zjawisko. Jakieś mnie dziwne ogarnęło uczucie moralnej jakiejs trwogi, zaledwem wstąpił do tej sieni, a powiększyło się aż do lekkiego w piersiach ściśnienia, kiedym przechodził około jedy-nych w prawej ścianie drzwi, które znać do dolnego prowadziły mieszkania, a zawieszzone były czarną sukienną kotarą.

Przewyciężyłem to uczucie i szedłem za Nieznajomym po schodach na piętro, gdzie za chwilę stanawszy, uchylił on

i w górnej sionce jedyne drzwi, białe pokostowane i jako grzeczny gospodarz, prosił gościa ażeby pierwszy wszedł do pokoju.

Wszedłem. Pokój był nie wielki, ale dziwnie wesoły, pogodny, jasny a nawet elegancki. Była to jednak elegancya stariej kobiety. Meble z wieku XVIII., wykwintne swego czasu, ale dziś już znacznie podszarżane, spoglądały na mnie wyblakłym adamaszkiem i poczerniałymi bronzami z takiem nieomal zadziwieniem, jak Szymon, i dziwnie téż w moich oczach były do niego podobne.

Jedna tylko rzecz odbijała przy nich świeżością i blaskiem nowości; była to bronzowa rama obrazu, zawieszona nad eleganckim stolikiem, a zasłoniętego firanką z zielonego jedwabiu.

Uderzył mnie ten kontrast od razu, a intrygowała owa zielona firanka, i sam nie wiem, dla czego mi się koniecznie wydawało, że za nią ukryty być musi portret pięknej kobiety. Naprowadzało mnie może na myśl taką całe umeblowanie pokoju, którego dobór i ustawienie zdradzały gust kobiecy. „To musi być mieszkanie kobiety,“ pomyślałem sobie zaraz przy wstępie.

Nieznajomy, zdaje się, myśl tę wyczytał na mojem czole, bo wzięwszy mnie z pewną serdecznością za rękę: „Staremi, rzekł, gratami otacza się stary kawaler, ale młodem sercem wita pomiędzy nimi młodego swego gościa. I ty się nie lękaj usiąść na tém krześle; choć stare, ono cię starością nie zarazi. Lecz pierwój jeszcze, dodał z uśmiechem, zrobię ci jednę propozycyą. Powiedzmy sobie nasze chrzestne imiona. To nam ułatwi rozmowę, bo u ciebie w Wielkopolsce, zapewne tak jak i u nas apostrofują się dobrzy znajomi zwykle po imieniu. Zachowajmyż więc i my zwyczaj krajowy za granicą. Moje imie *Hilary*.“

„„A moje *Ryszard*, odrzekłem bez wahania i nie przewidując wcale, żeby to imie, które od lat trzydziestu o moje obijało się uszy, teraz dopiero stało się dla mnie powodem nowój mistyfikacyi. A mistyfikacyi powodem stało się takim, że kiedym je wymówił, *Nieznajomy* aż zadrgnął widocznie i zdawało mi się, że przelotne, jak błyskawica, spojrzenie, rzucił na zasłonięty obraz.““

Miarkując się jednak czem prędzej, dodał, jak gdyby dla wytłómaczenia przedemną wrażenia, które mojej nie uszło uwagi: „Ładne imię — a jednak tak rzadko używane w Polsce, że aż dziwić mu się trzeba, jakby jakiejś osobliwości, kiedy się z niem spotkamy.“

Niewystarczające było dla mnie w prawdzie takie tłómaczenie, bo aż nadto dobrze czułem, że do mego imienia wiąże się w pamięci pana Hilarego inna jakaś historia, na której niespodziane przypomnienie aż zadrżał; niewystarczające więc było dla mnie to jego tłómaczenie; za dobrą jednak przyjąłem je monetę, udając nawet, że pamięszania jego wcale nie postrzegam, powodowany do tego pewnem uczuciem dyskretyi, jakiej w postępowaniu z sobą wymagał charakter, podobający sobie widocznie w tajemniczości, którą się ciągle otaczał. Była to, jak uważać mogłem, przeważająca w umyśle jego choroba. Fiksował na tajemniczość i mistyfikacye!

Żeby więc w taki drażliwy, chorobliwy punkt duchowego jego organizmu nie uderzać zbyt szorstko, co podobno przy fiksatach ma być niebezpieczne, postanowiłem nie tylko tą razą ciekawości mu mojej nie pokazać, ale w ogóle nie zdradzić, że ją mam względem całej jego osoby i całej historyi jego życia. Myślałem, że sam czas przyjdzie mi w pomoc, a dłuższa z nim znajomość zaspokoi ją po woli. Wszakże i tak już po krótkim jego upływie, znaczne zrobiłem postępy; poznałem jego mieszkanie i dowiedziałem się imienia. Przy drugiej wizycie dowiem się może nazwiska, przy trzeciej historyi życia, o której przewidywałem, że musi być nader zajmująca. Postanowiłem więc czekać cierpliwie i najlepszymi nadziejami usypiałem już obudzoną ciekawość.

Tym czasem całe tygodnie mijały i czwarty już ku końcowi dochodził, a nadzieje te w niczem się nie spełniły. Ani o krok dalej w znajomości mojej z panem Hilarym nie postąpiłem, choć ją żywiec starałem się już to umyślnem odszukiwaniem go po miejscach publicznych, już wizytami w jego mieszkaniu, na które kilkakrotnie byłem przez ten czas zapraszany. Pan Hilary okazywał mi przy każdym spotkaniu nadzwyczajną życzliwość, traktował mnie zawsze jakby dawnego i najlepszego znajomego, rozmawiał nawet ze mną i dużo i chętnie; ale uważałem, że ostrożnie i pilnie unikał

wszelkiej okazji, któraby go w dalszem następstwie doprowadzić była mogła do wygadania się przedemną z jakimis̄ szczegółami względem swojej osoby. Posuwał on tę ostrożność tak daleko, że przypadkiem niby w inną zawsze stronę oczy swoje odwracał, ile razy spostrzegł, że m̄ ciekawy i pytający wzrok rzucał na ów obraz, zieloną zasłonięty franką, który więcej od wszystkich innych mistyfikacyi ciekawość moją drażnił tak dalece, że przy pierwszych wizytach często bardzo na niego spoglądałem. Pan Hilary udawał wtedy, że tego nie widzi. Ja znowu zapytywać go bezpośrednio nie chciałem o rzecz, której tak widocznie nie miał ochoty przedemną wyjawiać, i uzbrajałem się ciągle w nową cierpliwość, która się jednak przebierać już zaczynała.

Tak nareszcie nadszedł wspomniany na początku mego opowiadania wieczór, pod czas którego rozmowa nasza toczyła się przez kilka godzin o magnetyzowanych stołach. Mnie zjawisko to zajmowało nadzwyczajnie, a to więcej niemal pod względem psychologicznym, niż fizykalnym. Niepojętą dla mnie było rzeczą, że prosty, zwyczajny stół, którego nogi weszły u nas w przysłowie nie bardzo grzeczne, przybierał pod wpływem gołych palców ludzkich wszystkie pozory rozumnej, a nawet moralnej istoty, że nietylko na zadane pytania odpowiadał stukaniem, nietylko taką samą miał wolę, jak człowiek, który mu rozkazywał, ale że np. doznawał nawet pewnego uczucia wstydu, jeśli się w odpowiedziach swoich pomylił, a został połajany, które to uczucie objawiał takim starannem i gorliwem poprawianiem zrobionej pomyłki, jak dziecko, kiedy skarcone zostanie za niegrzeczność. Przekonałem się o tem osobiście i naocznie przy kilku eksperymentach, w których sam brałem udział, i opowiadałem panu Hilaremu różne podobnych doświadczeń wypadki z wielkim zapalem i entuzjazmem. On słuchał cierpliwie mego opowiadania, i dopiero przy końcu zawołał, jak to już raz powiedziałem: że nic nowego pod słońcem. A kiedym mu wspomnianą także już zrobił uwagę, że zjawisko z magnetyzowanymi stołami uchodzi za nowość zupełną w Europie, powtórzył zdanie swoje z przyciskiem, zapytał mnie, czy nie słyszałem nic w życiu o Mesmerze, a potem wstał i poszedł do szafy, która stanowiła dość spora podęczną biblioteczkę

o kilkuset dziełach; wyszukał pomiędzy niemi kilka książek i położywszy je przedemną na stole, jedną z nich otworzył, przewertował kilkanaście kart, a wskazując palcem na wynalezione miejsce, podał mi je do przeczytania.

Wziąłem książkę do ręki, i wyraźnie czarne na białem przeczytałem, co następuje: „*Chcieć, jest to magnetycznie skutkować. Wola w nas magnetyczna jest ta sama, która np. włada ręką; więc jak podług woli naszej ruszać nią możemy, tak następnie w naszej jest mocy ruszać za pomocą woli i nieruchome, nieżyjące przedmioty.*”

Tak jest istotnie, to było wydrukowane czarno na białem! Raz i drugi spojrzałem jeszcze na książkę, żeby się przekonać, czy też jakimś optycznemu nie podlegam złudzeniu.

„Jeśli ci to nie wystarcza,” rzekł pan Hilary z uśmiechem, „poczekaj, poszukamy więcej dowodów,” i zaczął w innej książce wertować, a znalazłszy po chwili, czego szukał, wskazał znów palcem wynalezione miejsce i podał mi książkę w milczeniu.

Wziąłem ją do ręki i znowu wyraźnie czarne na białem czytałem: „*Płyn magnetyczny zależy od woli naszej, tak jak nasze ręce i mowa nasza. Cała tylko sztuka magnetycznego działania polega na tem, żeby siłę tego płynu mniejszą lub większą w każdym człowieku, umieć przenieść i przelać na zewnątrz w te istoty lub rzeczy, które działaniu jego mają i powinny ulegć.*”

„Widzisz więc, mówił pan Hilary, kiedy to miejsce głośno odczytał, widzisz, że teorya chodzących i gadających stołów nie jest dla mnie żadną nowością. Znano ją w świecie już przed laty 30tu; bo zdaje mi się, że te książki drukowane przed 30tu laty.”

W tém powiedzeniu uważać mógłem udzielone mi pozwolenie bliższego zapoznania się z podanemi książkami. Spojrzałem na okładki. Tytuł jednej brzmiał: „*Rzut oka na Mesmeryzm p. J. Baudouin*”, drugiej: „*Głębsze uważanie Mesmeryzmu, p. J. Baudouin.*” Obiedwie drukowane były w Warszawie, jedna w r. 1821, druga w r. 1822. Wyglądały jak wszystkie nieomal w owym czasie broszurkowym sposobem w Warszawie drukowane książeczki na bibule, skro-

mnie, niepozornie, nawet nieporządnie. Nie wiem więc, co właśnie te, (gdy na tyle innych patrzałem obojętnie) szczególnego miały w sobie, że zaledwie kart ich dotknąłem się palcami, uczułem w nich jakieś dla oka niewidzialne lekuteńkie drganie i dziwny pociąg do dłuższego tych książek trzymania w rękę, i że w mimowolną zapadłem zadumę.

„Domyślam się z Twego milczenia, przerwał ją nareszcie pan Hilary, że książki te nie były ci znane. Uprzedzić winienem cię przeto, że to nie są jedyne tego rodzaju książki. Dużo ich wtedy o tym przedmiocie pisano i drukowano, bo też wtedy magnetyzm tak w Polsce głowy zawracał, jak dzisiaj stołowe nogi. Ale przepraszam, źle powiedziałem, że *wtedy*. Przed rokiem albowiem 1820, a nawet przed początkiem naszego wieku już w Polsce zajmowano się i teorią i praktyką magnetyzmu. Przejęto naukę o nim z Francyi razem z modą, i prawie tak szybko jak modę. W Paryżu bowiem z teorią swoją magnetyzmu wystąpił doktor niemiecki *Mesmer* dopiero roku 1779; a powodzenie najgłośniejsze miał po roku 1780, kiedy z nim ściśle się złączył i zwolennikiem tej nauki został p. d'Esion, przyboczny doktor hrabiego Artois. Wtedy też dopiero imię i praktyki jego nabrały szerokiego znaczenia i rozgłosu. W Polsce zaś już w roku 1789 pojawili się pierwsi magnetyzorowie i sztuki swoje praktykowali.“

Ostatnie te słowa powiedział p. Hilary z widoczną goryczą na ustach. Na czole też jego sposepniała chmura, która się na nie przy początku zaraz tej rozmowy zaciągnęła. Nie uszło to mojej bacznosci. Więc żeby go na słowo wyciągnąć, zamierzyłem wdać się w opozycją i rzekłem:

„Nie wiem doprawdy, a nawet wątpię, żeby już w roku 1789 wiedzieć była miała Polska coś o magnetyzmie. Jeżeli zaś wiedziała, co jak powiedziałem, dla mnie jest jeszcze wątpliwe, to chyba jedynie z dalekiego posłuchu. O praktykach magnetycznych, pewien jestem, że mniej wtedy w Polsce wiedziano niż dzisiaj o żelaznym wilku, albo przed rokiem o chodzących i gadających stołach.“

„Otoż własnym twoim przekonam cię argumentem, odparł p. Hilary. Praktyka i manipulacya ze stołami łatwiejsza, przystępniejsza i prostsza, potrzebowała tylko kilku miesięcy, żeby z zachodu zająć do nas. Praktyka magnetyczna z ludźmi

daleko więcej skomplikowana i nie każdemu przystępna, w dwa dopiero, albo we trzy lata po zjawieniu się swoim w Paryżu zaszła do nas i trafiła nie tak jak dzisiejsza praktyka ze stolami, najprzód do skromnych domków mieszczaństwa i drobnej szlachty, ale wstęp pierwszy znalazła u tak zwanych magnatów, dygnitarzy, którzy wtedy ściślejsze i częstsze mieli stosunki z Francją. Mógłbym ci na to niezbite i oczywiste wskazać dowody““, dodał p. Hilary w uniesieniu, w jakim go dotąd nie widziałem i spojrzął na ów zasłonięty obraz nad stolikiem. Potem wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju i nagle stanął przedemną.

„Posłuchaj panie Ryszardzie, rzekł na pozór spokojnie. Nie dla zaspokojenia próżnej ciekawości, boby się to z mej strony nie godziło, gdybym dla niej wyjawiał przed tobą tajemnicę familijną, która nikomu z pomiędzy żyjących nie jest dziś znaną, a której uczciwość imienia nie pozwala przed światem rozgłaszać; nie dla zaspokojenia więc twojej ciekawości opowiem ci smutną jedną historją, w której sam ważną odgrywam rolę, ale dla nauki, jaką z niej możesz dla siebie wyciągnąć, a która podobno i potrzebną ci jest i posłużyć ci może przy twojem fantastycznym, wybacz że to mówię, usposobieniu i przy tej egzaltacyi, jaką w tobie rodzi niepojęte ze stolami zjawisko. Widząc je w tobie, słuszną mieć mogę obawę, ażeby cię ta niepojęta i nierozumiana dotąd siła, której ludzie nazwać nawet nie umieją, nie nabawiła takiego kłopotu i biedy, jak n. p. owego ucznia czarnoksiężnika, co to duchy podziemne przyzwał na swoje posługi, a potem pozbyć ich się, ani odkłąć nie umiał. Z podobnemi rzeczami trzeba być nader ostrożnym, choćby też dla tego tylko, ażeby nie paść ofiarą złudzenia własnej wyobraźni, lub niepocziwjej przebiegłości oszustów, których jak nigdy w świecie nie brak, tak w podobnych razach, jakby nasiał, mnóstwo się rodzi i grasuje. Przekona cię o tém moja historia, z której powyższe maksymy wyczerpnałem. A mam ją nie z romansów, nie z książek, ale z własnego doświadczenia, z własnych i cudzych kolei życia najnieszczęśliwszych. Opowiem ci ją jutro, albo przy pierwszym naszym spotkaniu, jak będziesz chciał, bo dziś już pora spóźniona, a historia moja dość długa, nie da się w dwóch słowach powiedzieć. Musimy ją przeto odłożyć, na czem je-

dnakże ty nie zgoła nie stracisz, bo przez ten czas przeczytasz sobie te oto książeczki, które bądź łaskaw zabrać ze sobą. Dowiesz się z nich bliższych wiadomości o magnetyzmie, odgrywającym w zapowiedzianej mojej historii jedną z najważniejszych ról.“

Tak mówił pan Hilary, przysuwając ku mnie tajemnicze książeczki, a byłby może mówił jeszcze dłużej, gdybym ja do dłuższego słuchania był miał ochotę i cierpliwość. Pierwszy raz jednak brakło mi jej teraz u pana Hilarego, a przyczyną tego były owe książki, które w szczególniejszy sposób na wyobraźnię moją działały. Nie mogłem pohamować w sobie ciekawości prędkiego dowiedzenia się, co w sobie zawierały, pochwyliłem więc pierwszą sposobność do wyjścia, a zabrawszy książki pod pachy, pożegnałem pana Hilarego, wybiegłem na ulicę i szybkim krokiem spieszyłem ku domowi. Bóg wie czy to była imaginacya moja, która, przyznaję, trapi mnie często najdziwaczniejszymi złudzeniami; Bóg zatem wie, czy to była imaginacya, czy rzeczywistość, ale mnie się wtedy oczywiście zdawało, że pod lewą pachą, którą książki owe przyciskałem, czułem w drodze jakieś szczególniejsze łaskotanie i palenie, jak gdybym wystawił ją był na lekkie działanie maszyny elektrycznej. Łaskotanie to trwało, dopókim książki trzymał pod pachą, lecz i po ich odłożeniu w mój stancyi nie ustał jeszcze skutek jego moralny, pod którego wpływem paliły się głowa moja i wyobraźnia. Czémprędzej rzuciłem się na łóżko i czytać zacząłem. Com wyczytał, opisywać nie będę, bo nie myślę rozwijać tu teoryi magnetyzmu, ani kopijować drukowanych książek, które każdy ciekawy sprrowadzić sobie może i w oryginale przeczytać. Dodam więc tylko (co poniekąd do powieści mojej należy), że skończywszy bardzo późno w noc czytanie, położyłem obiedwie książki na stoliku przy łóżku, zdmuchnąłem świecę, i zasnąć chciałem czémprędzej, ażeby nie tylko ciału potrzebny dać wypoczynek, ale i rozbudzonej wyobraźni, która raz w ruch wprawiona, pracuje potem *bez*, a nawet *mimo* woli człowieka w biednej jego głowie według własnego upodobania i siły, że tak powiem, żywiołowej, której prawa leżą gdzieś daleko po za granicami woli ludzkiej. Nie wiem, czy innym ludziom zdarza się to, co mnie w podobnych razach, że się stają formalnymi

niewolnikami takiej rozkołysanej wyobraźni, że ona snuje przed ich zamkniętymi oczyma najfantastyczniejsze obrazy i widziadła, którym w żaden sposób i przy największém wyteżeniu woli opędzić się nie mogą i że tak przy zdrowych na pozór zmysłach kosztują fatalnych rozkoszy dojrzałego szaleństwa. Nie wiem, czy to jeszcze komu drugiemu zdarza się na świecie, ale co do siebie, znam dostatecznie, że moja wyobraźnia posiada taki nieszczęsny przymiot samodzielności, który nie jednej już nocy przeklinałem.

Owey tam nocy po przeczytaniu dzieł o Mesmeryzmie, zacząłem zaraz uczuć symptomata podobnego paroksyzmu. Więc czémprędzej zdmuchnąwszy świecę, chciałem zasnąć, nim się mocniej rozwinie i wzmoże. Lecz wnet niestety spostrzegłem, że już było zapóźno! O zaśnięciu ani było myśleć. Dziwactwa zaczęły mi się roić po głowie. Zdawało mi się między innemi kilka razy, że jakiś nieznany mi człowiek stoi przy łóżku i rzuca rękami swemi na twarz moją płyn magnetyczny, którego działanie zaczęło mnie wprawiać w jakiś sen niecałkiem senny, jak mówi Mickiewicz, graniczący pomiędzy marzeniem a jawą, a przejmujący duszę moją w chwili zupełnego niby usnięcia, takim dziwnym uczuciem niepojętej jakiejś trwogi, że się wtedy na łóżku zrywałem i przerażonem spojrzeniem szukałem przy niem owego nieznajomego magnetyzera. Nie było nikogo! Ja ręką przecierałem czoło i kładłem głowę na poduszkę, ażeby po chwili mieć takie same widziadło, i tak samo się zerwać i kłaść na nowo. Za czwartym dopiero razem po takim zerwaniu, zdawało mi się, że ów płyn magnetyczny wychodzi i pada na twarz moją w kształcie bladawych i prawie białych promieni z owych dwóch książek o Mesmeryzmie, które leżały na stoliku w głowach moich przy łóżku.

Podniosłem się spiesznie, spojrzałem na książki; leżały na tém samém miejscu, gdzie je położyłem; lecz dziwnie jakos wyglądały w moich oczach. Zdawało mi się, że obiedwie uniosły trochę czarne swoje okładki, i wykrzywiły utworzony przez to otwór, jak gdyby usta do szyderczego uśmiechu. Strach mnie opanował. Wskoczyłem równemi nogami z łóżka, porwałem książki i wyrzuciłem z gniwem do drugiego pokoju.

Potem wypilem szklankę wody, położyłem się na nowo,

nerwy zaczęły się uspokajać, widziadła nie powracały i wnet zasnąłem.

Kiedym się na drugi dzień o późnej godzinie obudził, (mogło już być około południa) pierwsza rzecz, która mi przyszła na pamięć, było to zdarzenie ostatniej nocy. Przypominałem je sobie bardzo dobrze, boć mi się przytrafiło nie we śnie. Dla lepszego jednak odświeżenia go sobie w pamięci, wyrząłem do drugiego pokoju, ażeby zobaczyć rzucone na posadzkę książki. Rzecz dziwna, nigdzie ich tam nie było. Spojrzałem na stolik przy łóżku. Leżały obiedwie tak, jak je położyłem wczoraj. Tylko okładki miały wykrzywione, jakby do szyderczego uśmiechu.

Usiadłem zdumiony na łóżku, przetarłem oczy, spojrzałem raz jeszcze na stolik; książki leżały jak wczoraj! Powoli spuściłem nogi, a jeszcze wolniej wstawałem, oczu nie mogąc oderwać od tych książek, które rzeczywiście leżały na tém samym miejscu, gdzie gasząc świecę, położyłem je wczoraj. Co to miało znaczyć? Wiem przecież dobrze, tak sobie myślałem, że je z całą siłą wyrzuciłem do tamtego pokoju. Jak one weszły znów na ten stolik? Nie, to być nie może, to chyba złudzenie wyobraźni, a może sen tak żywy, że go biorę za rzeczywistość. Byłbym już gotów i to przypuścić, gdyby nie te okładki, co wczoraj były proste, a dziś się rzeczywiście do szyderczego powykrzywiały śmiechu, zupełnie tak samo, jak wyglądały w nocy, kiedym książki wyrzucał. Więc to jednak nie był sen. Ja je istotnie wyrzuciłem. Lecz jak one tu znowu wlażyły na ten stolik? Czy siłą nadprzyrodzoną? Tego przypuszczać nie dozwalał zdrowy rozsądek i filozofia racjonalna, której nie napróżno przed kilkunasty laty słuchałem na jednym uniwersytecie niemieckim. Jeżeli zaś nie siła nadprzyrodzona, więc co? A może płyn magnetyczny? Otoż to wpadłem na dobrą drogę domysłów, i zaraz zacząłem sobie przypominać, jak wczoraj w jednej z tych książek czytałem, że *wola w nas magnetyczna jest ta sama, która n. p. włada ręką; więc jak podług woli poruszać nią możemy, tak następnie w naszej jest mocy ruszać za pomocą woli i nieruchome, nieżywe przedmioty*. Któż zatem wie, rezonowałem sobie dalej, czy tu jaka wola magnetyczna nie przeniosła tych książek na stół z podłogi; bo wszakże w dru-

gięj znów z tych książek czytałem, że *plyn magnetyczny zależy od woli naszej; a cała sztuka magnetycznego działania polega jedynie na tém, żeby siłę tego płynu umieć przenieść i przelać z siebie na zewnątrz w te istoty, lub rzeczy, które uledez mają jego działaniu.* Jeżeli więc przelał ktoś swój plyn magnetyczny na te książki, to je mógł za pomocą jedynie swęj woli przenieść z podłogi na stół, nie będąc nawet obecny w tym pokoju i nie dotknąwszy się ich ręką. Ale któżby to zrobił? Ja nie, zaprzysiądz to mógłem nietylko sobie, ale światu całemu. Przy zdrowych zmysłach wyrzuciłem je za drzwi, ale chyba tylko przez sen mógłem je być podnieść i znowu na stole położyć. Że jednak lunatykiem nie byłem, że przez sen nigdy nie nie robiłem, więc nie podobna mi było przypuścić, żebym tą razą bez przebudzenia się z łózka był wstał i przechodził się śpiący tam i napowrót po dwóch pokojach. Nie, to niepodobna! Ja tego przez sen, ani we śnie nie zrobiłem. Ktoś drugi zrobić znów nie mógł, bo nikt w pokoju nie powstał. Obejrzałem dobrze wszystkie kąty i dopiero teraz spostrzegłem, że nawet służący Johann nie przyszedł był dotąd po suknie, które zwykł był czyścić co rano. Dziś nietknięte i nieczyszczone leżały przy łóżku na krzeselku, jak je porzuciłem wczoraj. To mnie trochę zastanowiło, bo godzina już była późna. Pociągnąłem przeto za dzwonek, którego dźwięk zapraszać zwykł był do mego pokoju Johanna, a tym czasem robiłem w skrytości serca dalsze postrzeżenia i domysły, które się wreszcie wszystkie skończyły na tém, że gdy żadna żywa istota, prócz mnie samego, nie powstała téj nocy u mnie w pokoju, nikt téż przeto zwyczajną siłą fizyczną nie mógł był owych książek podjąć z ziemi, przenieść z jednego do drugiego pokoju i położyć na stole. A gdy tego nikt zrobić nie mógł siłą fizyczną i mechaniczną, więc chyba zrobić kto musiał siłą magnetyczną. Że zaś ze wszystkich w tém mieście znajomych moich, nikt nie mógł posiadać sztuki przelewania z siebie magnetycznego płynu na przedmioty zewnętrzne, tylko sam jeden pan Hilary, który był właścicielem owych tajemniczych książek, na niego przeto całe moje padło podejrzenie; i zaraz téż domniemywania najprawdopodobniejsze robić począłem, że to być musi jakiś ukryty, <http://www.magnetyz.pl> który Bóg wie, jakie

względem mnie ma zamiary i jakie na osobie mojej robić zamysła doświadczenia; w czém mnie cały jego tajemniczy sposób życia i postępowania utwierdzał. Przypominałem sobie różne z czasu naszej znajomości szczegóły, które dotąd były dla mnie zagadką, a teraz dopiero stawały się zrozumiałe; wszystkie zaś składały się na dowód, że p. Hilary jest magnetyzerem. Wszczętemi na tój drodze dedukcyami, byłbym w sobie niewątpliwie aż do najgłębszego przeświadczenia wyrobił to o panu *Hilarym* mniemanie, gdyby mi ich w tój chwili nie było drzwi skrzypnienie przerwało. Po skrzypnięciu zaraz się też te drzwi uchyliły i na progu stanęła *Gustka*. Była to służąca domu, nigdy jednak do mojej stancyi niewchodziła, dopókim był u siebie. Służbę moją przyboczną robił zawdy Johann. Tem więcj przeto dziwiła mnie jój ranna teraz wizyta:

„Gustko, zawołałem, co to znaczy, że Johann dotychczas rzeczy nie wyczyścił? “

„Ach! Panie, odpowiedziała zakłopotana *Gustka*, ja nie wiem, co to znaczy. Johann raniutko dzisiaj odwiózł jednemu panu rzeczy na kolej żelazną i dotąd nie wrócił. Państwo bardzo zakłopotani nie wiedzą, co się z nim stało; może uciekł do Ameryki, albo do Kalifornii, dokąd miał wielką ochotę.“

I gotowa była *Gustka* dalej przedemną swoje domysły rozwodzić, gdybym jój nie był przerwał, trochę niegrzecznie, ale stanowczo: „Pozwól Johannowi do Ameryki uciekać, a tym czasem dla mnie przynieś czempredzj kawę.“

Jeden wszakże interes miała dla mnie relacya *Gustki*, upewniała mnie bowiem w przekonaniu, że Johann w moim pokoju nie postal. Już też przeto i wątpić nie móglm, że książki same weszły na stolik, a upewniony o tsm, patrzałem na nie z wielkim respektem, który się do tego stopnia posuwał, że kiedym ubrał się nareszcie i wyjść zamyslał z zamiarem niepowrócenia aż znowu późno wieczorem po odbytj u pana Hilarego wizycie, któremu właściwie należało się te książki odnieść; nie miałem odwagi nie tylko wziąć ich znowu pod pachę, ale nawet ani dotknąć, choćby jednym palcem. Po prostu stchórzyłem, przyznaję to ze wstydem!

Bez książek więc wyszedłem i o zwykłej godzinie udałem się do pana Hilarego, który przy umówionych moich wizytach tak rozporządził, że stary Szymon czekał na mnie

w sieniach i za pierwszém we drzwi stuknięciem, uchylał je przedemną.

Dziś, kiedym wszedł do téj sieni, i przechodził około czarnej owéj kotary, mocniejsze, niż za pierwszą razą, uczułem w piersiach ściśnienie i przyspieszone o cały takt bicie serca.

Pana Hilarego zastałem siedzącego w krześle; przyrząd do herbaty już był zrobiony; widocznie na mnie czekano.

Przyjął mnie, jak zwykle, uprzejmie i wskazał drugie takie krzesło naprzeciw siebie. Spojrzałem na nie z uwagą, zanim usiadłem, a usiadłem ze wstrętem. Musiał to spostrzedz p. Hilary, bo rzekł:

„Nie w swoim coś jesteś humorze, milczący i osowiały! Czy może źle spałeś tej nocy?“ i uśmiechnął się przytém.

Ani w tém jego spostrzeżeniu, (bo było prawdziwe) ani w tym uśmiechu, poniekąd dobrodusznym, nie było nic nadzwyczajnego; mnie on jednak przypominał szatański śmiech owych ksiązek z dzisiejszej nocy i zdawało mi się, że upatruję dziwne pomiędzy nimi podobieństwo. Nic więc nie odpowiedziałem, tylko niewzruszonym i badawczym wzrokiem patrzałem w oczy pana Hilarego.

„Co ci się stało, panie Ryszardzie,“ zawołał z niespokojnością p. Hilary i wziął mnie za rękę. Ręka moja zdrząła.

„Tyś słaby,“ dodał z troskliwością.

„„Nie, panie Hilary, odrzekłem, nie jestem słaby; obejdę się przynajmniej bez kuracyi, zwłaszcza *magnetycznej*.““

To ostatnie słowo powiedziałem z rozmyślnym przyciśnięciem, i rękę moją gwałtem prawie z dłoni pana Hilarego wysunąłem.

Kolej zadziwienia przyszła teraz na niego. Ciekawy i pytający wzrok utkwiał we mnie i milczał. A że i ja do rozmowy w téj chwili żadnej nie miałem ochoty, a przeciwko oczom p. Hilarego oczy także jedynie moje wysłałem do walki, milcząc przez długą chwilę patrzeliśmy na siebie.

Pierwszy milczenie to przerwał p. Hilary, ale tylko trzy powiedział słowa:

„Nic nie rozumiem!“

„„To ja panu całą tajemnicę wytłómaczę!““ odrzekłem z wolna, z lekkim na ustach i w głosie odcieniem ironii, i za-

cząłem całą przygodę nocną opowiadać, siląc się o utrzymanie tonu żartobliwego, ale m czułem, że mimowolnie wpadałem w poważne patos tragiczne.

Pan Hilary słuchał opowiadania cierpliwie, a z każdą chwilą wyraz twarzy jego więcej przybierał powagi, czoło stawało się coraz więcej myślące i zadumane. Ani podobieństwo, żeby wiedzieć był miał cokolwiek o nocnej mojej przygodzie, lub przyczynić się do niej swą wolą. Nareszcie, kiedy skończył, rzekł po chwili namysłu:

„Zdumienia we mnie twoje opowiadanie nie obudziło; nie wszystkiemu nawet dziwię się, com słyszał. Bo że na tym świecie są siły i rzeczy, o których się filozofom naszym nie śniło, których ograniczonym naszym rozumem pojąć nie możemy, w to wierzę i o tem przekonany jestem jak najmocniej. Do takich potęg nieznanych liczę także i magnetyzm. Wywiera on wpływy i wywołuje skutki dla racjonalizmu niepojęte. Wiem o tem i z teoryi magnetyzmu, którą się w mojem życiu dużo zajmowałem i z doświadczenia osób, bardzo blisko obchodzących i serce moje, i całą moją osobę. Ale z tej teoryi i z tego doświadczenia wiem także i o tem, że siła magnetyczna nie może nic zdziałać, coby się wbrew przeciwiło przyrodzonym i znanym dziś prawom fizyki; nie może np. ciała z przyrodzenia ciężkiego podnieść w powietrze. Dla tego też nocny twój przypadek z książkami, które same powróciły na stół, z kąd je zrzuciłeś, mocno mnie zastanawia. Byłoby to nowe w historyi magnetyzmu zjawisko, gdyby się okazało prawdziwe. I ono też tylko zadziwia mnie w całej twojej przygodzie. Mniej zadziwiający dla mnie jest wpływ, jakiego na osobie swojej doznałeś, trzymając owe książki o magnetyzmie w rękę, lub w bliskiej, a pewnie bezpośredniej z sobą styczności na stole przy łóżku.“

„„Jakto, mniej zadziwiający jest ten wpływ?““ zapytałem zdumiony, „„toć dalsza przygoda była tylko następstwem tego fatalnego wpływu, pod którego wrażeniem wyrzuciłem owe książki za drzwi. Chciej więc pan bliżej mi wytłómaczyć, co przez to rozumiesz?““

„Nie będę ci,“ odparł pan Hilary, „tego właśnie szczegółu bliżej tłómaczył, bo ty go sobie sam wytłómaczysz, jak tylko dowiesz się historyi tych fatalnych książek, ich pocho-

dzenia, kolei i rąk, przez które przechodziły. A że te wszystkie szczegóły są tylko ubocznymi epizodami owój smutnej historii, którą ci wczoraj powiedziałem obiecałem, więc od niej zacznę i na niej skończę. Czy gotów jesteś słuchać?”

„„Ależ ja z ciekawości usycham!”“ odpowiedziałem z żywością.

„Należ więc,” rzekł pan Hilary z uśmiechem, „i sobie i mnie herbaty, żebyśmy mieli czem odwilżać, ja usychające od długiego mówienia gardło, ty usychającą ciekawość, albo cierpliwość i nudy.”

Wypełniłem w milczeniu, co pan Hilary polecił, on popił nalanę herbaty, poprawił się w krzesło i tak mówić zaczął.

Przed czterdziestu i kilku laty, tak samo jak dzisiaj, w tém tutaj byłem mieście, a siedziałem w niem nie dla przyjemności, co łatwo pojmiesz, jeżeli ci na myśl przyjdzie, że o czterdzieści kilka lat byłem wtedy młodszy. Sprowadziły mnie tutaj i dłuższy czas trzymały bardzo niemiłej natury interesa familijne, a raczej interesa majątkowe mego ojca, który żył jeszcze wtedy, i co rzadko się zdarza, za życia swego jeszcze postrzegł i odkrył przedemną, jedynym swoim dzieckiem, że z ogromnego na pozór majątku, zostaną mi po nim same tylko kłopoty i długi.

Byłem już wtedy pełnoletni, mogłem zdrowo myśleć i zastanawiać się nad podobnymi stosunkami finansowemi; poznawszy więc opłakany stan majątku ojca, widziałem od razu, że był kompletnie zrujnowany i nie pozwalał się nawet ludzi powszechną nadzieją bankrutów — nadzieją jakichś tam lepszych czasów i konjunktur, które same przez się podupadłe majątki podnoszą.

Nadzieją tą ludzić się było niepodobna, porachowawszy dochody z dóbr wprawdzie obszernych, lecz obciążonych takim ogromnym długiem, że już na opłacanie prowizyi te dochody nie wystarczały.

Długu tego przyczyna i pierwszy początek zagadką były tak dla mnie, jak i dla wszystkich ludzi fachowych, którzy się interesami mego ojca zajmowali w Warszawie. Po największej części zaciągnięty został jeszcze przez mego dziadka w osta-

tnich latach życia i o tyle też najsurowsi w podobnych razach sędziowie nie obwiniali mego ojca, który przejął go razem ze spadkiem i w tém chyba tylko zawinił, że poprawą gospodarstwa, podniesieniem dochodów, a ograniczeniem wydatków nie starał się przez czas swego zarządu upłacać częściowo tego długu, ale przeciwnie pomnożył go przez nieopłacanie procentów, które główny wierzyciel przez lat kilkadziesiąt kapitalizował i tym sposobem pierwotną summę pożyczki podwoił.

Nudnemi, a przynajmniej obojętnemi zdawaćby się mogły te szczegóły o majątkowych stosunkach mego ojca dla ludzi, jak ty, panie Ryszardzie, nieznających nawet familijnego mego nazwiska; uprzedzić przeto cię muszę, że one są kluczem do dalszej mojej historyi, bez którego nikt otworzyć, ani wyrozumieć nie potrafi sfinksowej zagadki ani mego opowiadania, ani pozornego w niem dziwactwa.

Nietylko więc zacząć mi od nich należało, lecz nim do rzeczy samęj przystąpię, powtórzyć tu jeszcze muszę z przyciskiem, że wszystkich, co bliżej nieco obeznani byli z interesami naszymi familijnymi, niesłychanie ów dług pryncypalny zadziwiał. Rodzina albowiem nasza, należąca do najstarszych w Polsce, oddawna dziedziczyła majątek znaczny i rozległy, który od kilku już generacyi nie dzielił się nigdy więcej, jak na dwie połowy, które się zwykle do pierwotnej całości dopełniały przez szczęśliwie i rozsądnie zawierane małżeństwa. Dziad mój odziedziczył go nawet niepodzielny i cały, bo był jedynakiem. Po dziadzie objął go znowu w całości mój ojciec, bo był także *prawie* jedynakiem. Powtarzam *prawie*. Miał bowiem mój ojciec siostrę parę lat młodszą od siebie, która jednak w kwiecie wieku, nim za mąż wyszła, gdzieś za granicą na wojażu umarła, i ojca mego jedynym dziedzicem całego pozostawiła majątku. Przejął go więc mój ojciec po śmierci dziada w całości, ale z owym znacznym długiem, o którym już raz wspomniałem, a który niezrozumiałą zagadką był dla mnie, kiedym poznał się był przed 40tu laty ze stannem interesów. Zapytywałem o objaśnienie różnych ludzi, co znali jeszcze mego dziada, który w rok po mojem urodzeniu pożegnał się z tym światem. Nikt mi go dać nie umiał. Wszyscy przyznawali wprawdzie, że to był wielki pan, nietylko

z urodzenia, ale i ze skłonności i gustów; ale téż dodawali zaraz, że wszelkie do tego miał prawa, jako jeden z najbogatszych w Polsce ludzi. Jeżeli przeto prowadził dwór i życie wystawne i okazałe, jeżeli utrzymywał, żywił i wspierał znaczną klientelę, to dopełniał tylko obywatelskiego obowiązku, od którego układ ówczesnego społeczeństwa w Polsce nie dozwalał się uchylać żadnemu panu bez obrażenia przyzwoitości. Dopełnianie tego zresztą obowiązku bynajmniej nie przewyższało środków, jakimi dziad mój bez uszczuplenia ojcowizny mógł rozporządzać. Wszyscy to przyznawali. Żył wystawnie i kosztownie, jak w ówczas na pana przystało, ale bynajmniej nie był marnotrawcą. Pojąć téż przeto nikt nie mógł, na co i po co zaciągnął ów dług, który razem z ojcowizną przekazał memu ojcu, który przy następnych klęskach krajowych, złych czasach i różnych nieszczęściach, doprowadził majątek nasz rodzinny do zupełnej ruiny. Pojąć tego nikt nie mógł, tém mniej, że jedyna współdziedziczka mego ojca, któraby z nim dzieliła była majątek, panną jeszcze umarła za życia swego ojca, nie mógł téż przeto dług ów być zaciągnięty być na wyplacanie części, jakoby na nią z prawa była przypadła.

Jedną uwagi pominąć tu wszakże nie mogę. Kwota zaciągniętego pierwotnie długu zadziwiała jeneralnego plenipotentą w Warszawie o tyle, że wedle jego obrachunków wynosiła właśnie taką sumę, jakaby mniej więcej przypadła była na dział owęj przedwcześnie zmarłej siostry mego ojca. Zrobił on mi tę uwagę. Ja ją powtórzyłem przy okazji ojcu, lecz żadnej na nią nie odebrałem odpowiedzi, co mnie jednakże wcale nie zadziwiło. Uważałem już bowiem nieraz, że kiedy przypadkiem kto z obcych, lecz w domu z dawna zażyłszych, wspomniał cokolwiek o owęj zmarłej ciotce mojęj, ojciec zbywał go zawsze kilku słowami, lub niczém, a rozmowę zręcznie na inny przeprowadzał przedmiot. W ściślejszém zaś kole familijném nigdy o nięj nie wspomniano, i ja przypadkiem tylko dowiedziałem się, że jęj imie było *Hortensya*.

Milczenie więc, z jakim ojciec przyjął uwagę generalnego plenipotentą, bynajmniej mnie i tą razą nie zadziwiło. Był to zwykły jego manewr, kiedy mu ktoś wspomniał o siostrze, pochodzący, jak wtedy sądziłem, z przykrego uczucia,

które się w sercu jego za każdym wspomnieniem o jej przedwczesnej śmierci budziło. Nie przywiązywałem więc wtedy ani do tego milczenia, ani do tej uwagi żadnego znaczenia. Przeczuwałem wszakże, a raczej wyczytywałem to w twarzy ojca, że mógłby mi pewnie o początku i przyczynie owego tajemniczego długu najlepsze dać objaśnienia, gdyby chciał. Że jednak tego nie robił, musiał mieć swoje przyczyny, które mnie szanować należało. Nie molestowałem go przeto niewczesną ciekawością, pocieszając się nadzieją, że najlepsze może jej zaspokojenie znajdę tu w tém mieście, dokąd wyjechać miałem i dokąd rzeczywiście też wtedy wyjechałem w interesie owego właśnie długu.

Tutaj bowiem przeniósł się był z Warszawy bankier, a raczej jego następca i imiennik, u którego dziad mój ową znaczną pożyczkę zaciągnął, a którego successor, co razem z firmą przejął wszystkie *aktywa* i *passywa* domu, gdy mu prowizyi od pożyczonej summy nie opłacano, kapitalizował je co parę lat i z zachowaniem wszystkich prawnych formalności przybijał do pierwotnej pożyczki, przez co summa jej prawie się podwoiła; a wtedy cierpliwy na pozór tak długo wierzyciel, zażądał nagle wypłaty całego kapitału, wytoczył process, po którego niewątpliwem wygraniu sekwestracyą i subhastacyą całego majątku groził. Groźba zaś taka, gdyby ją zrealizowano, przyprawilaby nas o nieuchronną zgubę i pozbawiła od razu nietylko wszystkich społecznych awantażów, jakie daje wielki majątek, a nawet sama tylko reputacya, że się go posiada; ale pozbawiłaby nas ostatniego nawet kawałka chleba i z mniemanych Krezusów przemieniła od razu w żebraków. Z taką zaś myślą niepodobna było oswoić się ojcu memu; co mówię, on jej przypuścić nawet nie mógł. I dla mnie myśl ta była okropna, mianowicie przez wzgląd na ojca, który dnie i noce męczył się wyszukiwaniem sposobów ratunku. Jeden wszakże tylko mógł wynaleść nader wątpliwy i problematyczny, ażeby zyskać na czasie, a w ciągu takiej przewłoki wyszukać dla mnie bogatą jaką partyą, i posagiem żony wnuka, dziadowskiego jeszcze wierzyciela krzyczące usta na chwilę zaspokoić.

Sposób to był aż nazbyt wątpliwy, jak to przedwstępna zaraz okazywała próba. Układy bowiem moje i negocjacje

z tutejszym bankierem nie rokowały zgoła pomyslniejszego dla sprawy naszej obrotu. Twardy to był i nieużyty Niemiec! Nietylko ustąpić nic nie chciał ze swoich pretensyi, bośmy też tego po nim wcale nie żądali, ale nawet nie akceptował umiarkowanych i słusznych moich przedstawień, ażeby wstrzymał natarczywe swoje nalegania i kroki sądowe o wypłacenie tak znacznej summy, do której wynalezienia czasu nam było potrzeba. Czasu więc jedynie nieco i miru zyskać od niego chciałem, ale napróżno!

Jm jaśniej wystawiałem nieużytemu Niemcowi niepodobieństwo tak szybkiego wystarania się o tak znaczną summę i ryczałtowego splacenia tak wielkiego długu, tem on uporczywiej przy żądaniu i przy prawie swoim obstawał, a tłómaczył się przedemną, że nie on właściwie summę ową dziadowi memu wypożyczał. Złożyła ją raczej była w depozycie u niego i na wypożyczenie zezwoliła prywatna pewna osoba, która teraz żąda zwrotu i kapitału i zaległych od procentu procentów. On więc jest tylko wykonawcą jój woli, i nie w tój mierze wedle własnych chęci nie działa, ani działać nie może.

Nie wierzyłem Niemcowi, i poznać mu to przy jednej rozmowie dałem tak wyraźnie, że obrażony w uczuciu bankierskiego honoru, który w pewnych razach i okolicznościach nadzwyczaj jest drażliwy, zawołał bez namysłu: „Pan nie wierzysz. W krótkce więc przekonam Pana o prawdzie tego, co mówię.“

Jakoż przy następném naszym widzeniu pokazał mi list, w którego piśmie od razu charakter kobiecy poznałem, nalegający na niego o przyspieszenie interesu, kończącego się naszą ruiną. Napisany był w odpowiedzi na przedstawienia, robione na naszą korzyść osobie, która się widocznie za prawdziwą wierzycielkę naszą uważała, i jako taka do swego mandataryusza bankiera przemawiała w sposób dosyć stanowczy i przyganiający poniekąd jego opieszłości. Spojrzałem ciekawie na podpis i wyczytałem niemieckie nazwisko: *Rabe*. Przykre ono zrobiło na mnie wrażenie, zapewne dla tego, że w tłómaczeniu polskiém przypominało ptaka, którego powszechnie za zwiastuna nieszczęść uważają. Takim dla mnie złowrogim zwiastunem, a raczej taką zwiastunką była autorka tego listu, bo że to była kobieta, poznałem od razu, jak się już

rzekło, po piśmie, a to odkrycie dodawało mi pewnej otuchy, którą budziła nadzieja, że pierwój i łatwiój zmiękczyć potrafię serce kobiety, zwłaszcza jeżeli jeszcze była młodą, niżeli wysuszonego samolubném powołaniem bankiera. Skwapliwie więc jałem go wypytywać o nią i o miejsce jój pobytu, do którego udaćbym się był gotów, choćby na drugi koniec świata. Wszystkie moje jednakże wypytywania były daremne, bo na wszystkie odpowiadał mój bankier sucho i krótko, że z panią Rabe zobaczyć się nie będę mógł w żaden sposób. Przyczyn nie chciał mi bliżej tłumaczyć, co mnie tém więcj dziwiło, że i w głosie jego, i w trybie odpowiedzi, gdy o niój mówił, postrzegałem coś tajemniczego i mistycznego. To zaś postrzeżenie wystarczało zupełnie, żeby imaginacją moją zapłodnić najosobliwszego rodzaju fantasmagoryami, co dla lepszego twego rozumienia objaśnić muszę tą uwagą, że zapalność wyobraźni, pochodząca z nadzwyczajnej drażliwości i egzaltacyi nerwowój, była prawdziwą młodszyc lat moich chorobą. Dziś tego po mnie nikt nie pozna. Czas, wiek i stosowny tryb życia zwalczyły tę słabość, która w rodzinie mojej była dziedziczną.

Nie jesteś może, panie Ryszardzie, mówił, zwracając się wprost do mnie pan Hilary, nie jesteś może zwolennikiem rasowości, bo się to jakoś z pojęciami demokratycznymi nie zgadza; i ja nim nie jestem w znaczeniu nierosądnych uroszczeń. Sądzę jednak, że jak między zwierzętami są rasy, w których się pewne przymioty, zalety i wady przechowują, tak też i człowiek, o ile jest zwierzęciem fizycznym, odbiera wraz z życiem od rodziców pewne właściwości fizycznego organizmu, które znów dzieciom swoim przekazuje, w wyższym nieraz stopniu rozwinięcia, niż je sam odebrał. W naszym rodzie podobną organiczną właściwością była nadzwyczajna egzaltacya i drażliwość nerwowa, która mianowicie u kobiet dochodziła czasami do punktu, na którym w organizmie ludzkim już się choroba zaczyna. Ale i mężczyźni w familii naszej nie byli od niój wolni. Cechowała wszystkich dziwna jakaś niespokojność ducha i owa górna fantazyja, o której poczciwy nasz Pasek powiada, że od dawna właściwą była niektórym Polakom. Odznaczało się nią i kilku moich przodków, którzy prawdziwymi byli poetami, ale poetami życia, jak na ten czas w ogóle cała

poezya w życiu się i w czynie u nas objawiała. Pewien jednak jestem i nieraz to sobie już myślałem, że kiedy teraz dawniejsze życie Polski przycichło, to gdyby ród mój nie kończył się na mnie, niewątpliwie prędzej, czy później, pojawiłby się w nim dla Polski wielki jaki poeta słowa. Pewien tego jestem, bo czuję sam po sobie, że w młodości mojej posiadałem wszystkie przymioty, które widzimy, że się w poetach naszych czasów znajdują: dużo fantazyi, żywą i ruchliwą wyobraźnią, nieprzezwyeczony pociąg do marzeń, i ów szósty zmysł, którym poeci ponad wszystkich innych ludzi są wyposażeni, a za pomocą ktorego widzą to, czego nikt nie widzi, i w rzeczach na pozór najobojetniejszych umieją zawsze odkryć jakąś stronę zajmującą, tajemniczą, dziwaczną. I ja szósty ten zmysł posiadałem; a jeśli z nim nie zostałem głośnym poetą, to tylko dla braku harmonii pomiędzy władzami duszy, ponad które zbytęcznie wygórowana wyobraźnia nie zostawiała mi dosyć spokoju do wyrobienia w sobie stósownej i odpowiedniej formy, bez której wszelkie poetyczne zasoby ducha wyradzają się w rozkielznaną fantastyczność. To i ja téz fantastą byłem za młodu, a byłem nim z powodu zbytęcznej egzaltacji nerwowej.

Dzisiaj tego po mnie nie poznasz, mówił po krótkiej przerwie dalej pan Hilary, obojętnęm nawet zdawać ci się może będzie wszystko to, co ci o dziedzicznych w familii naszej przymiotach mówiłem; uprzedzam przeto, że wiedzieć o tém koniecznie wypada temu, kto w dalszym ciągu mego opowiadania zrozumieć będzie chciał niektóre osobliwsze i nadzwyczajne zjawiska. Wiedzieć zaś o mojem osobistęm do fantastyczności usposobieniu należało ci już teraz, jeżeli masz choć w części wyrozumieć stan, w jaki mnie ostatnia rozmowa z bankierem wprowadziła. Ta jego tajemniczość, z jaką ukryć starał się przedemną wszelką bliższą o pani Rabe wiadomość, to jęj nazwisko, które i znaczeniem i brzmieniem *kruka* przypominało, ta zresztą okoliczność, że od nięj miał dziad mój ów niepojęty dla nikogo dług zaciągnąć; to wszystko składało się w węzeł gordyjski, na którego rozwiklywanie z chęciwością rzuciła się pochopna do marzeń i dziwactw wyobraźnia moja. Bóg wie nie jakie zacząłem w myśli robić kombinacje i przypuszczenia, które po powrocie do domu późno w noc zasnąć mi nie dały; a kiedym zasnął, męczyły mnie jeszcze i we śnie

najfantastyczniejszymi widziadłami, w których najważniejszą rolę odgrywał zawsze kruk. Krążył on ustawicznie nad moją głową, czarnym obwijał ją wiankiem i chrapliwie krakał; aż nareszcie usiadł mi na głowie i zaczął w oczy dziobać. Zbudziłem się znużony i wstałem w najgorszym humorze, a kwasu do niego dodały wnet listy, które tego ranka odebrałem z Warszawy i od ojca. Żeby się trochę rozerwać, wyszedłem wcześniej niż zwykle na miasto, i flanowałem sobie właśnie tu po tej ulicy, gdzie zresztą przed 40tu laty, tak jak dzisiaj, o pewnych godzinach cały świat elegancki tego miasta zwykł się być po środkowej przechadzać alei. Chodziłem sobie dnia tego po niej prawie samotny, bo dla elegantów tutejszych była to jeszcze zawczesna godzina; a samotność taka w miejscu zwykle ożywionem wprawiała mnie w coraz większą zadumę. I tak zadumany zaszedłem nareszcie w okolicę tego domu, w którym obadwaj w tej chwili siedzimy. Lecz nim opowiem, co mnie wtedy spotkało, pierwej pozwolisz, że cię mimochodem zapytam, czy w zewnętrznej fizyognomii tego domu nie uderzyło może kiedy twojej uwagi coś szczególnego, co ciekawość naszą budzi, sami nie wiemy, dla czego?

Zadziwiło mnie niepomąłu to pana Hilarego pytanie, i odpowiedziałem mu z szczerością, że domu tego powierchowność, tak od całego otoczenia różna, oddawna już ciekawość moją intrygowała.

Otóż tak samo, jak ciebie dzisiaj, mówił pan Hilary dalej, intrygowała ona mnie już przed laty 40tu; a miała do tego większe niż dzisiaj prawo, bo bardziej jeszcze była uderzająca i dziwniej odbijała od innych. Te zewnętrzne mury i ściany, dziś odświeżone i czyste, wyglądały wtedy posępnie i czarno od starości i brudu, który się na nich przez długie czasy osadzał. Dach był podziurawiony i pogięty, a w dolnych oknach, wewnętrzne okiennice, tak jak teraz, dzień i noc zawsze zamknięte, połowa szyb wybitych zalepiona żółtym papierem.

W mieście tak eleganckim, jak już przed 40tu laty za-

czyniało być miasto tutajsze, każdego niezawodnie uderzała w ulicy najludniejszej i najładniejszej z całego miasta podobna powierzchowność podobnego budynekczku. Mnie ona nietylko uderzała, ale jak dobrze wyraziłeś się: intrygowała mnie tak dalece, że nigdy koło tego domu nie przeszedłem, żeby na niego nie spojrzeć, lub się na chwilę nie zatrzymać.

Owego dnia, o którym tu mowa, kiedym środkową aleją przybłąkał się w to miejsce, zatrzymałem się z dawnego nałogu, a oparty o drzewo, zacząłem jak zwykle przyglądać się domkowi z razu bez myśli, a następnie z myślą wyprzedzenia sobie w głowie dziwnej niewątpliwie historii jego mieszkańców. Nie wiem, jak długo stałem w tém rozmyślaniu, kiedym dopiero spostrzegł, że tuż obok mnie stoi ktoś drugi, i takimi samymi jak ja bawi się obserwacyami tajemniczego domu, dodając do tego jeden jeszcze przedmiot, na który ciekawe obracał oko, a którym własna moja była osoba. Obróciłem się i spojrzałem na niego. Był to hrabia P..., którego poznałem przed kilku laty w podróżach moich za granicą i polubiłem w czasie téj krótkiej znajomości dla tego może właśnie, że między naszymi upodobaniami i usposobieniem umysłowém wielkie zachodziło pokrewieństwo. I on był marzyicielem, fantastą, i on posiadał ów szósty zmysł upatrywania i wynajdywania nadzwyczajności w rzeczach dla zwyczajnych ludzi najzwyczajniejszych. Gonił nawet i jeździł za niemi po świecie, szukając, jak sam mówił, wrażeń, drażniących nienasyconą jego ciekawość. W jednej takiej podróży przypadek zbliżył nas z sobą; poznaliśmy się i polubili wzajemnie. Ale była to znajomość tylko przelotna, której późniejsze żadne stosunki nie podtrzymywały. Straciwszy go po powrocie do kraju z oczu, straciłem zarazem i z myśli, a po kilkoletniém niewidzeniu teraz go znowu pierwszy raz spotkałem. Poznaliśmy się jednak od pierwszego spojrzenia. Patrzył on już na mnie dość długo, zanim go spostrzegłem, a teraz przystąpiwszy bliżej, witał mnie podaniem ręki i rzekł: „Ta sama, jak widzę, zbliża nas znowu z sobą przyrodzona skłonność; bo jeśli się nie mylę, to i ciebie w to miejsce sprowadza dziwna fizyonomia tego domu. Czy może wiesz jego historią i dziśniejszych jego mieszkańców?“. Odpowiedziałem, że nie wiem. „Otóż zawstydzic mogę twoją niepraktyczność, mówił z uśmie-

chem hr. P..., bo choć dopiero od dwóch dni znajduję się w tém mieście, i choć dzisiaj drugi raz dopiero oglądam t, klatkę, dowiedziałem się jednak już tyle i powiedzieć ci mogę że to jest gniazdo *kruka*, a raczej *dwóch kruków*."

O krok jeden cofnąłem się na te słowa w tył i tak zdziwionym wzrokiem spojrzałem na hrabiego, że mnie aż zapytał, dla czego tak ciekawie na niego patrzę. „„Ależ bo radbym rozumiał,““ odrzekłem, „„co to za gniazdo, a zwłaszcza co za kruki, które się w nim gnieźdzą?““ „„Za wiele żądasz naraz,““ odpowiedział hrabia z tym samym co wprzód uśmiechem, „przez krótki ciąg mego pobytu, potrafiłem się tylko tyle dowiedzieć, że w tym domu mieszkają dwie dziwne istoty rodzaju żeńskiego, które w całym mieście dla wielkich i małych nazywają się *Krukami*.“ „„Ale czy to familijne ich nazwisko,““ zapytałem nie bez myśli ukrytej, „„czy familijne nazwisko, czy tylko przezwisko, a raczej przydomek?““ „„Otóż tego,““ odpowiedział hrabia, „odkryć dotąd z pewnością nie zdołałem. Mogłoby być i jedno i drugie. Gotówbym jednak prawie chętniej przypuszczać, że jako nazwisko przydane im zostało z okazji zatrudnienia, a raczej procederu, jaki od lat dwódziestu prowadzą i z okazji ubioru, który od lat dwódziestu niezmiennie noszą.“ „„Cóż to za ubiór i jaki proceder?““ zapytałem ze wzrastającą ciekawością. „„Ubiór czarny, jak noc,““ odpowiedział hrabia, „nikt jeszcze w innym żadnej z nich nigdy nie widział, i nikt nie widział żadnej bez czarnej u czarnego kapelusza krepowej zasłony. Proceder zaś ich czarniejszy jeszcze od ubioru i prawdziwie kruczy. Aż strach pomyśleć, że te dwie kobiety, które w tym domu mieszkają, trudnią się jedynie i wyłącznie ubieraniem i układaniem w trumny trupów; aż strach pomyśleć, że te dwie kobiety, gdyby np. Panu Bogu podobało się położyć w tém mieście kres życia mojego, aż mnie strach pomyśleć, że te dwie kobiety dotykałyby się ciała mego, żeby je myły i ubierały rękami, które tego samego dnia może już trzy, albo cztery ciała innych trupów myły i ubierały. Trzeba ci bowiem wiedzieć, mój ty nieprzyjacielu wszelkich przywilejów, że te dwie kobiety mają na całe miasto jedyny prawie monopol trupi; wszyscy nieomal nieboszczykowie przechodzą przez ich ręce. I ty, jeśli byś umarł dziś w nocy, znalazłbyś się jutro w ich objęciu,

które od tyłu trupów musi już być zimne, jak śmierć; co myślisz?”

Ja nie wiem, co myślałem, ale to wiem z pewnością, że żart hrabiego nadzwyczaj był dla mnie w tej chwili niemiły. Musiał on tego dostrzedz na mej twarzy, bo dodał czémprędzej. „Samo podobne przypuszczenie przykre w tobie obudza uczucia; a czy uwierzysz, że ja tu spotkałem ludzi, którzy tym kobietom zazdroszczą szkaradnego ich procederu. Ma on albowiem być bardzo zyskowny. Bajeczne też doprawdy historye o zebranych przez nie majątku słyszałem. Wierzyć im nie można. Będzie w nich tyle, co zwykle w plotkach ludzkich, przesady i fałszu, ale też bez wątpienia jest i dużo prawdy. Chętnie temu wierzę. Boć jeżeli monopol trupi w całym mieście posiadły, w mieście tak ludnym i bogatym, jeżeli co dzień choć tylko dwóch trupów ubiorą, a prócz zwykłej zapłaty wezmą jeszcze, wedle zwyczajaju, po każdym trupie bieliznę i z nieboszczyka i z pościeli, na której umarł, to chętnie temu dam wiarę, że sobie spory uciulać mogły mająteczek, skoro go w ten sposób od lat dwódziestu ciulają, bo od 20stu lat prowadzą one swój zyskowny proceder.“

Te ostatnie dopiero słowa hrabiego zdjęły z serca mojego kamień, który się na nie wtłaczać zaczął od początku jego opowiadania o bajecznym tych *Kruków* bogactwie. Tożsamość ich nazwiska z nazwiskiem owęj pani Rabe, której list u bankiera wczoraj czytałem; ich tajemniczy majątek; jego tajemnicze postępowanie, gdy go o bliższe szczegóły względem owęj pani Rabe pytałem; wszystko to budziło i w pewność u mnie zamieniało podejrzenie, że one, a nie kto inny, były fatalnemi wierzycielkami naszymi. Teraz dopiero podejrzenie to słabnąć poczęło; boć dziad mój przed 20stu już laty dług ów zaciągnął, *kruki* zaś od 20stu dopiero lat zbierać majątek swój na trupim procederze zaczęły, nie mógł go przeto zaciągnąć u nich. Taki był wniosek logiczny, który sobie na prędcze z ostatnich słów hrabiego wyprowadziłem; ale przez to nie zmniejszył się wcale interes, jaki one we mnie obudziły dla tajemniczego domku i jego mieszkańek. Jałem więc hrabiego dalej wypytywać. Nie mogłem jednak dowiedzieć się nic więcej nad to, co już powiedział. Zrobił mi tylko nadzieję, że może już jutro usłyszę coś bliższego;

postanowił bowiem nie opuszczać tego miasta pierwój, zanimby się całej historii życia dwóch tych osobliwych kobiet nie dowiedział i całej prawdy nie odkrył. „Ku temu celowi, mówił następnie hrabia, potrzeba mi przedewszystkiem przekonać się o rzeczywistój na tym świecie egzystencji takich kobiet. Zobaczyć więc najprzód muszę choć jedną, ażebym był pewien, że mnie nie zmistyfikowano i że jest *corpus delicti*, a raczėj przedmiot śledztwa. W tėj też jedynie myśli przyszedłem dzisiaj w to miejsce i zająłem ten, jak widzisz, posterunek, z którego obserwować zamierzam i drzwi i okna. A że i ciebie podobny zapewne zamiar w to miejsce sprowadził, więc siły nasze połączmy i wspierajmy się wzajemnie. Miejscowość sama przewybornie nam służyć zdaje się i sama podaje taktkę, jaką przyjąć wypada. Czy widzisz tę naprzeciwko kawiarnią? Zajmijmy ją na samprzód, jako stanowisko zaczepno-odporne, a luzując się kolejno przy oknie, z oka nie spuścimy żadnego ruchu nieprzyjaciela. Czy zgadzasz się na to?”

Nic pilniejszego nie mając do roboty, chętnie pochwyciłem sposobność niewinnego rozerwania się w myślach swoich kłopotliwych i przystałem na propozycją hrabiego. Weszliśmy natychmiast do kawiarni i zajęliśmy z razu obadwaj miejsce upatrzone przy oknie; ale gdy kilka już godzin minęło i rozmowa nasza półgłówna słabnąć i wyczerpywać się poczyniała, a w przeciwległym domku nie dawał się najlżejszy ślad spozstrzegać, żeby w nim żywa mięszkała istota, znudzony i znudzony daremném upatrywaniem, zostawiłem na posterunku przy oknie samego hrabiego, a sam poszedłem do stołu, na którym kilka pism ówczesnych leżało; wziąłem jedno z nich do ręki i zacząłem czytać. Ale też ledwie zacząłem, przerwał je hrabia nagłym powstaniem z krzesła, a nie odwracając wyężonego wzroku od okna, chrząknął dwa razy i dawał mi niemy znak kilkakrotném skinieniem ręki. Pospieszyłem za znakiem. Przed domkiem, a raczėj tuż przed jego drzwiami, stała kobieta, oparta o futrynę dla wypoczynku po widocznem od szybkiego pospiechu zmęczeniu, ale ani czarno była ubraną, ani wcale do kruka niepodobną. Stała tak przez chwilę; potem z widoczną niecierpliwością schwyła i mocno ciągnąc poczęła za drut wiszący przy drzwiach od dzwonka. „To już drugi raz dzwoni. Zobaczmy, kogo się dodzwoni,” rzekł

hrabia i wzrok swój ciekawy jeszcze mocniej zaostrzył. I zdawało się, że nie długo pozostawieni będziemy w niepewności i oczekiwaniu, po chwili bowiem poczęły ruszać się drzwi, ale uchyliły się nie dosyć, żeby przez nie wejść, lub też tylko zajrzeć było można do sieni. Przybyła też kobieta wcale się do tego nie zabierała; przychyliwszy się tylko nieco do wąskiego otworu, powiedziała coś, czegośmy słyszeć nie mogli, a zdawało się zupełnie, jak gdyby do drzwi samych była mówiła, bo za niemi żywój nie było widać duszy. Po krótkiej takiej przemowie, odwróciła się nagle i szybkim oddalać poczęła krokiem. Drzwi domu znowu się przymknęły i dawna powróciła cisza grobowa.

Hrabia po woli od okna obracał wzrok na mnie i nie mówiąc, patrzył przez chwilę jak człowiek, zawiedziony nad wszelkie spodziewanie w wytężonych swoich oczekiwaniach. „Czy widziałeś!“ zapytał nareszcie. „„Nic nie widziałem!““ była moja odpowiedź, na pół ironiczna. „I ja nie,“ podchwycił fantastyk hrabia, „a jednak ciekawość moja więcej, niż kiedykolwiek zaostrzona. Coś się dziwnego mieści i mięszka w tym domu. Zobaczym przecie, miejmy tylko cierpliwość!“

Mieliśmy więc jeszcze i dłuższą cierpliwość, która znowu po kilkogodzinnem wytężeniu wynagrodzoną, a raczej zawiedzioną tak samo została, jak pierwszy raz. Przyszedł bowiem znowu przededrzwi człowiek, tą razą mężczyzna, lokaj w liberyi, zadzwonił, raz i drugi, potem również, kiedy się nieco uchyliły, powiedział do nich słów kilka i spiesźnie odszedł. Hrabia znów na mnie patrzył, jak pierwszy raz, i dopiero po dłuższem milczeniu przemówił: „Czy nie osobliwsza historia? Ale powtarzam: cierpliwość, a wszystko się odkryje. Toć to widocznie były obstalunki. Krukou dano znać, że śmierć dla nich żér gdzieś nowy przysposobiła. Ujrzym niebawem, jak kracząc, polecą na niego. Tylko cierpliwość!“

Mieliśmy przeto i teraz jeszcze cierpliwość; ale gdy znowu godzina cała na daremnem oczekiwaniu minęła, a nikt z obserwowanego domu nie wyszedł, ani też nie wszedł do niego, brakło jój nareszcie, nawet upartemu hrabiemu. Odstąpił od okna, a przeszedłszy się kilka razy w milczeniu po kawiarni, zatrzymał się nareszcie przedemną i rzekł: „Taktyka nasza była niewątpliwie dobra, ale w strategicznym planie

popelnić musieliśmy jakieś błędy, które poprawić będzie trzeba lepszym rozpoznaniem miejscowości. Ten dom musi mieć inne jeszcze wyjście i wejście. Zaraz się o tym dowiemy.“

To powiedziawszy zbliżył się do gospodarza cukiernika, który stał za kantorem i z talentem urodzonego inkwizytora, wszczął z nim rozmowę na pozór najobojętniejszą, którą jednak wnet przeprowadził na przedmiot, o którego wyjaśnienie głównie nam chodziło.

„Panowie musicie być w tym mieście, rzekł zadziwiony gospodarz, zupełnie obcymi, kiedy was jeszcze ten dom intryguje i kiedy nie wiecie, że w nim mieszkają *dwa kruki*, *dwóch Kabcu*.“

Ten ostatni wyraz, wymówiony po niemiecku, (gospodarz był Niemiec), dreszczem mnie przejął mimowolnym, przypomniał mi albowiem znowu wczorajszą rozmowę z bankierem i fatalne nazwisko naszej wierzycielki, a obudził znów podejrzenie, że być nią może jedna z tajemniczych mieszkanek tego domu, które to podejrzenie umocnił we mnie gospodarz długim opowiadaniem tego, co sobie w całym mieście mówią o bajecznych bogactwach tych kruków. Była to zresztą powtórzona tylko i fantastycznemi głosami przyozdobiona powieść hrabiego, z tym chyba jedynie nowym, a nawet i jemu nieznanym dodatkiem, że nasz cukiernik niedowierzał powszechnemu mniemaniu, jakoby w tym domu dwie tylko mieszkały kobiety i jakoby obiedwie były już w wieku podeszłym; nie dowierzał zaś dla tego, że od czterech lat, jak trzymał tę cukiernią, słyszał był kilka razy, wieczorem, dolatujący z pierwszego piętra owego tajemniczego domku, śpiew niewieści, tak zaokrąglony, donośny, świeży, że podobny głos wydać, zdaniem cukiernika, była jedynie mogła pierś młodzieńcza i pełna. Miał więc mocne podejrzenie, że się tam trzecia jeszcze ukrywa młoda kobieta, o której świat nie wie.

„A czy pan nigdy więcej, jak dwie, nie widziałeś?“ spytał zaintrygowany hrabia.

„Ja żadnej jeszcze, dzięki Bogu, nie widziałem,“ odrzekł zapytany, a kiedy mu hrabia zadziwienie swoje z tego powodu okazał i pojąć nie mógł, jakby dzieć się mogło jeżeli te kobiety rzeczywiście żyją na świecie, i w domu naprzeciwko mieszkają, a żeby przez lat cztery nie widział żadnej z nich

wchodzącej lub wychodzącej z niego, i kiedy zapytał z przekąsem, czy nie wylatują też czasem do swoich nieboszczyków kominem i czy nie od tej kominowej podróży wyglądają właśnie tak czarno, jak kruki; kiedy więc tym sposobem zdradził nieufność w całą tę historią o dwóch bajecznych trupiarkach, urażony jakoby i do żywego niedowiarstwem takim dotknięty cukiernik, rzekł głosem najgłębszego przeświadczenia: „Możesz pan słowom moim wierzyć lub nie, jak się podoba. Zaręczycie jednak, a nawet zaprzysiędz mogę, że wszystko prawda, co powiedziałem. Wytłómaczę też panu tę nieprawdopodobną na pozór okoliczność. Te drzwi służą tylko do zamówień i obstalunków, które się przy nich zawdy w taki sposób odbywają, jak dzisiaj. Dla samychże zaś *Kruków* inne jest wyjście i wejście do domu — i to nie przez komin, jak się panu żartować podobało, ale przez ogród obszerny, którego wprowadzie nie znam, ale o którym mi mówiono, że się szeroko za tym domem rozciąga i dotyka aż do równoległej z tą tu ulicy, na którą z niego wyprowadza furtka, znajdująca się w wysokim, opasującym go murze. Przez nią wchodzą i wychodzą kruki na miasto “

Kiedy to pan Hilary powiedział, ja mimowolnie zawołałem: „Więc jednak sklepowy mój chłopczyzna miał racją!“

Zdziwionym wzrokiem spojrział na mnie pan Hilary, nie mogąc naturalnie znaczenia słów tych zrozumieć; i dopiero, kiedym mu ze wstydem wyznał moje względem osoby jego poszukiwania, dodał z uśmiechem: „Podszpiegowywałeś mnie troszeczkę, panie Ryszardzie, mógłbym się na ciebie gniewać, a ja się nawet nie dziwię, boć wiem, że do tego domu przywiązany już jest taki fatalizm, iż ludzi intryguje. Toć i my wtedy z hrabią, usłyszawszy odkrycie, jakie przed nami zrobił cukiernik, wpadliśmy nasamprzód na podobnąż myśl, żeby poszukiwania nasze obrócić w tamtą ulicę od strony ogrodu i już postanowiliśmy rekonesans dzisiejszy powtórzyć jutro przy furtce ogrodowej, kiedy przeszedłszy się kilka razy zamysłony po pokoju hrabia, stanął nagle przedemną i machnąwszy ręką, rzekł uradowany: „Nag genialny koncept wpadłem, przyjacielu. Te uliczne rekonesanse, przyznasz, że okropnie

nudne i niekoniecznie do celu prowadzą. Można cały dzień czekać i oczy sobie wypatrzeć, a nie nie zobaczyć. Jest inny, prędszy i pewniejszy sposób dostania się do tych kruków. Cobys n. p. na to powiedział, gdybym poszedł w ślady owego liberyjnego lokaja, i obstalował trupiarki niby to do nieboszczyka, a wskazał im moje mieszkanie. One przychodzą, wystaw sobie tylko tę komiczną scenę, przychodzą do nieboszczyka, a zamiast jednego trupa, zastają dwóch chłopców żywych i zdrowych, jak rydze. Powiadam dwóch, bo i ty musiałbyś na zamówioną godzinę być u mnie dla godnego przyjęcia takich gości. Co mówisz na ten pomysł, czy nie genialny?

„Mówię, że niewczesny, odpowiedziałem ze wstrętem widocznym, jaki we mnie propozycja hrabiego obudziła, niewczesny pomysł i żart niestósowny, bo najprzód niegodzi się w taki sposób kusić Pana Boga i jak to mówią: dźgać djabła w piecu ozogiem; a potem nie godzi się stroić żartów z dwóch biednych istot, które dosyć i aż nadto są już nieszczęśliwe, że w spółce ze śmiercią prowadzą swoje rzemiosło.“

„Skrupulat jesteś, jak nie znam drugiego, odpowiedział hrabia. Co one stracą, te dwie nieszczęśliwe istoty, że też raz żywego zobaczą człowieka i po ludzku z nim się rozmówią. Toć myślę, że one i owszém wdzięczność nam będą winne za sposobność, jaką im podamy znalezienia się w naszym towarzystwie. Jeżeli zaś o stracie materyjalnej mówiłeś, to zapewniam cię, że jej na obstalunku moim nie poniosą. Dam im podwójną zapłatę, dam dwie najcieńsze koszule i dam nietylko bieliznę z pościeli, ale nawet pościel całą, która jeszcze dla nich i ten będzie miała awantaż, że nikt w niej nie umarł. — Czegóż więcej żądać możesz?“

„Żeby z nieszczęścia nie żartować! odrzekłem z żywością. A czy ty wiesz, co to za kobiety być mogą? Czy myślisz, że jedynie brudna chęć zysku jest dla nich bodźcem tak szkaradnego rzemiosła? Czy myślisz, że przy niezmiernych bogactwach, o których tyle słyszeliśmy niestworzonych bajek, wystarczą im twoje biedne dwie koszule na zagojenie rany, jaką im może zadasz swoim żartem?“

Hrabia się zamyslił i dopiero po chwili milczenia odpowiedział: „Ty może masz racją. Ja o tem nie myślałem, ale

ty pewnie masz racją, że to nie mogą być dwie pospolite tru-
piarki. Zebrawszy taki, jak mówią, majątek, porzuciłyby zape-
wne szkaradne swoje zatrudnienie, gdyby ich do niego nie wią-
zała jakaś siła moralna, może jaki ślub, albo pokuta. To tra-
fna uwaga z twój strony; na mnie ona jednak, czy wiesz, jaki
wpływ wywiera? Oto podnosi do najwyższego stopnia już
podrażnioną ciekawość i domaga się jój zaspokojenia. Zaspoko-
ić téż muszę ją koniecznie i dojść ukrytój tajemnicy, choćby
nawet z lekką obrazą bardzo delikatnych twych uczuć. Ale
sądzę, że i w tej mierze zaspokoić twoje skrupuły zdołam.
Chodzi ci wszakże przedewszystkiém o to, żeby Kruki nie po-
miarkowały, że z nich zażartowałem. Więc słuchaj — tak
zrobię. *Udam* umarłego; na zamówioną godzinę wprowadzi
je mój służący do mnie, jakby do nieboszczyka, a ja dopiero,
kiedy manipulacye swoje będą chciały rozpocząć, odetchnę
i obudzę się niby z letargu. Tym sposobem, jeśli istotnie jak
mówisz, dobre mają serce, a rzemiosłem swoim nie trudnią
się jedynie dla zysku, powinny uradować się z mego odzycia,
a ja będę wtedy miał jeszcze i tę względem nich zasługę, że
dwie nieszczęśliwe choć na jedną chwilę uszczęśliwię. Czyś
jeszcze nie kontent?“

Ukryta była w głosie hrabiego ironia tak sztucznie, że
w pierwszej chwili pomiarkować nie mogłem, czy ze mnie żar-
tuje, czy mówi na *serio*. Uczułem jednak tą razą większy
w sobie wstręt, niżli przy pierwszej jego propozycji i widzia-
łem w terażniejszej coś prawdziwie bezbożnego. Ale wszelkie
moje perswazye nic nie pomogły. Uwziął się gwałtem i chciał
koniecznie na swoim postawić, a na długie moje odradzania,
odpowiedział mi w końcu: „Jeżeli nie zechcesz do wykona-
nia tego planu należeć, sam go wykonam. Zawiadomić mu-
szę cię jednak, że to dopiero po jutrze będzie mogło nastąpić.
Na jutro bowiem zamówiony już jestem przez kilku znajomych
na partya konną, którą zrobić zamysłamy na wieś, o dwie mile
zład odległą. Wrócę z niej zapewno późno, będę zmęczony;
umrzeć więc jutro, nie byłoby ani czasu ani ochoty. Ale za
to po jutrze nic mi nie przeszkadza. *Kruki* obstalują sobie
na godzinę jedenastą rano. Najdalej około dwónastój obu-
dzą się z letargu, najdalej około trzeciej do zupełnego zdro-
wia i do dawnych sił wrócę, a około czwartej, jeśli pierwój

nie będziesz łaskaw przyjść do mnie, spotkamy się tu na tój alei, gdzie spodziewam się, że dziwne rzeczy będą ci miał do opowiadania. A teraz żegnam, przyjacielu, do zobaczenia na godzinę czwartą, po jutrze i po śmierci!“

To powiedziawszy, ścisnął mnie za rękę i wyszedł. Ja jeszcze chwilę pozostałem w cukierni i oknem patrzałem za odchodzącym, który bez żartów kruki sobie poszedł zamawiać. Widziałem, jak stanął przeddrzwiami domku, jak zadzwonił, jak drzwi te uchyliły się przed nim, jak do uchylnych coś mówił, i jak się potem w przeciwną stronę oddalał. Patrzałem za odchodzącym nieukontentowany i prawie markotny, sam nie wiem dla czego; potem sam wolnym krokiem poszedłem do siebie i późno w noc rozmyślałem jeszcze to o dziwnej historii owych kobiet, to o tajemniczej pani Rabe, to o lekkomyślnym kroku hrabiego; a wszystko razem plątało i mieszało się w mojej chorobliwej wyobraźni, nakształt różnofarbnych szkiełek kalejdoskopu, w dziwne i fantastyczne kształty i widziadła, które bez mego przyczynku same snuły się w mój głowie i przybierały wszystkie pozory rzeczywistości. Nie będę ci tych marzeń opisywał; jedno tylko wymienię dla obeznania cię z usposobieniem, pod wrażeniem którego nazajutrz z domu wyszedłem. Najważniejszą w owych marzeniach rolę odgrywała zawsze tajemnicza śpiewaczka, o której cudownym głosie i śpiewie opowiadał domysły swoje cukiernik, i wiązała się ze wszystkimi w pamięci mojej baśniami, jakie w dzieciństwie o zaklętych słyszałem księżniczkach. Taką zaklętą księżniczką stała się dla mnie owa śpiewaczka, zaklętą i strzeżoną przez dwie czarownice, na jakie wyobraźnia moja przez noc trupiarki nieszczęśliwie przemieniła.

Z nabitą podobnemi urojeniami głową wyszedłem na drugi dzień z domu o wcześniejszej niż zwykle godzinie i sam nie wiem czy to przypadkiem, czy z przedsięwziętego zamiaru, zaszedłem aleją aż tu przed ten domek i wsparty o drzewo, przypatrywać się zacząłem nie bez uczucia jakiejś wewnętrznej trwogi każdej jego cegielce, szczególniejszą zwracając uwagę na zasłonięte pierwszego piętra okna. Patrzałem tak dość długo w myślach zatopiony. Dom stał, jak zawsze, głuchy, eichy i martwy jak grób. Naraz — wystaw sobie moje zdumienie — zadrgnęła jedna w górnem oknie firanka. Po

chwili zadrgnęła mocniej, uchyliła się potem i wysunęła się z poza niej rączka bieluchna, mała, o długich palcach, różowych paznogiach i stawiała na słońcu doniczkę róż rozkwitłych. Mnie oddech zaparł się w piersiach; to była widocznie ręka młodej dziewczyny! O tém miałem dość czasu niewątpliwie się przekonać, choć chwilę tylko na nią patrzałem, bo wnet schowała się znów owa ręka za firankę, która jak dawniej obwisła nieruchoma i martwa. Ale po nie dłuższej chwili zadrgnęła powtórnie i tą razą uchyliła się mocniej, a z po za niej wyjrzała twarz i głowa — ach! ale jaka twarz i głowa! Przyjacielu, choć może bardzo piękne w życiu widziałeś kobiety, przysięgam, że takiej nie widziałeś nigdy! Nie będę ci jęj tutaj opisywał, bo i na cóż zdadzą się najpiękniejsze opisy niepospolitej nawet piękności? Mogą one tylko, przez zbyteczne wyniesienie jednego, nad wszystkie inne uderzającego szczegółu, zerwać i popsuć cudowną grę harmonii, której zgoda w całości stanowi właśnie ową piękność zachwycającą, a bez której piękność ta w karykaturę się zmienia. I ja np. gdybym ci piękność owej głowy i twarzy chciał opisywać, położyłbym, zapewne największy przycisk, jeżeli nie na krucz włosy, a oczy niebieskie, to zapewne na czarne, a dziwnie długie i ukośne u powiek rzęsy, które wystawione przeciw słońcu, gdy się twarz nad doniczką schylała i różowemi ustami rozdmuchiwała kwiaty, rzucały na świeżą, choć bladą, a raczej białą jak marmur, długie i cienkie pasma cieniów, które wyglądały nakształ strun naciągniętych na harfę. Przycisk zaś taki, położony wyłącznie na te rzęsy, niedałby ci jeszcze zgoła wyobrażenia o uroku, jaki z nich padał na twarz nachyloną, a z twarzy na mnie, co ukryty aż dotąd za drzewem, wysunąłem się teraz nierozważnie naprzód, i ruchem tym zwróciłem na siebie uwagę wyglądającej z po za firanki piękności. Podniosła na mnie oczy, po poruszeniu ust widziałem, że krzyknęła, i cofnąwszy się szybko w głąb pokoju, spuściła firankę, która jak dawniej obwisła znowu nieruchoma i martwa!

Ja stałem długo, jak człowiek, który niespodziewanego doznał zawodu w nadziejach równieź niespodziewanych. Potem chowałem się za wszystkie drzewa kolejno, i jeśli nie porzecz, to przynajmniej rozedrzech chciałem wzrokiem fatalną firankę. Ale wszystkie moje manewry i cała cierpliwość na

nie się nie przydały. Firanka nie zadrgnęła już więcej i wisiła odtąd nieruchoma i martwa, jak grób! Możebym i ja z czasem był tak znieruchomiał, i jak Madaj wrósł w ziemię przy drzewie, za którym w końcu stanawszy, postanowiłem nie ruszać się z miejsca, dopóki rączka, co postawiła doniczkę róż na oknie, znów się dla zdjęcia jęj nie ukaże; gdyby mnie od tego zamiaru nie było odwiodło lekkie po ramieniu uderzenie. Obejrzałem się. Za mną stał bankier mój znajomy; nim mu pokazać zdążyłem nieukontentowanie, jakie mi niedyskretną swoją sprawił zaczepką, rzekł do mnie z stereotypowym na ustach uśmiechem: „Dobrze, że pana spotykam. Oszczędza mi to pisania do pana listu, zapraszającego na jutro do mnie, a pozwala dziś już odrobić nagły i pilny interes. Przed kilku godzinami nadeszły papiery w sprawie pańskiej ze sądu. Rzec skończona! Wyrok wydany na moją, oczywiście, stronę i na moją korzyść. Przysądza mi sumę z zaległemi procentami i prawo poszukiwania jęj na majątku i na osobie ojca pańskiego. To pierwsza niedobra i bardzo niedobra wiadomość. Ale mam jednak drugą jeszcze wiadomość, daleko lepszą, dla której widzieć pana chciałem koniecznie, bo ona zwłoki nie cierpi. Słuchaj pan. Pani *Rabe* okazała się skłonną do układów. Ale wchodzić w nie nie chce ani z panem, ani z żadną trzecią osobą, tylko osobiście z ojcem pana. Trzeba więc pisać po niego niezwłocznie i sprowadzić tutaj jak najprędzej.“

„*Tutaj* go trzeba sprowadzić, przerwałem zdziwiony i mimowolnie spojrzawszy na domek, dodałem: więc owa pani Rabe tu mięszka? “

Bankier nim odpowiedział, badawczym wzrokiem przez chwilę patrzył na mnie i rzekł: „I pan zapewne dowiesz się o tém niezadługo, a raczej dowiesz się o tém prędzej, im prędzej ojca sprowadzisz. Masz więc i w ciekawości swojej nowego bodźca do pospiechu; a że i inne są jeszcze okoliczności, dla których nie radziłbym żadnej w tym interesie zwłoki, więc pisz po niego natychmiast.“

I tu jak gdyby dla nadania większego swęj radzie znaczenia, przeciął dalszą rozmowę, pożegnał mnie krótko i poszedł. Poszedłem i ja za tą radą, a udawszy się natychmiast do domu, napisałem list obszerny, w którym rozwodziłem się

i nad szczególném postępowaniem w całej tej sprawie bankiera, i nad tajemniczą panią *Rabe*, i nad szczególniejszym daleko trafem, który mnie wprowadził na trop istnienia dwóch w tém mieście *kruków*, względem których niepłonne, jak mi się zdawało, miałem podejrzenie, że one zostawały w stosunku jakiejś tożsamości z panią *Rabe*; co opisując i motywując obszernie, nie zapomniałem także wspomnieć i o dzisiejszém zjawisku przy oknie.

Listu tego pisanie, że był obszerny i pełen ustępów fantastycznych, jakie mi chorobliwy stan umysłu i wyobraźni dyktował, zajęło mi tyle czasu, że kiedy, skończywszy go, spojrziałem na zegarek, blisko było godziny czwartej, wyznaczonój wczora na spotkanie się z hrabią. Szybko więc włożyłem list w kopertę, którą zaadresowawszy do ojca, chciałem już pieczętować, kiedy mi przyszło na myśl, że spotkanie się z hrabią poda mi może nowe jakie względem *kruków* szczegóły, które warto będzie do niego dopisać. Odłożywszy więc aż do powrotu pieczętowanie, pozostawiłem list zaadresowany, lecz otwarty na stole, a sam wyszedłem szybko na miejsce umówione spotkania.

Czwarta właśnie biła, kiedym tu stanął. Hrabiego jeszcze nie było. Zaczekajmy, pomyślałem, może nadejdzie później; ale mnie już w pierwszej chwili zdziwiło to jego opóźnienie, bo znalazłem go z tej strony, że właśnie w stawianiu się na podobne *rendez vous* nadzwyczaj był punktualny i akuratywny. Zdziwienie to rosło z każdą chwilą, która jedna po drugiej na daremném upływała oczekiwaniu. Wybiła godzina piąta, hrabiego jeszcze nie było! Zdziwienie moje przeszło w niespokojność. Musiało go spotkać coś nadzwyczajnego, pomyślałem, coś nadzwyczajnego, co go wstrzymuje. I jakby siłą intuicyi wiedziony, uczułem w sobie w tej chwili dziwną a niepojętą obawę i trwogę, która mi już dłużej czekać na ulicy nie dozwalała. Znane mi było mieszkanie hrabiego. Pospieszyłem więc do niego bez namysłu.

W tém miejscu mówił po krótkim przestanku i głębokiém odetchnieniu pan Hilary, w tém miejscu chciałbym posiadać talent prawdziwego i znakomitego pisarza, lub opowiadacza, ażeby mi w tak żywych i wybitnych kolorach mógł odmalować to, czego teraz doznałem i co mnie spotkało, w tak ży-

wych kolorach, iż siłą własnej wyobraźni wiedziony, mógłbyś przenieść się w moje położenie, doznać wrażenia, jakiego ja doznałem i na własne oczy widzieć to, com ja widział.

Nie posiadam tego talentu, opowiadać więc będę po prostu. Ty słuchaj z uwagą.

Znane mi było mieszkanie hrabiego. Nie potrzebowałem nikogo o nie wypytywać, ani w domu samym zaczepiać. Szedłem więc prosto do drzwi, które do jego prowadziły pokoju. Otwieram je i wystaw sobie, co widzę!

Na środku pokoju stoi trumna, czarnem obita suknem. W niej leży hrabia. Ręce ma na krzyż na piersiach złożone; twarz bladą; rysy w niej przeciągnięte, oczy zakłęsłe, jedném słowem trup, niewątpliwy trup!

Przy trumnie stała kobieta, czarno ubrana, i jedną ręką unosząc ze śmiertelnej poduszki obwisłą głowę nieboszczyka, wkładała na nią drugą ręką wieniec zielonego bluszczu. Moje wejście zwróciło jęj uwagę. Obróciła się ku drzwiom, i nagle, gdy mnie na progu ujrzała, upuściła z jednej ręki wieniec bluszczowy, z drugiej wysunęła jęj się głowa nieboszczyka, i martwym opadając ciężarem, stuknęła głucho o deskę trumny, na którą upadła.

Kobieta czarna, nie odwracając odemnie swęj twarzy, ani spojrzenia, którego wpływ czułem na sobie, choć ócz jęj, ani twarzy tęj nie widziałem, bo zakryta była czarną zasłoną, nie odwracając tedy swego odemnie spojrzenia, jednym krokiem cofnęła się w tył, krzyknęła przeraźliwie, i rękę prawą prostopadłe wyciągnęła ku mnie, jakby dla zatrzymania mnie na progu, i tak stała przez chwilę, jakby na widok mój skamieniała.

I ja podobnie skamieniały stałem na progu, z zapartym w piersiach oddechem.

W tém druga kobieta, również czarno ubrana, ale bez zasłony na twarzy, co przy oknie siedząc na krześle, szyla białe czechło śmiertelne, wstała szybko i z pospiechem, jakiego jęj wiek podeszły dozwalał, pobiegła do tamtęj przy trumnie, nachyliła się do nięj, szepnęła kilka słów do ucha; potem wzięła pod rękę, i drżącym postępującą krokiem; poprowadziła na kanapę, gdzie posadzona, głowę i ręce opuściła

bezwładnie, jak robić zwykł ten, co doznał przechodzącego siły a niespodzianego wzruszenia.

I mnie téż wtedy oddech dopiero w piersi powrócił i mimowolną party potrzebą, ulżyłem sobie bezwiedném po polsku wykrzyknieniem naszego: „Jezus Marya, co to jest!“

Na to wykrzyknienie, kobieta zakryta czarną zasłoną, podniosła opuszczoną głowę, obróciła po drugi raz twarz ku mnie, i znów krzyknęła, ale tak przeraźliwie, że piesek czarny, kudłaty, co dotąd spokojnie leżał i spał skulony na kanapie, przestraszony tym krzykiem, zerwał się i również przeraźliwie a żałośnie zaskomlał.

Ten krzyk powtórzony i to psa skomlenie uderzyć musiało spokojnych spokojnego domu tego mieszkańców, bo w téjże prawie chwili przybiegł znany mi służący Fryderyk, i z ciekawością zajrzał do pokoju.

Uchwyciłem go za ramię, jak się chwyta człowiek w niebezpieczeństwie każdej podpory, którą mu przypadek szczęśliwy nadarzy, cofnąłem się z nim na kurytarz, i prawie nieprzytomny zapytałem, co to wszystko znaczyło. Jeszcze albowiem wierzyć nie chciałem własnym oczom, żeby ów hrabia, co onegdaj pełen sił, zdrowia i życia, dla zaspokojenia tylko swój ciekawości, zamawiał sobie trupiarki, dziś rzeczywiście włożony przez nie do trumny, leżał w niej martwy i rzeczywistym był trupem. Jeszcze temu wierzyć nie chciałem, i gotów byłbym nawet to, com na własne widział oczy, wziąć za złudzenie optyczne, gdyby mi istotnej, choć nagłej i niespodzianej śmierci hrabiego nie był bardzo racjonalnie wytłómaczył Fryderyk, opowiedziawszy ze wszystkimi szczegółami, jak na wczorajszej przejażdżce upadł koń hrabiego przez płot, który miał przeskoczyć, jak potem koń wstał, ale hrabia wstać nie mógł, mimo użytych na miejscu środków przywrócenia mu życia; jak go potem bez życia przywieziono do miasta, jak sprowadzono policją i doktorów, którzy po kilku eksperymentach i krótkiej naradzie zadecydowali, że hrabia w saméjże chwili upadku żyć przestał, skutkiem natychmiastowego paraliżu spowodowanego przez nadzwyczaj gwałtowne wstrząśnienie kolumny pacierzowej; jak dzisiaj powtórnie przyszła policja, a przekonawszy się, że hrabia nie żył, rozporządziła dla niego pogrzeb na dzień jutrzejszy; i jak, w skutek

tego rozporządzenia, miano właśnie posłać po trupiarki, kiedy one same, mówił z tajemniczą miną podziwienia, same, bez czyjegokolwiek wezwania, stawily się tutaj, jakby na zawołanie, właśnie gdy po nie chciano posyłać.

„O której to było godzinie?“ zapytałem.

„„Punkt o godzinie jedenastój!““ odpowiedział Fryderyk, i byłby niezawodnie w tej chwili mógł widzieć moje pomięszanie, gdyby właśnie wtedy uwagi jego nie była na się zwróciła jedna z trupiarek, owa bez zasłony, co wyszedłszy z pokoju nieboszczyka, zatrzymała się przy drzwiach na kurytarzu i patrzyła na mnie wzrokiem, z którego od razu było można poznać, że ma do mnie jakiś interes, i tylko nie wie, jakby się z nim odezwać. Trudniej jeszcze byłoby jej odważyć się na to, gdyby przeczuwać była mogła, jakim wstrętem przejmował mnie w tej chwili jej widok. Chciałem go się pozbyć czémprędzej, i odwróciwszy się, szybko zacząłem odchodzić. Ale trupiarka z większym jeszcze pospiechem ruszyła za mną, a dogoniwszy mnie na schodach, pochwyciła uchodzącego za połę od surduta i rzekła cichym głosem, po polsku: „Wybacz pan!“

Ja zadrżałem, i nie ma wyrazu, któryby odmalować zdołał stan, w jaki mnie wprawiły: to dotknięcie się sukien moich rękami, które się jedynie trupów dotykały i te dwa słowa, wyrzeczone po polsku. Nie ma wyrazu na oddanie wrażenia, jakiego doznałem! Zadziwienie, zdumienie, przerażenie, to wszystko za słabe! Postrzegła to, jak widać, trupiarka, bo głosem lęklwym, choć mnie się zdawało, kiedym na nią w tej chwili podniósł oczy, że uśmiech ironiczny i szatański poruszył zwiędłe i wyschłe jej usta, tak dalej do mnie mówiła: „„Przepraszam, stokrotnie przepraszam! Jabym się nigdy na to nie była odważyła, bo wiem, że nie tylko ludzie, ale psy nawet uciekają przed nami, kiedy nas na ulicy zobaczą; nie odważyłabym się nigdy zbliżyć do pana, gdyby mi pani moja nie była kazala powiedzieć, że się z panem koniecznie widzieć i rozmówić musi.““

Na tę propozycyą, która dla mnie zdawała się być poselstwem śmierci, czułem, że krew ścinać zaczęła się w żyłach moich. Chciałem ją w bieg wprowadzić gwałtowném poruszeniem, chciałem uciekać i starałem się wyrwać połę surduta

z rąk trupiarki, która ją coraz mocniej ścisłała, a spoglądając na mnie wzrokiem żałośnym, przemówiła zawsze z uśmiechem pełnym boleści, przez którą jednak zdawała mi się przebijać szatańska jakaś ironia: „I pan uciekasz od nas, jak drudzy. I pan sądzisz z pozorów. I pan się brzydzisz! Nie — to być nie może! Krew byłaby sprawiedliwszą! Pani moja się myli, a jednak kazała panu powiedzieć, że nie pożałujesz krótkiego z nią widzenia, jeżeli na nie zezwolisz. Zlituj się więc nad nią, a może i nad sobą.“

I mówiła to z wyrazem takiego współczucia, że akcentem jego uderzony, a kombinując z szybkością błyskawicy znaczenie słów jej tajemniczych z tém wszystkiém, co od bankiera o pani Rabe słyszałem, zacząłem mimowolnie pilniej i uważniej przysłuchiwać się trupiarence, która gdy to spostrzegła, odezwała się znowu już głosem poufniejszym: „Wyznacz pan czas i miejsce. Dla pani mojej najdogodniejby było jutro o godzinie jedenastej!“

Ten ostatni wyraz jak piorun we mnie uderzył, bo mi onegdajszą rozmowę z hrabią przypomniał, i ostatnie słowa, które do mnie powiedział, a które teraz jak dzwon pogrzebowy brzmiały mi w uszach: „Do zobaczenia się *po śmierci!*“ Do zobaczenia po śmierci! A śmierć wyznaczył sobie na godzinę jedenastą — i śmierć stawiała się razem z krukami na wyznaczoną godzinę. I mnie widzenie wyznaczył po śmierci, a trupiarka sama wpraszała się do mnie także na godzinę jedenastą! Więc po jedenastej godzinie i po śmierci widzieć miałem się z hrabią! I to tak prędko — już jutro! Strach mnie opanował! Wyrwałem przemocą połę surduta z rąk trupiarki, wybiegłem na ulicę i cwałem, jak opętany, uciekać zacząłem do domu, rozbijając po drodze ludzi, których nie dostrzegłem w odurzeniu zmysłów i w zapadającym o téj godzinie już zmroku.

Wpadłem do siebie z głową palącą się tysiącem fantasmagoryi, z nerwami rozfebrzonemi gorączką, i suknie pozrzucawszy prawie nieprzytomnie, rzuciłem się na łóżko. Wnet dusza moja i ciało popadły w jakiś nadzwyczajny i nie do opisanego stan rozdrażnienia. Zdawało mi się, że zasnął i że przychodziły na mnie sny, którebym widzeniami nazwać wolął, tak były wyraźne i tak do rzeczywistości zbliżone, a jednak

czułem, że nie śpię i że obok mar sennych powstał we mnie błędny jakiś ogień refleksyi, którego jednak nie miałem dość siły rozpaścić do tego stopnia, żeby w sobie rozbudzić zupełną przytomność i wolę do życia. Leżałem więc tak odurzony i rozpolowiony sam w sobie, a później dopiero rozumieć i w ten sposób tłómaczyć sobie stan podobny zacząłem, że w nim zasypia i zamiera w człowieku wola jego indywidualna, a w organizmie fizycznym i moralnym powstaje jakaś potęga żywiołowa, od woli indywidualnej niezależna, która wedle praw przedmiotowych tak np. działa w organizmie ducha ludzkiego, jak siła powietrza i słońca w roślinie, którą bez jej wiedzy i samodzielnego przyczynku rozbudza, ożywia, do wzrostu przymusza, a odziewa liściem, kwiatem i owocem. Później jednak dopiero w ten sposób tłómaczyć zacząłem stan mój ówczesny. Dopókim w nim podczas owej nocy zostawał, nie byłem zdolny do podobnych refleksyi i rozumowań analitycznych. Wiedza wtedy we mnie budziła się bezpośrednio i bezpośrednio dawała mi widzenie rzeczy, których przyczyn nie znałem, anim czuł potrzebę dochodzić.

Jakie to były owe widzenia, powiedzieć dziś nie potrafię, bo i to jeszcze, jako charakterystyczną właściwość owego stanu, nadmienić tu muszę, że kiedyś wyszedł z niego i do zwyczajnego zdrowia powrócił, zatarła się we mnie od razu wszelka pamięć szczegółów, które wtedy widziałem, a pozostało tylko ogólne wspomnienie jakiejś niewypowiedzianej błogości i lekkości ducha, który uwolnionym zdawał się być z pod więzów ciała i z pod praw egzystencji fizycznej.

Ale ten właśnie charakter uczuciowego tylko wspomnienia, jakie we mnie z owej pozostało nocy, przyczyną jest dziś dla mnie zupełnej niemożności bliższego wytłómaczenia przed tobą owego stanu, w którym się wtedy znajdowałem i określenia go w tak wyraźnych definicyach, żebyś go mógł zrozumieć. Trzeba się samemu w podobnym stanie znajdować, żeby jasne i pewne o nim mieć wyobrażenie. Napróżno szukam wyrazów i zwrotów, mówił pan Hilary z widocznym nateżeniem myśli, napróżno szukam wyrazów, któremi bym odmalować mógł i widomie przed oczy twoje stawiać to, co czuję, a co nie ma ani dotykalnych kształtów jasnego wyobrażenia, ani nawet wiotkich form abstrakcyjnego pojęcia, co sa-

mém tylko poczuciem jest i uczuciem, które samemu czuć i mieć trzeba, chcąc je rozumieć.

„I które ja też mam i rozumiem,“ przerwałem i opowiedziałem panu Hilaremu pokrótce to, co już poprzednio i czytelnikowi memu mówiłem był o przymiotach mojej niesfornéj wyobraźni.

Masz racya, rzekł po wysłuchaniu pan Hilary, masz racya, że wyrozumieć jesteś zdolny stan, w którym się owéj tam nocy znajdowałem, i to jest poniekąd szczęściem dla mnie, ale nieszczęścia przyczyną może stać się dla ciebie, panie Ryszardzie, nieszczęścia takiego, jakie mnie owéj tam nocy spotkało. Bo słuchaj tylko, co dalej stało się ze mną.

Straciłem był zupełnie na tém letargiczném marzeniu miarę czasu, i anim się domyślał, że noc już mijała, kiedy mnie z niego przebudziło lekkie i powolne drzwi uchylanie. Chciałem zobaczyć, kto je uchyla i chciałem oczy otworzyć, aż oto, oh! zgrozo, postrzegłem teraz dopiero, że nie mam dosyć sił w sobie do podniesienia powieki. Zerwać się chciałem, przesyty na wskroś tém odkryciem, ale jak do podniesienia powieki sił we mnie nie było, tak ich też nie było i do najmniejszego poruszenia się na łóżku. Widocznie zapadłem w letarg, i to w letarg ze wszystkich najokropniejszy, bo pozostawiający uszpienemu, przy wszystkich pozorach najkompletniejszój śmierci, zupełną przytomność i wiedzę o stanie, w jakim się znajduje. Wiedziałem i ja o swoim, choć teraz dopiero uwaga moja zwróconą na niego została. Teraz też dopiero postrzegłem, że i oddech ustał zupełnie w méj piersi, że serce bić przestało, że ciało moje umarło, ale dusza w niém pozostała żywa i to nawet z wyższemi siłami, niż przedtém w zdrowém ciele, bo pominąć tutaj nie mogę i tego jeszcze nadzwyczajnego zjawiska, że przez zamkniętą powiekę widziałem wszystko, nie tylko w pokoju gdzie leżałem, ale nawet to, co się działo w całym domu i na ulicy.

Widziałem np. z zamkniętymi oczyma, jak służący mój wszedł do pokoju po cichu, jak skradał się po rzeczy moje do łóżka na palcach i ostrożnie, żeby śpiącego nie przebudzić, jak rzeczy te zabrawszy, z równą ostrożnością pokój opuszczał i drzwi po woli przymykał. Ach! jakżem wtedy gorąco pragnął, żeby to wszystko z mniejszą był robił uwagą i zręczno-

ścią, jakżem pragnął, żeby choć krzesło był przewrócił, żeby choć drzwiami był trzasnął. Możeby stuk taki przewróconego krzesła, lub niespodziewane drzwi trzaśnięcie przebudziło mnie było z letargu. Spodziewałem się jeszcze wtedy, że nawet takie przypadkowe zdarzenie wyrwać mnie zdoła z rąk najokropniejszej śmierci i do życia przywrócić. Nie przypuszczałem, żeby letarg mój tak był głęboki i twardy, jak się to wnet okazało, gdy kilkakrotnie powtórzone wejście do pokoju służącego i kawiarki przebudzić mnie ze snu mniemanego nie mogło, i gdy tego dokazać nie zdołały połączone nawet obojga usiłowania, których użyli, spostrzegłszy nareszcie po długim czekaniu, że sen mój był nienaturalny. Napróżno w początku z lekka, następnie coraz silniej brali i poruszali mnie za ramię. To mnie zgoła nie przebudzało. Wtedy dopiero przerażony służący zaalarmował dom cały. Słyszałem, jak drzwi z łoskotem otwierały się i zamykały, jak po kurytarzach rozlegał się odgłos szybkich kroków i pomieszanych głosów; aż nareszcie usłyszałem, jak kilka osób wbiegło do mego pokoju, pomiędzy któremi sam gospodarz domu pierwszy przystąpił do mego łóżka, brał mnie za puls, kładł rękę na sercu, ucho przykładał do piersi, a gdy najłżejszego nie mógł wysledzić uderzenia, pokiwał głową i ustąpił miejsca innemu z przybyłych, który mnieją więcej te same i tym podobne rozpoczynał ze mną manipulacye, ażeby w końcu tak samo głową pokiwać i znowu komu innemu miejsca ustąpić. Przeszedłem tym sposobem przez ręce wszystkich przytomnych, i wszyscy po długich doświadczeniach i próbach zgodzili się w końcu na to, żem nie żył, a kiedy to przerażające odkrycie tak dalece wszystkich pomięszało, że widocznie głowy potracili i nie wiedzieli, co począć; odezwał się ktoś z przytomniejszych, że czemp prędzej posłać trzeba po doktora i policyą, a ktoś drugi dodał, żeby przy tej okazji za jedną razą obstalować też i zamówić należało i *Kruki*, których pomoc i praca potrzebniejszą mi będzie, niż pomoc doktorska.

Kiedy to mówił przezorny ów doradzca, słyszeć się dało lekkie i niesmiałe we drzwi stukanie. Ktoś je otworzyć pospieszył, a gdy otworzył, wszyscy przytomni z przerażenia krzyknęli, bo na progu stały owe dwa *Kruki*, o których dopiero mówiono, stały milczące i czarne, jako prawdziwe żaloby

i śmierci zwiastunki, a nieruchome i martwe, jak dwie kamienne Nennie. Przerazenie tak same widać było i w ich postawie, jak po tych, co się znajdowali w pokoju. Wszyscy osłupieli!

Nagle ta, co czarną zakryta była zasłoną, pospiesznym i niespokojnym krokiem weszła, a raczej wbiegła do pokoju, zatrzymała się na środku, a przechylona ku mnie, załamała wyciągnięte na przód ręce. Wszyscy przytomni kolejno spoglądali, milcząc, po sobie. Pierwszy milczenie to przerwał gospodarz i tonem nieco surowym, zwracając się do tój, co bez zasłony, zatrzymała się i dotąd stała przy drzwiach, zapytał niebacznie: „Czego tu chcecie? Kto was zawołał, kto przyjść rozkazał?“ Zapytana, spoglądając z widocznym niepokojem na zakwefioną, która zdawała się nic nie słyszeć i nic do koła siebie nie widzieć, odpowiedziała głosem nieśmiałym i trochę łamaną niemczyzną: „Ten pan obstałował nas wczoraj i kazał nam tu przyjść dziś na godzinę jedenastą, a teraz właśnie jedenasta wybiła.“

Wszyscy w dawném milczeniu, a z nowém zadziwieniem spojrzeli po sobie. Ktoś odezwał się po chwili: „Otruł się!“ a krótka ta uwaga, jakby magiczne zaklęcie taki wpływ na wszystkich wywarła. Nie mówiąc ani słowa, czempredziej zaczęli opuszczać pokój, który po chwili wyglądał, jak wymieciony z ciekawych, a nieproszonych gości. Pozostały w nim tylko dwa *Kruki*. Gospodarz, słyszałem, jak w sieni dawał rozkazy, żeby czempredziej sprowadzić doktora i policyą. Z trupiarek tymczasem ta, co zawsze była zakwefiona, zbliżyła się tuż do mego łóżka, i czułem, choć oczu jej pod zasłoną nie mógłm widzieć, że je utopiła w mej twarzy. Druga przystąpiła do stołu, na którym list mój, napisany wczoraj do ojca, i już zaaddressowany, choć nie zapieczętowany jeszcze, leżał, jak go zostawiłem. Rzuciła na niego okiem z razu obojętném. Potem się nagle nachyliła, jakby dla lepszego zapewnienia się, że ją wzrok przytępiony nie myli, a przeczytawszy adres, schwyciła list z gorączkowym pośpiechem, pobiegła z nim do tój, która stała przy łóżku i drżącą oddała jej go ręką, wskazując palcem na adres.

Ta, zaledwie go przeczytała, odwróciła się nagle; ręką wskazała na drzwi, co było dla niezakrytj towarzyszkj zna-

kiem, żeby je zamknęła. Zrozumiała ona znak ten niemy, i czempredź rozkaz wypełniając, zamknęła drzwi pokoju na zasuwkę. Wtedy zakwefiona przybliżyła się do okna, wydobyla list z niezapieczetowanej koperty i zaczęła go czytać. Był on, jak to już wspomniałem, pisany wczoraj pod wrażeniem nadzwyczajnego przy tajemniczym domku zjawiska, i pod wrażeniem ostatniej z bankierem rozmowy; był pisany w stanie chorobliwym i gorączkowym umysłu, rozkołatanego temi wszystkimi kłopotami, jakimi człowiekowi do żywego dojmują zrujnowane interesa majątkowe. Wcale się z niemi w tym liście do ojca nie kryłem. Malowałem je nawet w kolorach jaskrawych, jak ten, co całą fatalność położenia swego żywo i dotkliwie czuje, a skarżyłem się wymownie na twardą nieużytość bankiera, i widoczną, choć dla mnie niepojętą, złość owęj pani Rabe, która jak gdyby naumyślnie do wystąpienia ze swemi pretensjami wybrała chwilę dla nas najniekorzystniejszą powszechnie zachwianego kredytu. Skarżyłem się na nią wymownie, choć obok tego nie tailem też i nadziei, jaką we mnie ostatnia rozmowa z bankierem jeszcze budziła, i nagliłem ojca do przyspieszania swego przybycia, zanim dobre, jak się zdawało, usposobienie owęj pani Rabe minie.

Trupiarka zakwefiona czytała list ten obszerny z takim intereselem i zajęciem, jakiegoby wcale przypuszczać nie można ze strony osoby obcej i obojętnej interesom naszym familijnym. Słyszałem nawet, że czytając, kilka razy głośno załkała. Widocznie ją wzruszał, i aż do łez pobudzał, czego znowu w osobie całkiem obcej wyrozumieć nie było podobna. Takie mimowolne nawet we śnie moim letargicznym przychodziły mi na myśl uwagi, kiedy je przerwał mocny odgłos szybkich na kurytarzu kroków i mocne do drzwi stukanie.

Zakwefiona trupiarka z pośpiechem schowała list dopiero co przeczytany do torby czarnej, którą w lewem trzymała rękę; druga trupiarka otworzyła drzwi i do pokoju wszedł urzędnik policyjny. Rozpoczęły się zwykle w takim razie indagacye służby domowej i gospodarza, które wnet przybycie doktora przerwało. Zanim w krótkce przyszedł i drugi, i obadwaj po powierzchowném nasamprzód obejrzeniu mojej osoby, jeli próbować zwykłych środków cerania, które jednak wszystkie bezskuteczniemi się okazały. Nie będę ci

ich opisywał. Powiem tylko, że po całogodzinnych daremnych próbach, obadwaj doktorzy, naradziwszy się z sobą, oświadczyli urzędnikowi policyi, że na ciele mojem, choć wprawdzie dotąd nie widać zwykłych symptomatów, a nieodstępnych towarzyszków śmierci gdy jednak znane w medycynie, a przez nich użyte środki cerania, do życia przywrócić mnie nie zdołały, przeto uważać i uznać mnie muszą za umarłego, przynajmniej na teraz, z tém wszelakoż wyraźném zastrzeżeniem, żeby z zarządzeniem pogrzebu mego wstrzymano się dopóty, aż owe symptomata śmierci nie pojawią się na trupie moim i dopóki tego pojawu nie skonstatują ciż sami lekarze, raz jeszcze na ten cel przywołani.

Z jaką trwogą wewnętrzną i z jaką obawą całego tego słuchałem sprawozdania i téj opinii lekarskiej, łatwo sobie możesz wystawić, zwłaszcza, gdy dodam, że od chwili wejścia do mego pokoju ludzi żyjących i zdrowych, powróciło we mnie tyle przytomności, iż zdolny byłem robić nad sytuacją moją niejakię refleksyę i że całą okropność mego położenia czułem dostatecznie.

Dziwne też i niewątpliwie zajmujące mógłbym opowiedzieć ci rzeczy, gdybym się tutaj rozwodzić chciał przed tobą z wewnętrzną historią uczuć i myśli, które od téj chwili budziły się we mnie podczas tego snu letargicznego; gdybym przechodzić chciał pamięcią wszystkie stopnie wzrastającej nadziei, obawy, trwogi i upadającej rozpacz, które mną kolejno miotaly, niepostrzeżone przez nikogo wtedy i nikomu dotąd nieznanne. Opowiedzenie tej historii byłoby bez wątpienia nietylko zajmujące, aleby i oświetlić mogło najskrytsze i najciemniejsze tajniki duszy ludzkiej w jéj oderwaniu od ciała i świata, a jednak w ciele i świecie żyjącej, choć dla żyjących niewidzialnej. Historia, powtarzam, takiej bezcieleśnej duszy, opowiedziana przez nią samą po zmartwychwstaniu (bo zmartwychwstaniem nazwać można powrót do życia z letargu), byłaby, przyznasz, ciekawa i nauczająca! Ale że opowiedzenie jéj w tém miejscu nie należy właściwie do rzeczy, którą sobie za cel dzisiejszego mego opowiadania założyłem, a zajęłoby nam dużo czasu i przeprowadziłoby uwagę naszą na pole innych całkiem refleksyi, odłożyć je przeto muszę na później. Może znajdzie się kiedyś wolna chwila dla

mnie do opowiedzenia tój historyi, dla ciebie do cierpliwego jej słuchania. Teraz do właściwej i zamierzonej od razu wracam powieści, w której dalszym toku przytaczać będę to, co zewnątrz siebie przez zamkniętą widziałem powiekę, co się dalej podczas mego letargu w około mnie działo, co przeważny wpływ na zewnętrzne stosunki dalszego mego życia wywarło, i co w ścisłym pozostaje związku z owemi książeczkami, które do całej tój powieści pierwszym stały się dla mnie powodem. Wewnętrzna historia duszy, zajmowanej letargiem w ciele organicznie obumarłem, odkładam na czas późniejszy. Teraz słuchaj, co dalej działo się zewnątrz tój duszy.

Po deklaracyi doktorów, po opieczętowaniu przez policyą wszystkich moich rzeczy, postanowiono, żeby w pokoju na straży przy mnie pozostały *Kruki*, które same o to z naleganiami prosiły, obiecując czujną przez całą noc bacność i natychmiastowe uwiadomienie gospodarza, gdyby we mnie najmniejszy znak życia spostrzegły.

Kiedy znów same w pokoju ze mną zostały, zakwefiona kazała towarzyszce swojej, która widocznie pełniła przy niej obowiązki służącej, choć w ubiorze nie różniła się niczém od pani, kazała jej znowu zamknąć drzwi na zasówkę, sama usiadła przy oknie, wydobyła list mój do ojca z torby i znów go odczytywać zaczęła, a częste łkania, które się z pod czarnej słyszeć dawały zasłony, przerywały jej znów nie raz to czytanie.

Gdy je nareszcie po licznych przerwach skończyła, ukryła twarz zasłoniętą w dłonie, które choć dziś wywiędłe i spracowane, pokazywały jednak dostatecznie, że niegdyś były i małe, i pulchne i piękne. Z tak ukrytą w dłoniach twarzą siedziała długo schylona i milcząca, znać w głębokich zatopiona myślach. Nareszcie głowę opuszczoną podniosła i przytłumionym głosem zawołała; „*Kasiu!*“

Na ten głos podniosła się druga trupiarka, co pod czas rozmyślania zakwefioną siedziała nieruchoma przy łóżku i oka nie spuściła z mej twarzy, podniosła się teraz z pospiechem i szybko pobiegła do wołającej, która usadziwszy ją przy sobie na krzeselku długo coś do niej mówiła, a widać było po żywych kilka razy ruchach ręki, że przekładała jej coś ważnego i że starała się wpłynąć na przekonanie słuchającej,

która potakiwaniem głowy zdawała się zamiar pochwalać. Sama nic prawie nie mówiła. Kilka tylko razy odezwała się po cichu, jak gdyby z krótką uwagą, na którą zakwefiona równie krótkie dawała objaśnienia. Trwała ta rozmowa może nie całą godzinę. Nie jednak zgoła dosłyszeć z niej nie mógłm, bo prowadzona była po cichu. Przy końcu dopiero, kiedy trupiarka Kasia wstała i gotowała się w drugim kącie pokoju do odejścia, mówiła do niej zakwefiona tak głośno, że mógłm wyraźnie te słowa rozumieć: „Pamiętaj więc Kasiu: Krysia niech będzie gotowa i czeka na mnie ubrana o godzinie 8mój; ale na Boga, przestrzegam, żebyś jej nie powiedziała, gdzie pójdzie i po co. Ja wszystko sama jej powiem. Ty zaś moje dziecko, możesz tu zaraz powrócić. Tylko nie zapomnij przynieść z sobą pieczętka.“ „„Nie zapomnę!““ odpowiedziała Kasia, drzwi otwierając i wyszła. Pani jej zakwefiona, zostawszy sama w pokoju, usiadła przy łóżku i głucho nastąpiło milczenie. Zmierzchać się poczynało. Ja i ten zmierzch zamkniętymi oczami widziałem, ale co więcej nie przeszkadzał on mi wcale do wyraźnego dostrzegania i różnicowania nawet pomniejszych przedmiotów, które się znajdowały w pokoju. Sposobność do przekonania się o tém nastęrczyła mi się niezadługo, kiedy po całogodziném może oddaleniu powróciła trupiarka Kasia, a powiedziawszy słów parę cichych do pani, oddała jej lak czarny i pieczętkę, na której wyraźnie widziałem wyrznięty herb nasz familijny. Chciałem oczy gwałtem otworzyć, żeby się przeświadczyć, czy to nie było złudzenie, tak mnie to odkrycie zdziwiło. Ale wysilenia moje wszystkie były daremne. Wzięła ją od Kasi zakwefiona trupiarka, wydobyła list, zapieczętowała go przy zapalonej już poprzednio świecy, wręczyła go napowrót Kasi i rzekła: „Pospiesz się moja Kasiu, wrzuc go czempredzěj na pocztę i wracaj!“ Widoczną więc było rzeczą, że listem tym chciała trupiarka ojca mojego sprowadzić. Po co i na co? Słaby dalekich domysłów płomyczek zaczął budzić się we mnie powoli. Staralem się zebrać i skupić w sobie wszystkie myśli, żeby go siłą kombinacji rozpać w światło przeświadczenia, alem teraz dopiero postrzegać zaczął, zem od pewnego czasu zapadał znowu w stan marzacego przez sen człowieka, że widzenia moje traciły z każdą chwilą wyraźne kształty

i rysy, jakimi odznaczały się z razu, a mieszały się z sobą bez ładu i składu, zupełnie jak u człowieka, który zasypiać zaczyna. I ja zaczynałem zasypiać, a byłbym może zasnął istotnie, może na długo, może na wieki, bo w pokoju grobowa panowała cisza, i nie mi zgoła nie przypominało przez czas nie wiem, jak długi, nie mi nie przypominało, że żyję; byłbym więc może zasnął nieprzespanym snem śmierci, gdyby mnie, po upływie pewnego w takim stanie czasu, nie było narzeczcie z niego wyrwało nagle drzwi otworzenie, z którym równocześnie powróciła we mnie cała letargiczna przytomność, podniesiona nawet do wyższej, niż była przedtém, potęgi. Ócz właściwie jeszcze i teraz otworzyć nie mogłem, ani najmniejszego znaku dać życia, ale dziwnym zmysłem wewnętrznego wzroku wyraźnie widziałem, jak we drzwiach pokazały się i szybko do pokoju weszły dwa kruki. Obadwa były czarne, jak zwykle; jednakowo i tak samo, jak zwykle, ubrane, z tą jednak różnicą, która mnie zaraz na wstępie uderzyła, że obadwa zakryte były tą razą czarnymi zasłonami i że w jednej z nich postrześć mi się zdawała pewna nieśmiałość.

To mnie, jak powiedziałem, zaraz na wstępie uderzyło; a zadziwienie moje powiększyło się jeszcze, kiedy po wejściu tych dwóch do pokoju, pokazał mi się jeszcze i trzeci *Kruk*. Była nim owa, znajoma nam już Kasia, która aż dotąd siedziała, choć przezemnie podczas letargicznego omdlenia niepostrzeżona, w głowach moich przy łóżku. Teraz podniosła się z krzeselka i pobięła witać dwie nowo przybyłe.

Trzy zatem oczom moim zamkniętym pokazały się *Kruki*.
Cukiernik miał racya!

Kiedy już wszystkie trzy były w pokoju, Kasia czémprędzej zasunęła rygiel wewnętrzny u drzwi; jedna zaś z zakwefionych, wyższa nieco wzrostem, wzięła drugą, niższą, za rękę i poprowadziła przed łóżko, na którym leżałem, przykryty białem prześcieradłem. Zaledwie przyprowadzona na mnie spojrzała, niedosłyszany prawie krzyk przytłómionego zdziwienia wy dobył się z jęj piersi; poczem uklękła przy łóżku, a złożywszy najpiękniejsze ręce, gorąco się modliła i cicho płakała.

We mnie wstępowało pod czas jęj modlitwy jakieś niewypowiedziane błogie uczucie.

Sił żywotnych przybywało mi z każdą chwilą, im dłużej się modliła, i czułem, że jednej tylko maleńkiej niedostawało odrobiny, jakiegoś uderzenia lekkiej choć iskry elektrycznej, żeby się zupełnie przebudzić.

Kłęcząca modliła się długo, z opartem na złożonych dłoniach czołem, nieruchoma jak posąg, i tylko ciche raz po raz westchnienia i głośne łzy przekradające się przez delikatne paluszki i spadające na białe prześcieradło dawały znać, że to żyjąca i żywa była istota, co się modliła i co za umarłym płakała.

Skończyła nareszcie cichą a gorącą swoją modlitwę, podniosła się z kolan, i stanęła przy łóżku, nachylona ku mnie, jak lilija biała nad źródłem mętném.

Stała tak przez chwilę, niema, nieruchoma! Potem nagle, jak gdyby zbytciem żalu przepelniona, nie mogąc go w sobie pomieścić i utulić, zaszłochała w głos i gwałtownym ruchem odrzuciła z twarzy czarną zasłonę — i ja ujrzałem...

Ach! co ujrzałem — przyjacielu! Opisać ci tego nie zdołam. Ale poczekaj, sam je zobaczysz, cudowne to zjawisko!

Mówiąc to pan Hilary w uniesieniu, powstał, wziął mnie za rękę, pociągnął za sobą do owego, zieloną firanką zasłoniętego obrazu i odsunął ją szybko!

Nie myliło mnie instynktowe moje przecucie, które od pierwszej zaraz chwili ciekawość moją ku temu pociągnęło obrazowi. Przedstawiał on wizerunek najpiękniejszej, jaką dotąd w życiu widziałem kobiety. Opisywać go jednak nie będę, bo i pan Hilary nie dał mi wtedy czasu do zastanowienia się nad pojedynczemi tój anielskiej twarzy pięknościami, i tak dalej mówił:

Wystaw sobie tedy tę kobietę, którą po drugi raz w życiu widziałem, bo to była ta sama, co wczoraj, jak czarujące zjawisko, pokazała mi się przy oknie tajemniczego domku; wystaw ją sobie stojącą i płaczącą przy mojem łóżku. Stała i płakała przez chwilę. Mnie się zdawało, że ciepło życia we mnie powraca. W tém ona zaszłochana, nachyliła twarz swoją

do mnie i gorące jej usta uczulem przyciskające się konwulsyjnie do moich obumarłych i zimnych, i nagle, jak gdyby iskrą elektryczną uderzony, ocknąłem się i zadrżałem! Jęjtchnienie gorące przywróciło mi oddech. Odetchnąłem, a odetchnąwszy, otworzyłem oczy, i całe dawniejsze życie powróciło we mnie i o własnych siłach bez żadnego wyteżenia usiadłem na łóżku.

Nieznajoma na ten widok krzyknęła, a w krzyku tym odezwały się równocześnie: przerażenie, radość, przestrasz i nadzieje! Oskoczyła w pierwszej chwili na jeden krok w tył, spojrziała na mnie, a potem bez namysłu, rzuciła mi się na szyję, objęła głowę moją maleńkimi swemi rączkami, a powtórzywszy dwukrotnie: „on żyje — on żyje!“ obsypywała twarz moją pocałunkami; a mnie się zdawało, że z pod każdego z nich iskra wytryskiwała, tyle życia i ognia przelewało się we mnie z każdego!

Drugie dwie trupiarki przyskoczyły także do łóżka. Zakwefiona gwałtem prawie oderwała odemnie cudowną moją wskrzesicielkę, odsunęła ją nieco na bok, popatrzyła przez chwilę na mnie, „doprawdy, on żyje!“ zawołała, jak gdyby teraz dopiero dowierzać mogła swym oczom, i nie podnosząc czarnej z twarzy zasłony, złożyła mi przez nią na czole długi, serdeczny, macierzyński pocałunek, a potem głowę podnosząc, dodała: „Bogu najwyższemu niech będą dzięki!“

Kasia tymczasem, klękąwszy przy łóżku, całowała mnie po obu rękach, które kolejno do ust swych przyciskała!

Ja byłem jak odurzony! Łatwo sobie możesz wystawić! Choć już podczas snu letargicznego budzić się jakieś we mnie względem zakwefionej trupiarki zaczęły podejrzenia, nie mogłem jednak całej tej sceny zrozumieć, i spoglądając prawie obłąkanym wzrokiem do koła: „Co to wszystko znaczy?“ zapytałem.

„Ciszój, moje dziecko! odpowiedziała zakwefiona, nie trwóż się i bądź spokojny,“ a nachyliwszy się więcej ku mnie, dodała po cichu: „wszystko zrozumiesz, wszystko ci wytłómaczę i opowiem, jak zostaniemy sami,“ a potem mówiła dalej głośno: „Przedewszystkiēm potrzebna ci teraz spokojućność i wypoczynek. Połóż się więc wygodnie i próbuj, może zaśniesz! Toby siły twoje nadzwyczaj pokrzepiło.“ A mó-

wiąc to, poprawiała poduszkę pod moją głową, która na nią, jak gdyby po zbytelném i gwałtowném wysileniu, bezwładnie prawie opadła.

Potém odwracając się do drugich dwóch towarzyszek, które tymczasem na bok się nieco odsunęły, mówiła do nich półgłosem: „„Teraz nam trzeba się naradzić, co dalej począć; bo ciebie moja Krysiu, nie powinien tu nikt spotkać, ani zobaczyć. Ty więc moje dziecię, musisz natychmiast wrócić do domu. Kasia cię odprowadzi, a potém pójdzie zbudzić gospodarza i każe mu natychmiast sprowadzić doktora. Tu może pomoc lekarska szybko i spiesznie jest potrzebna. Nie traćmy przeto ani chwili czasu! Zabieraj się, moja Krysiu, zabieraj się żwawo i wychodź, a ty Kasiu, sprowadź czém prędzej doktora!““

Gdy to mówiła, a wskrzesicielka moja Krysia gotowała się do opuszczenia pokoju i już drzwi miała otwierać, ja naraż poczułem w sobie taką trwogę i niespokojność fizyczną, jak gdybym omdleć miał, lub znowu zapaść w letarg mój dawniejszy, a może i umrzeć!

Tyle jednak we mnie sił jeszcze pozostało, żem się rzucił na łóżku i zawołałem: umieram!

Przyskoczyła na ten krzyk Krysia i schwyła mnie za rękę. W tej chwili trwoga i niespokojność wszelka ze mnie ustąpiła. Ożyłem znowu, jak pierwszą razą; tylko pot drobniuchny wystąpił mi na czoło. Musiała to spostrzedz Krysia, bo lekką i pieszczoną dłonią poczęła mi włosy spadające z niego odgarniać, a każdy jój ruch po tém czole i każde jego dotknięcie wyraźnie czułem, jak siły życia znów we mnie wlewało. Podniosłem się, jak pierwój, usiadłem na łóżku, i powiedziałem otwarcie, że nie rozumiem dla czego, ale czuję to, iż zbliżenie się Krysi wyrywa mnie z rąk śmierci i do życia przywraca, że za każdym dotknięciem jój ręki czuję rozlewające się po mém ciele jakieś dobroczynne, błogie ciepło, pod którego wpływem słabość moja tak wyraźnie niknęła, że np. teraz zgoła już o tém nie wiem, iż przed chwilą byłem jeszcze na pół umarły.

Śluchała tego wyznania zakwefiona trupiarka uważnie, i rzekła, skorom go dokończył, głową zwołna pokiując, jak gdyby w zadziwieniu nad własnem spostrzeżeniem: „Więc to

nie był letarg zwyczajny, jak go nazywają i pojmują nasi doktorzy. Nie był to letarg, z któregoby oni obudzić umieli. Teraz rozumiem i mogę śmiało powiedzieć, że obeszloby się tu bez doktora. Skuteczniejszą od wszystkich będzie tu pomoc Krysi. Siedz więc, moja Krysiu, jeszcze przez chwilę i odgarniaj mu tak włosy z czoła; a bądź spokojna i pewna, że twój pacjent nie umrze! Pomyśleć jednak nam trzeba, mówiła dalej, odstępując od łóżka, przy którym wskrzesicielka moja pozostała i jedną dłonią trzymając mnie za rękę, drugą gładziła czoło moje, pomyśleć nam trzeba koniecznie, co dalej począć; bo ciągle to samo powtarzam, że Krysiu pozostać tu nie może ani też czekać dopóty, aż dom się obudzi i zbiegną się ciekawi do zmartwychwstałego nieboszczyka domownicy.“

„Bo powiedz sama, Kasiu, odezwała się, zwrócona do towarzyszki, po krótkim milczeniu, pod czas którego przeszła się dwa razy po pokoju, powiedz sama, czy podobna zezwolić, żeby tu Krysię ktoś obcy zobaczył. Ty wiesz najlepiej, czy to podobna, powiedz!“

Kasia po chwili namysłu, nie wprawdzie nie odrzekła, ale przeczącym poruszeniem głowy dała znak wymowny, że to niepodobna.

Zakwefiona przeszła się znowu parę razy po pokoju, a zatrzymawszy się potem pomiędzy Krysią a Kasią, rzekła głosem stanowczym: „Nic innego zrobić nie można. Ty Krysiu, musisz nie długo wrócić do domu. Obejdzie się też już biedny Hilary bez twojej pomocy.“

Na mnie te słowa dwojakie robiły wrażenie; raz przejmowało mnie zdumieniem imię moje chrzestne w ustach trupiarki, wymawiane głosem tak familiarnym, jak niegdyś matka je moja wymawiała. Zkąd ona o niem wiedziała i zkąd przychodziła do tej familiarności? Drugi raz, uczułem w sobie żal i jakąś obawę na samą wzmiankę o oddaleniu się Krysi. Obróciłem też na nią błagalne spojrzenie, i silniej, jak człowiek tonący, uchwyciłem się dłoni, która rękę moją prawą trzymała. Krysiu spojrzała najprzód na mnie, a potem na zakwefioną trupiarkę, troźliwie, nieśmiało, ale wymownie.

Zrozumiała ona to spojrzenie i rzekła: „Nie lękajcie się i żadnej nie miejcie obawy, moje dzieci. Hilary będzie zdrów, ręczę ci za to, Krysiu, i przyrzekam święcie, że go

jutro zobaczysz, jeżeli dzisiaj usłuchasz mojej rady i oddalisz się spokojnie do domu, a nam z Kasią pozostawisz staranie około niego i około takiego całej rzeczy poprowadzenia, żeby zdarzenie tej nocy tajemnicą pomiędzy nami pozostało. Potrzebne mi też do tego i przyrzeczenie twoje, Hilary, że zachowasz o nim zupełne milczenie nawet przed doktorem, którego Kasia, dla uniknięcia wszelakich domysłów i plotek, zawołać każe po odprowadzeniu Krysi do domu. Powiemy mu, jak przyjdzie, że dopiero co ocknąłeś się z letargu, że jeszcze bardzo jesteś słaby; ty też słabego udawać musisz. Leż spokojnie i wcale z nim nie mów. Niech sobie myśli, co chce, i niech jakie chce zapisuje lekarstwa. Ty żadnych nie będziesz zażywał, bo ci też żadnych nie potrzeba, wierzaj mi; to nie był letarg zwyczajny. Całą odpowiedzialność za życie i za zdrowie twoje biorę na siebie i zaręczam, że jutro będziesz zdrow, że wstaniesz i przeprowadzisz się do nas. Ale teraz poddaj się opiece mojej i radom, które bądź pewien, że pochodzą z przychylniejszego i życzliwszego dla ciebie serca, niżli się tego spodziewasz.“

Mówiąc to, wzięła mnie za rękę, którą po woli z dłoni wskrzesicielki mojej wysunęła, i uścisnęła ją tak serdecznie, że po tym uścisku i po tym głosie, przemawiającym do mnie z macierzyńską prawie czułością, czułem i pojmowałem, iż powinienem do tej kobiety synowskie mieć zaufanie. Odezwał się też we mnie szczególniejszy jakiś do niej pociąg i wcale się przed nią z tem nie tailem.

Uścisnęła mnie wtedy powtórnie za rękę, a nagłąc Krysię i Kasię do pospiechu, wyprawiła je wreszcie ostrożnie z pokoju i powróciła do mego łóżka, przy którym milcząc, usiadła.

Ja pierwszy przerwałem to milczenie.

Teraz jesteśmy sami, rzekłem ze znaczeniem. Przypominam obietnicę i zapewniam, że niektóre objaśnienia potrzebne są niezbędnie do zaspokojenia méj duszy, a więc i do przywrócenia mi zdrowia. Przyczém wierzyć proszę, że mną nie powoduje sama tylko próżna ciekawość!“

„„Bynajmniej o tem nie wątpię, mój kochany Hilary, odpowiedziała trupiarka, ale zmieniając nagle ton głosu, jakby nawiasem rzuciła te słowa: Przedewszystkiém wybacź, że do Ciebie przemawiam tak poufale i nazywam cię po imieniu.

Jak usłyszysz wszystko, co ci mam powiedzieć, przyznasz zapewne, że do tego najzupełniejsze mam prawo.

„Przyznaję to już teraz, przerwałem z żywością, bo i ja mam pewne przecucia i podejrzenia, których stwierdzenie jak najprędzej usłyszeć chciałbym z tych ust, które mi najlepsze dać mogą objaśnienia. Słucham ich więc z niecierpliwością.“

„A ja przeprosić cię muszę, odpowiedziała trupiarka, że tę niecierpliwość twoją na jedną jeszcze wystawię próbę. Mój Hilary, to co ci mam powiedzieć, nie da się powiedzieć tak prędko. Jest to historia tak długa, jak życie 50cio letniej kobiety, smutna i czasem okropna, jak życie nieszczęśliwej, bardzo nieszczęśliwej kobiety. Nie obeszłoby się w niej dla ciebie bez wzruszeń, na które w dzisiejszym stanie twego zdrowia narażać cię nie można. Tobie przedewszystkiēm potrzeba spokojności i wypoczynku. Sam tēż potrzebę tę uczujesz za chwilę. Będiesz chciał zasnąć i zaśniesz mimowolnie snem twardym i głębokim, z którego się jutro obudzisz zupełnie zdrów, czerstwy i rzeski.“

Mówiła to z taką pewnością i precyzją, że mnie w zadumienie wprawiła swoją znajomością mojej choroby, mojej natury, i przyszłych kolei, jakie przebieg mają obiedwie. W kobiecie nieznanēj, która mnie drugi raz dopiero, i to przypadkiēm w mieście zagranicznēm widziała, zadziwiająca to była znajomość, obok znajomości mojej osoby i mego imienia. Nie mógłem przed nią ukryć mego w tēj mierze zadziwienia.

„Ach, mój Hilary, odrzekła, ja i stosunki twoje rodzinne i familijne interesa znam lepiej, niżbyś to mógł przypuścić.“

„„Z listu mego do ojca!““ przerwałem.

„A z kąd wiesz, że ja list twój do ojca czytałam?“

„„Widziałem nietylko to, odrzekłem, ale widziałem wszystko co się działo w pokoju podczas mego letargu.““

„Nie był to więc letarg, Hilary, nie letarg! Wszystko mnie o tēm przekonywa. Najwięcej zaś twoje ostatnie wyznanie.“

„„Cóż więc było?““ zapytałem trochę niespokojnie.

„Był to sen magnetyczny!“ odpowiedziała, jakby z niechęcią, wstała z krzesła i zaczęła przechodzić się po pokoju.

O magnetyzmie duzo wtedy wszędzie mówiono i pisano;

dużo się nim zajmował świat mianowicie elegancki, jak dziś n. p. stołami a pewnie i więcej. I mnie się nieraz zdarzało czytać i słuchać rozprawiających o nim tyle, że miałem o teorii jego i znaczeniu dość jasne wyobrażenie; choć w ów czas, kiedy o magnetyzmie wspomniała trupiarka, przyszła mi na myśl, przez szczególniejszą assocyacją idei, inna zupełnie uwaga, a mianowicie to, że w domu rodzicielskim, od pierwszej mojej młodości, jak tylko zasięgnąć mógłem pamięcią, unikano zawsze troskliwie najmniejszej o magnetyzmie wzmianki, a jeżeli ją zrobił kto z gości lub obcych, ojciec mój wtedy przerywał zawsze rozmowę, czasem nawet nie bardzo zręcznie. To przypomnienie potrafiło i obudziło we mnie inne z kolei uwagi, które mnie w mimowolną wprawiły zadumę.

Postrzegła to po niejakić chwili trupiarka, i przystąpiwszy do łóżka:

„Niech cię to moje odkrycie wcale nie obchodzi i nie zastrasza. Nie masz w magnetyzmie nic tak niebezpiecznego, mówiła głosem drżącym, a potem spokojniej dodała; jutro cię o tem przekonam; lecz dzisiaj żądam po tobie cierpliwości, bo przedewszystkiem potrzebny ci jest wypoczynek. A potem i dla doktora, który niedługo przyjść musi, należy zachować choćby pozorną spokojność i unikać wzruszeń, na jakieby cię powieść moja, a nawet dłuższa rozmowa narazić musiała. Przerwę ją zatem na teraz i poproszę cię, mój Hilary, żebyś się spokojnie położył i czekał cierpliwie doktora, który lada chwila nadejść powinien. Zrób to dla mnie, dla Krysi i dla własnego bezpieczeństwa.“

Uśluhałem tej rady tem chętniej, że jednym w niej warunkiem była owa Krysia, na której samo wspomnienie, czułem, że serce we mnie zadrżało. Nie była to wszakże miłość, w zwyczajnem słowa tego znaczeniu, co niem tak niespodzianie poruszyła. Z uczucia, jakiego wtedy dla niej doznawałem, sam sobie dotąd sprawy zdać nie umiem. Dosyć, że ono mnie do poddania się woli tajemniczćj trupiarki skłoniło. Ułożyłem się, jak żądała, spokojnie i wnet uczulem nadzwyczajny do snu pociąg. Wyrwał mnie z niego ruch, który się w tej chwili słyszeć dał po domu. Weszła też wnet do pokoju Kasia, i przyciszonym, a przerywanym od zadyszenia głosem, oznajmiła swćj pani, że Krysię szczęśliwie odprowadziła, przez ni-

kogo niepostrzeżona, do domu, że potem dopiero wezwała doktora i gospodarza mego zbudziła. Zaraz też słowa jej znalazły potwierdzenie w przybyciu obudwóch i wejściu do mego pokoju.

Mniejsza o to, co doktor rozespany o mojej chorobie powiedział, mniejsza jakie zapisał lekarstwa, jaką dyetę rozporządził i jakie względem mnie zachowanie się trupiarkom. Gdy się po całogodzinnych może obserwacjach oddalił z pokoju, zakwefiona trupiarka, schowawszy do torby przyniesione z apteki flaszeczki z lekarstwem, a podając mi za to szklanekę czystej wody:

„Wypij to, rzekła, i śpij z Bogiem, Hilary!“

Ledwie też wodę podaną wypilem i głowę przyłożyłem do poduszki, natychmiast sen mnie zmorzył i wnet głęboko i twardo zasnąłem.

Gdy to powiedział pan Hilary, sięgnął do kieszeni po staroświecki cybulkowy zegarek i spojrzął na niego. Północ już była minęła.

„Patrzaj, zawołał, jak szybko uchodzi czas na gawędce. Kury nie długo zapieją u nas w Polsce, u Niemców w mieście mleczarki witać niedługo zaczną piskliwym krzykiem słońce wschodzące, a ja mam jeszcze bardzo wiele do opowiadania. Nie skończyłbym przed kawą, a że nie samem słowem, jak i nie samym chlebem żyjemy, panie Ryszardzie, bo do życia i zdrowia jeszcze też i sen potrzebny, więc myślę, że najrozsądniej będzie odłożyć dalszą moją powieść do jutra. Obadwaj na tej przerwie nie stracimy, bo wypada mi teraz zrobić nowy zupełnie rozdział w mojej powieści, który uwagę twoją w inne czasy i miejsca przeprowadzi, a dopiero przy końcu wróci znów do tego tutaj pokoju i zwiąże się z dzisiejszem opowiadaniem. Przerwy w nim przeto właściwie żadnej nie będzie, tylko krótki przestanek, taki n. p., jaki za każdą razą robisz, gdy późno w noc czytając książkę, znużony zbyt długim czytaniem, zawijasz kartę doczytanego rozdziału, a książkę do następnego dnia odkładasz, żeby ją potem z lepszą, świeższą i pokrzepioną snem uwagą dokończyć. Z tak pokrzepioną i odświeżoną uwagą dostłuchasz jutro, da Bóg doczekać, mo-

jój powieści. A teraz, zawinawszy dla lepszej pamięci kartę na miejscu, gdzie zasnął; pójdźmy i my, panie Ryszardzie, rzucić się w objęcia snu tak błogiego, jaki mnie objął był przed laty blisko pięćdziesięciu.“

Tu pan Hilary wstał, poszedł do cudnego portretu owój czarodziejskiej Krysi i zaciągnął na niego zieloną frankę, która aż dotąd odsłonięta, pozwoliła paść mi wzrok widokiem najpiękniejszej, jaką nawet w obrazach napotkać można było twarzy. Chciałem zatrzymać mu rękę, która mnie tego widoku pozbawić miała, pospieszyłem ku niemu i sięgnąłem po nią. Ale on czy nie rozumiał, czy nie chcąc tego ruchu rozumieć, wziął go za zwykle przy pożegnaniu podanie ręki z mej strony, pochwyił ją serdecznie, a potrząsając kilka razy: „Dobra noc, mówił, panie Ryszardzie; dobra noc i do zobaczenia się jutro wieczorem.“

Pożegnanie było formalne. Trudno było dłużej pozostać, rad nie rad odejść musiałem i odszedłem téż zaraz. Za parę minut byłem u siebie w pokoju. Kiedym spojrział na stolik przy łóżku, i na owe dwie czarne książeczki, które mi ostatniej nocy tyle narobiły kłopotu, stanęły mi wszystkie szczegóły dziwnej pana Hilarego powieści, w żywej, jak na oczy, pamięci. Dreszcz mimowolny mnie przeszedł, kiedym się do tych książek przybliżył; a choć nie mogłem jeszcze zdać sobie sprawy, ani wyrozumieć związku, jaki istniał pomiędzy historią pana Hilarego, a zwłaszcza zakwefioną, starą trupiarką, piękną i uroczą Krysią a temi książkami, czułem jednakże bez rozumienia powodów, że związek taki istniał rzeczywiście, a myśl już ta przejmowała mnie takim dla nich respektem, że przyznam się ze wstydem, iż nie miałem odwagi dotknięcia się ich gołą ręką; z drugiej znów strony nie chciałem pozostawić tak niebezpiecznych relikwii w bezpośredniem ze sobą przy łóżku sąsiedztwie. Z wszelką więc przyzwoitą ostrożnością podjąłem cały stolik z przed łóżka, i wspólnie z książkami wyniosłem do drugiego pokoju, gdzie chcąc go postawić, z większym jeszcze wyznam wstydem, wziąłem się do tego w nerwowym pospiechu i niespokojności, tak niezręcznie, że niewłaściwie i w niewłaściwem miejscu stawiany stolik, upadł

na posadzkę i wśród głębokiej ciszy nocnej wielkiego swoim upadkiem narobił łoskotu, co wyobraźnią moją, rozdrażnioną opowiadaniem niezwykłej i niewytłómaczonej dla mnie dotąd przygody pana Hilarego, tak przeraziło, że zostawiając stolik leżący na podłodze, wbiegłem co żywo na powrót do sypialni, zatrzaskałem za sobą drzwi, i nierozebrany rzuciwszy się na łóżko, kołdrę naciągnąłem na głowę i starałem się zasnąć czémprędzej. Nie udało mi się to jednak tak szybko, jak chciałem, a kiedy nareszcie umęczony zasnął głęboko i twardo, Bóg wie nieco roilo mi się we śnie po głowie: trupiarki zakwefione, Krysie zaczarowane, trumny z nieboszczykami, pogrzeby, cmentarze, groby, i wszystkie okropności budzących się w nich trupów. Jeden z takich snów, najszkaradniejszy, przebudził mnie nareszcie dość późno. Otworzyłem oczy, dzień już był jasny w pokoju; spojrzę do koła, aż oto stolik mój stoi na swoim miejscu przy łóżku, na nim leżą także na swoim miejscu fatalne, czarne książeczki. Wskoczyłem przerażony równemi nogami z łóżka, a że byłem od wczoraj ubrany, nie zatrzymując się więc ani chwili, wybiegłem z pokoju i nie oparłem przyspieszonych kroków aż dopiero gdzieś na dziesiątej ulicy. Nie wiem, o którym czasie i w jakiej cukierni tego dnia piłem moją kawę, nie pamiętam w której oberży jadłem obiad, i jak przepędziłem czas poobiedni, czekając wieczornej godziny, w której zobaczyć miałem pana Hilarego i koniec wczorajszej historii usłyszeć.

Nadeszła nareszcie ta oczekiwana godzina, i ja pospieszyłem nie bez wewnętrznej jakiegś trwogi do tajemniczego domku, gdzie na mnie już czekano.

Ale tą razą czekał nie tam, gdzie zwykle widywałem go dotąd: w górnym na piętrze pokoiku, ale czekał na mnie w ogrodzie, dokąd stary Szymon zaprowadzić mnie miał polecenie, które też z największą słów oszczędnością wypełniając, otworzył drzwi, wiodące z sionki do ogrodu, stanął bokiem na progu i wskazał ręką na ciemną aleję, przerzynającą środek ogrodu, zarosłą zielskiem i wciskającemi się do środka krzewami, ale zdradzającą widocznie, że niegdyś była strzyżona i utrzymywana starannie. Podobny do niej widok cały ogród przedstawiał. Podzielony był na kilka trawników, porabianych dziś już zarosłemi szpalerami, urozmaiconych rzu-

conemi tu i owdzie klombami drzew egzotycznych i owocowych, obok których widoczne téż jeszcze były śród trawy miejsca, dziś zielskiem i piołunem zarosłe, gdzie dawniej niewątpliwie ręka staranniejsza kwiaty kwitnące pielęgnowała.

Postrzeżenia te robiłem na prędce, chodząc i szukając po szpalerach pana Hilarego, którego nareszcie w jednym kącie ogrodu wynalazłem, przyglądającego się w zamyśleniu powikłanym w wielki pęk łodygom róży jerychońskiej, leżącym dziś i rozpinającym się szeroko po ziemi, a tworzącym niegdyś, jak to znać było jeszcze po ich kształcie, żywą i zieloną altanę.

Kiedy mnie zobaczył: „Witam cię, witam panie Ryszardzie, zawołał i postąpił ku mnie z dłonią wyciągniętą: „Nie spodziewałem się wizyty twojej tak wczesnie i chciałem oto jeszcze, nim znów w pokoju przy herbacie zasiądziemy, użyć trochę i świeżego powietrza rozbudzonej wiosny w ogrodzie i rozbudzić niem w sobie nawzajem, a raczej odświeżyć tylko pamięć dni szczęśliwych, jakie tu niegdyś przeżyłem.“

„Przepraszam, odrzekłem, stokrotnie przepraszam, jeżeli te miłe i szczęśliwe wspomnienia przerwałem; ale ciekawość i niecierpliwość usłyszenia czémprędzej końca wczorajszej historyi, nie dały mi w domu dłuższego miru, ani spokoju.“

„Skoroć tak bardzo, odparł pan Hilary, niecierpliwy i ciekawy jesteś tego końca, to natychmiast zacząć mogę dalsze moje opowiadanie; miejsce zaś, w którym się obecnie znajdujemy, nietylko mi w niem przeszkadzać nie będzie, ale nawet ułatwi mi przejście do życia z letargu i ze snu poletargicznego, w którym się wczoraj przy pożegnaniu znajdowałem. Boć zdaje mi się, że na tém wczorajsza powieść utknęła?“

Potwierdziłem to w kilku słowach. Pan Hilary wziął mnie za rękę i poprowadził w głąb ogrodu, otoczonego wysokim murem; a kiedy stanęliśmy przed ową furtką, którą już raz po tamtęj stronie od ulicy widziałem:

„Tędy, powiedział, wróciłem do życia; tędy téż i wczorajszą moją powieść wprowadzę; co dla lepszego rozumienia w ten sposób objaśniam, że po obudzeniu się z owego ciężkiego i głębokiego snu, który mnie nawet po odejściu doktora ogarnął, czując się zupełnie zdrów na ciele i na duszy, ułożyłem był taki plan z zakwestioną trupiarką, że załatwiwszy bie-

zące interesa i zapłaciwszy u gospodarza domu rachunki, udam przed nim wyjazd nagły z miasta, a tymczasem o zmierzchu wieczornym spotkam się na umówioném miejscu z Kasią, która mnie przeprowadzi do domu Kruków, gdzie niewątpliwie, zapewniała zakwefiona, większe niż w dotychczasowém mieszkaniu będę miał wygody i gdzie spokojnie czekać będę mógł na przyjazd wezwanego ojca.

Przypominam ci albowiem panie Ryszardzie, mówił zwracając się wprost do mnie pan Hilary, przypominam ci, o czém może w téj chwili już nie pamiętasz, że podczas mego letargu zapieczętowany i na pocztę oddany został list, który przed letargiem napisałem był do ojca, wzywając go, wedle rady bankiera, ażeby spiesznie przyjeżdżał i z tajemniczą panią Rabe rozpoczął owe układy, do których skłonną się okazywała. Stósownie więc do tego wezwania spodziewać się należało, że ojciec przyjedzie, ale dla tego téż właśnie nie wypadało wynieść się z domu, do którego adres mój mu wskazałem, bez pozostawienia śladu o miejscu terażniejszego mego pobytu. Napisałem tedy do niego list i oddałem go u gospodarza domu z tém poleceniem, ażeby go doręczył przybyłemu ojcu, któremu w nim adres dwóch Kruków wskazałem.

Taka była umowa z zakwefioną trupiarką, a wspomnieć mi tu o niej należało, ażebyś się nazbyt nie zdziwił nagłemu pojawieniu się ojca w domu Kruków. Lecz zanim jego do nich wprowadzę, pierw opowiedzieć muszę, że sam tu wprowadzony zostałem przez Kasię nazajutrz po mojem przebudzeniu.

Zmierzch już zapadał, kiedy mnie pierwszy raz wprowadziła przez tę oto furtkę do tego ogrodu, gdzie na mnie czekały i zakwefiona trupiarka i wskrzesicielka moja Krysia. Nie będę ci opowiadał, jak mnie przyjęły, ani jak przepędziłem ukryty w tym domu i w tym ogrodzie pierwsze dwa w ich towarzystwie tygodnie. Przejdę raczej zaraz do sceny, która ci od razu poda klucz do rozwiązania, jeśli nie całej tajemniczej historii Kruków, to przynajmniej do zrozumienia mojego względem nich stosunku.

Było pod wieczór. Ja z Krysią siedziałem sobie w górnym na piętrze znanym ci pokoiku. Było to jój panieńskie mieszkanie. Zakwefiona zaś trupiarka i Kasia siedziały obie-

dwie w swoim pokoju na dole, do którego prowadzące drzwi ze sieni, ta sama, co wtedy, do dziś dnia zakrywa z czarnego sukna kotara. Prócz nich nikt za nią nie wchodził; nawet dla Krysi tajemnicze to dwóch Kruków schronienie było nieprzystępne. W niém one większą część dnia przepędzały. Czasami tylko w poobiednich godzinach odwiedzała nas zakweiona w pokoju na górze albo w ogrodowej altanie.

Owego tam dnia, którego zdarzenie teraz mam opowiedzieć, one obiedwie zamknięte siedziały w kryjówce, ja z Krysią na piętrze w pokoju. Naraz dało się nam słyszeć mocne dzwonięcie w dzwonek, którego rękojeść dziś przeniesiona do sieni, znajdowała się wtedy zewnątrz domu przy drzwiach. Szarpnęła za nią teraz widocznie ręka niecierpliwa i przeraziła nas odwykłych już prawie zupełnie od tego dźwięku, który przez ostatnich dni kilka prawie się już wcale nie odzywał. Wspomnieć tu jeszcze bowiem nawiasowo muszę, że od chwili mego przeniesienia się do nich, zaprzestały Kruki trupiego swego rzemiosła, wymawiały się przychodzącym po nie osobom chorobą i wcale nie opuszczały domu. To też co dzień rzadziej zdarzały się w pierwszym tygodniu obstalunki, nareszcie ustały zupełnie! Tem też przeto niemiłej uderzyło i przeraziło nas teraz gwałtowne od ulicy zazdzwonięcie. Zadrżeliśmy mimowolnie i umilkli w pół-cichej naszej rozmowie. Po chwili słyszeć nam się dało mocniejsze niż zwykle stąpanie po schodach, a po chwili otworzyły się drzwi pokoju i na progu stanął — mój ojciec.

Rzuciłem się w jego objęcia, nim jeszcze drzwi zdążył zamknąć i witałem go tak gorąco i żywo, jak gdybym na nowo odzyskał był ojca już straconego; a kiedy pierwsze uniesienia tego żywego powitania minęły, ojciec mój obejrzał się po pokoju, a spostrzegłszy Krysię, która przez ten czas z krzeszła powstawszy, stała o poręcz jego oparta z wezbraną od łez powieką, cofnął się o dwa kroki w tył, pobladł i drżącym od widocznej emocyi głosem zawołał: „*Hortensya!*“

„*Hortensya tu stoi!*“ — odpowiedział głos jakiś z sieni. Oczy nasze zwróciły się na drzwi pokoju, aż dotąd otwarte, i ujrzelśmy stojące tuż za progiem widmo okropne!

Była to zakweiona trupiarka. Tylko że teraz lewą ręką odrzuciła na bok zasłonę, która ją dotąd zawsze zakry-

wała, i pierwszy raz oczom moim ukazała nie twarz, ale larwę, którą jedna, wielka, jak gdyby od spalenizny, okrywała blizna i liczne na niej czarne zaskórne plamy. W rysach jednakże tej twarzy widoczne było podobieństwo do Krysi.

Kiedym to postrzegł, krzyknąłem z przerażenia! Ojciec mój, zdaje się, że nie mniej przerażony był odemnie; bo na pierwszy widok tej oszpeconej twarzy odskoczył na bok, potem dłoń drżącą położył na czole i okiem, jak gdyby sfascynowanym, niewzruszenie w nią patrzył.

Trupiarka dłoń prawą, naprzód postąpiwszy, wyciągnęła ku niemu, jakby na przywitanie, lewą dała nam znak wyraźny do wyjścia.

Usluchaliśmy go w milczeniu z Krysią i opuściwszy pokój, zeszliśmy na dół do ogrodu, nie mogąc od wrażenia, jakie na nas dopiero co widziana zrobiła scena, słowa jednego przemówić. Trupiarka zaś, którą już odtąd ciotką Hortensyą nazywać będę, bo była ona nią rzeczywiście, o czém już od dwóch tygodni z ust jej własnych wiedziałem, ale co teraz w oczach moich sam ojciec potwierdził, ciotka więc moja Hortensya i ojciec, zostali sami w pokoju i drzwi za sobą zamknęli. Bóg tylko jeden wie, co wtedy i o czém mówili w tym zamkniętym pokoju, a mówili i dużo i długo, bo może dopiero po upływie dwóch godzin, pod czas których w ciągłym prawie milczeniu przechadzałem się ręka w rękę z Krysią po ogrodzie, przyszła po nas Kasia i zawołała na górę.

Kiedyśmy weszli do pokoju, ciotka Hortensya siedziała w krześle przy stole, a czarny ów woal już znowu twarz jej zakrywał; ojciec zaś mój jedną dłonią trzymał siedzącą za rękę, a drugą ocierał szybko ostatnie łzy, które się do ocz zacerwienionych cisnęły i rzekł do mnie z tkliwością: „Hilary! Oto jest ciotka twoja, której miłością synowską staraj się choć odrobinę wynagrodzić tych nieszczęść, których w życiu swoim doznała. A to jest, mówił dalej, obracając się do Krysi, to jest siostra twoja!“ i powiedziawszy to, postąpił do zapłonionej i pocałował ją w czoło.

Ta wiadomość, jak grom uderzyła we mnie, bo była dla mnie zupełną nowością. Ciotka bowiem Hortensya, odsłaniając przedemną niektóre tajemnice swojej przeszłości, i dawszy mi w sobie

zmarłą siostrę ojca mego, nie chciała nigdy dotknąć, ani odkryć przedemną historyi Krysi, i odwłóczyła zawdy zaspokojenie ciekawości mojej w tój mierze aż do spodziewanego przybycia ojca, który, jak mówiła, sam mi najlepiej będzie umiał powiedzieć, czem była Krysia dla mnie, dla niego i dla niej. Przybył nareszcie ten spodziewany i od kilku już dni oczekiwany ojciec i powiedział mi, że Krysia była siostrą moją; a zdumienie, w jakie mnie ta wiadomość wprawiła, tak musiało być widoczne, że uderzony niém ojciec, dodał z przyciskiem: „Tak jest, Hilary! To jest siostra twoja, dla której odtąd starać się będę równie dobrym, jak dla ciebie, być ojcem, jeżeli tylko ona córką moją zostać będzie chciała?“

Krysia z widocznem pomięszaniem patrzała w oczy ojca, jak gdyby tem niemém spojrzeniem wytlómaczyć mu była chciała, że nie wszystko w tych dwóznaczących słowach jego było zrozumiałe dla niej. Potem przystępując z żywością do niego, schwyciła podaną sobie rękę, i nachylając ku niej twarz żywo zapłonioną, poczęła ją czule całować. Ojciec za całą odpowiedź wziął ją za obiedwie dłonie, przyprowadził do mnie i oddał pomięszaną niejako w moje ręce. Wtedy czoło jój marmurowe nachyliło się dobrowolnie do ust moich i z lekka ich dotknęło.

Powiedziawszy to pan Hilary, nagle uciął i zamilkł. Przez dobrą chwilę szliśmy tak obok siebie w milczeniu, które ja szanowałem, w domyślnym dla wspomnień serca jego respekcie. Pierwszy przerwał je znów pan Hilary, a podnosząc nagle głowę, jak gdyby ze snu pamiętek zbudzony, rzekł głosem spokojnym: „Chłodno się jakoś zrobiło! Czas dla nas będzie wejść znów na górę, bo też i Szymon pewnie już przygotował herbatę; a ja spodziewam się, że ty i dzisiaj szklaneczki nie odmówisz?“

„„Bynajmniej, panie Hilary, odpowiedziałem. Herbaty pańskiej z dwóch przyczyn odmówić nigdybym nie mógł; najprzód dla tego, że w towarzystwie pana ją piję, a potem...““

„A potem, przerwał pan Hilary z uśmiechem, dla tego, że równie dobrej nie znajdziesz w całym mieście u Niemców. Czy nie tak?“

„Tak jest istotnie, odrzekłem; dodać wszelako zaraz muszę, że dzisiaj zrzekłbym się nawet tej wyborniej herbaty, gdybym tą ofiarą miał prędkiej dokupić się końca powieści i rozwiązania tajemniczej pana historii.“

„Więc doprawdy tak bardzo jesteś ciekawy?“ zapytał.

„Nie ja, odrzekłem, ale powieść pańska ciekawa, zwłaszcza, że im dalej postępuje, tem coraz więcej nowych przybysza w niej zagadek, tem coraz mniej zrozumiała staje się dla mnie, co, pozwolę sobie powiedzieć, wcale żadną nie jest zaletą; uważałem albowiem po wszystkich drukowanych a znanych mi powieściach i romansach, że im bliżej końca rzecz się opowiadana w nich stacza, tem lepiej wyjaśniają się wszystkie wątpliwości i początkowe rozwiązują zawikłania. W pańskiej powieści całkiem przeciwnie.“

„Niecierpliwiy cokolwiek jesteś, łaskawco, odpowiedział pan Hilary, ale nareszcie pewnie masz racya! Wina to po części moja, po części zaś rzeczy samėj, która nie pozwala się, jak w drukowanej powieści, do woli i podług upodobania piszącego układać, ale opowiadana być musi tak, jak działa się w rzeczywistości. Nie zapominaj albowiem, panie Ryszardzie, że powieść moja, to nie romans wymarzony, ani wysnuta przedza wyobraźni, ale prawdziwe z życia mojego zdarzenie. Jeżeli w czém przy opowiadaniu tego zdarzenia zawiniłem, to chyba o tyle tylko, że tak przed tobą rzecz całą rozwijał, jak ona wtedy rozwijała i wyjaśniała się dla mnie. W sposobie więc tylko i w metodzie opowiadania pobłądziłem, przyznaję, a powiem nawet więcej, że gdybym tej samėj trzymać się jeszcze chciał nadal, zapewne bym opowiadania mego i dzisiaj nie skończył, bo nie myśl, że tajemnicza historia mojej ciotki Hortensyi, i wszystkie koleje, jakie przechodziła i jakie ją z córki zamożnego w Polsce domu przemieniły na nędzną trupiarkę w mieście niemieckiem, nie myśl, żeby ta jej historia, ani dziwniejsza poniekąd historia Krysi, wyjaśniły się były dla mnie od razu przez przybycie ojca i jego opowiadanie. Bynajmniej! Ta bowiem powieść ojcowska, którą tego samego jeszcze dnia, kiedyśmy sam na sam zostali, z ust jego słyszałem, mieściła w sobie tyle dziwactwa i niepodobnych do uwierzenia okoliczności i zdarzeń, że gdybym ci ją wiernie chciał tutaj powtórzyć i na niej poprzestał bez

bliższych objaśnień, które mnie samemu później dopiero udało się zebrać, kiedym do kraju powrócił; to pewien jestem, że przy końcu dzisiejszego opowiadania znów byś skarżył się na mnie, że cię coraz gorzej mistyfikuję i że coraz nowych do téj powieści dodaję zagadek i tajemnic. I słusznie może skarżyłbyś się na to, a ja powieści mojej i dziśbym jeszcze nie skończył. Muszę przeto zmienić tryb, tok i sposób opowiadania, i będę ci odtąd rzecz całą tak przedstawiał, jak ona po długich poszukiwaniach w kraju, po częstych rozmowach i toczonych nieomal śledztwach z osobami, które bliższe stosunki pokrewieństwa miały z domem naszym i dziada mojego znały jeszcze za życia i ciotkę Hortensyą za młodu, przedstawiła mi się nareszcie w rok dopiero później od chwili, na której z powieścią moją stanąłem. Wiedzieć ci albowiem trzeba, że w kilka dni po owéj scenie z ojcem w domu Kruków, on, Krysia i ja powróciliśmy po czulém rozłączeniu się z Hortensyą i Kasią do kraju, gdzie po długich a nader oględnych korowodach dowiedziałem się nareszcie tego, co pokombinowane z powieścią samejże ciotki Hortensyi i ojca, ułożyło się nareszcie w historią, którą ci przy herbacie na górze opowiem.

Kiedy to mówił pan Hilary, stanęliśmy właśnie przed domkiem, którego drzwi uchyliwszy, wskazał ręką na schody i dał mi tym sposobem zapraszający znak do wnijscia. Ja wszedłem, i znalazłem w pokoju tajemniczéj owéj Krysi przygotowaną herbatę, do której gdyśmy po chwili zasiedli, jął pan Hilary rzecz swoją w ten sposób dalej opowiadać.

Trzeba ci się najprzód przenieść ztąd myślą do Polski, w najpiękniejszą i najbogatszą jéj stronę, a potem cofnąć się pamięcią o dwadzieścia przeszło lat w tył, nie od chwili obecnej, ale od czasu, na którym powieść moją w ogrodzie skończyłem. Jeszcze wtedy ani mnie, ani Krysi nie było na świecie, bo ojciec mój był jeszcze kawalerem i mieszkał wraz z siostrą Hortensyą, o pare lat młodszą od siebie, na wsi przy ojcu a dziadku moim, który jeszcze wtedy żył zdrow i czerstwy i o tyle w domowém pożyciu szczęśliwy, o ile wtedy

w Polsce szczęśliwy mógł być Polak, którego położenie towarzyskie stawiało w bezpośredniem prawie zetknięciu z kłopotliwymi, a nawet burzliwymi owych tam czasów kolejami i stosunkami kraju. Nie potrzeba mi pewnie przed tobą wyluszczać, jakie to były owe kłopotliwe stosunki i jakiego rodzaju burze. Powróć tylko pamięcią w dziejach krajowych o 70 przeszło lat w tył, a staną one tak żywo przed twemi oczyma, że gdybym historyczny wypadków ówczesnych w Polsce chciał tutaj malować obraz, przedłużyłbym tylko niepotrzebnie powieść moją bez odkrycia ci lub przytoczenia czegoś nowego. Znane to i pamiętne wszystkim nam dzieje! Opowiadać ich zatem nie będę, ale wspomnieć o nich musiałem, bo publicznych spraw ówczesnych nieszczęśliwe u nas koleje nie tylko przeważnie wpłynęły tak na charakter i fizyczne nawet a niebezpieczne z natury usposobienia ciotki mojej Hortensyi, ale spowodowanemi przez się następstwami zdecydowały nawet o całym jéj życiu w sposób najokropniejszy i najnieszczęśliwszy.

Wspomniałem ci już, jeśli się nie mylę onegdaj czy wczoraj, o dziwnym a do rodu naszego przywiązanym przymiocie, który się w tém objawiał, że od dawna odznaczali się wszyscy nieomal z niego mężczyźni polotem górnej fantazyi, która przy dawnych a przyjaznych stosunkach wynosi ludzi na bohaterów, wielkich polityków, lub wielkich pisarzy; wszystkie zaś kobiety odznaczały się nadzwyczajną drażliwością nerwową i egzaltacją uczuć, która z nich robi najtkliwsze kochanki, najczulsze żony i matki, a czasem w zbytecznym wygórowaniu na waryatki i nieznośne fantastki zamienia.

Przymiot ten za młodszych lat swoich posiadała ciotka Hortensya w stopniu najwyższym. Młoda, piękna, egzaltowana, zajmowała się żywo i gorąco nietylko tém, co ją otaczało w domu, ale z równą egzaltacją brała gorący udział i w sprawach publicznych, a odznaczała się nieraz w naradach mężczyzn, do których moda francuzka już i w Polsce kobiety na ten czas przypuszczała, odznaczała się w nich wzniosłością, i szlachetnością uczuć i tak zadziwiającą nieraz trafnością pomysłów, że w młodej dziewczynie sama tylko intuicya, na drażliwości nerwowej ostatecznie oparta, lecz wynosząca tych, co ją posiadają, do rzędu istot nadzwyczajnych, tłómaczyć

zdolna była tę trafność i tę zdumiewającą jasność widzenia. O ile jednak przymiot ten otaczał ciotkę Hortensyą w oczach znajomych złudnym urokiem wyższości, o tyle dla niej samej, przy nieszczęśliwym obrocie, jaki dla egzaltowanych wzięły ówczesne sprawy publiczne, stawał się źródłem najdotkliwszych cierpień fizycznych i moralnych, które nadto, dobrze uważać proszę, jedna jeszcze powiększała okoliczność.

Bywał na ten czas, przed ostatecznym a smutnym rzeczy krajowych rozwiązaniem, w domu dziada mojego młody Stanisław P..., potomek znakomitego, bo nawet dygnitarskiego, a zawsze bardzo zamożnego w Polsce domu, sam znakomity urodą, rozumem i najpiękniejszymi przymiotami serca i duszy, które do najpochlebniejszych o nim nadziei wczesne a zasłużone dawały prawo. Nic dziwnego, że taki pełen nadziei i szlachetnych zapałów młodzieniec umiał zająć serce ciotki Hortensyi i że ją sam pokochał; a że nic połączeniu ich nie stawało na zawadzie, za zgodnym więc obojga rodzin zezwoleniem, zostali oboje zaręczeni, i uważać się mogli za narzeczonych, których wiecznemu przez śluby małżeńskie połączeniu przeszkadzały tylko jeszcze chwilowe ówczesne w kraju zaburzenia. W nich młody Stanisław żywszy jeszcze od Hortensyi, bo nie tylko rozumem, ale ramieniem i całą osobą czynny brał udział, a znajdował doń najsilniejszego bodźca w egzaltacji swój narzeczonej, która upodobała sobie w myśli nieco ambitnej, że w Stanisławie zaślubi nie tylko bohatera, zdolnego do najwyższych poświęceń, ale zwycięzcę i tryumfatora, przed którym cała Polska czołem uderzy.

Marzyła zwyczajnie, jak młoda, egzaltowana, a niedoświadczona dziewczyna, i nie kryła się z tą myślą przed Stanisławem, który i w niej podobne budził nadzieje i sam przez nią w nich utwierdzony, oddawał im się tém chętniej, że czuł w sobie i chęć, i zapał i talent do wykonania rzeczy niepodobnych. Oboje w krótkich chwilach przelotnych widzeń łudzili się przez czas niejaki tak przesadnymi nadziejami i coraz je wyżej wzajemną podnosili egzaltacją. Tymczasem inaczej postanowiły losy.

Przedsięwzięcie, w którym i Stanisław czynny brał udział, a którego zamiarem było odwrócenie przemocą oręża ostatecznego od kraju, a fatalnego przeznaczenia, to przedsięwzię-

cie zwichnęło się prawie w samym poczęciu, i skończyło się zupełnie porażką i klęską dla przedsiębiorców. Dom dziada mojego pokrył się żalobą i smutkiem. Podwójną żalobą okryła się Hortensya, bo raz żalobą krajową, drugi raz żalobą osobistą po zawiedzionych względem Stanisława nadziejach, który ani zbawcą nie został, ani nawet w boju nie poległ.

Czy podobna uwierzyć, że wiadomość o tém, do rozpacz ją niemal doprowadziła? Taka jest dziwna natura egzaltowanych naszych Polek! Gdyby Stanisław w boju był poległ, z żalu po nim umarłaby zapewne była i Hortensya, bo go prawdziwie kochała; teraz czuła się najnieszczęśliwszą, że nie poległ, a należał do garstki zwyciężonych, pobitych, ściganych i przed szczęśliwszym uchodzących zwycięzcą. Ta myśl tak dokuczliwie próżności i dumie jój dogryzała, że aż niesprawiedliwą stała się dla ubóstwianego dotąd przez się Stanisława, i gdy w pospiesznej ucieczce zбочył on naumyślnie dla pożegnania swój narzeczonej do domu dziada mego, Hortensya zamknęła się przed nim w swoim pokoju, i na długie nalegania, któremi zniewolić ją chciano do pokazania się Stanisławowi, napisała tylko i przesłała mu bilecik, który następujące zawierał wyrazy:

„Nie wiem jeszcze dotąd i potrzebuję więcej czasu do namysłu, jak i w jaki sposób powitać mam unoszącego życie przed nieprzyjacielem obrońcę Termopilów.“

Stanisław bilecik przeczytał, gorzką słów jego połknął ironię, poczerwieniał aż po bielmo ocz, pożegnał ojca Hortensyi, wsiadł na koń i odjechał stępą, nie obejrzawszy się nawet na dom, w którym okrutną zostawiał narzeczoną. Ona przez ten czas stała przy oknie i obojętnie za odjeżdżającym patrzyła. Ale zaledwie po jego oddaleniu parę dni minęło, uczuła w sercu taki żal głęboki i taką tęsknotę, jakie jedynie najżywsza i najnamiętniejsza zrodzić była mogła miłość; a doszły te uczucia prawie aż do wybuchu rozpacz, kiedy nieco później dowiedziała się jeszcze Hortensya od innych niedobitków, powracających z pola nieszczęśliwej bitwy, o cudach waleczności w ostatnim boju Stanisława. On to ostatni ostatnie w ogień prowadził oddziały, on je do męstwa własnym przykładem bezprzykładnej nieustraszonosci zagrzewał, on chciał przynajmniej sławę dnia tego ratować, a choć wszystkie te

jego wysilenia klęski odwrócić nie mogły, tyle przynajmniej dokazał, że choć dwa razy ranny, on był ostatni, co walkę opuszczał.

Słyszając to Hortensya, zanosila się od łez i wykrzykiwała z rozpaczą: „Ja nieszczęśliwa, odepchnęłam go niegodnie! I już go nigdy, nigdy nie zobaczę. Ach! bo on koniecznej szukać poszedł śmierci, i nigdy już, nigdy nie wróci!“

Miała słuszność Hortensya. Stanisław zginął bez śladu; pojechał w świat, i nikomu nie powiedział: gdzie, dokąd i po co? Tygodnie już całe mijały bez żadnej o nim wieści. Okropne to były dla Hortensyi tygodnie! Nocami, jeżeli zasnąć mogła, trapiły ją i przebudzały sny straszliwe, przebudzoną na jawie straszliwsze dręczyły widziadła! Rozdrażnienie jej podnosiło się z dniem każdym i przechodziło czasami w jawne i gwałtowne szaleństwo.

Potem nagle uspokoiły się na pozór gwałtowne takie wybuchy, ale po nich nastął gorszy poniekąd stan cichiej a głębokiej melancholii, obok której pojawiała się nieraz i fizyczna jakaś, osobliwsza choroba.

Hortensya popadała raz po raz w pewien rodzaj zajmania, pod czas którego bezwładnie godzinami całemi leżała nieruchoma i martwa, a przebudzała się za każdą razą prawie smutniejsza i cichsza. Z nikim też prawie nie rozmawiała. Jeżeli zaś z przybyłych gości wspomniał kto przypadkiem o Stanisławie i poświęcił mu słowo tkliwego, ale smutnego wspomnienia, jakie się zwykle drogiej pamięci osób już nieżyjących poświęca, uśmiechała się wtedy Hortensya tak dziwnie, że przyjaciele domu z politowaniem patrząc na ten uśmiech, brali go za dowód oczywistego obłąkania, w które też i dziad mój nareszcie sam już uwierzył, gdy razu jednego, zapytawszy nieszczęśliwej Hortensyi o przyczynę tego dziwnego uśmiechu, odebrał od niej odpowiedź, że śmieje się z tych, co Stanisława za umarłego już mają, kiedy on żyje i zdrow jest, choć śmierci szuka i naraża się na ciągłe niebezpieczeństwa! Poczém znów zamilkła i mimo prózb i nalegań ojca żadnych już bliższych nie chciała dać objaśnień.

Biedny ojciec wziął tę odpowiedź także za dowód obłąkania i postanowił dla rozpoczęcia kuracyi sprowadzić z Warszawy biegłego i renomowanego na ten czas doktora, który

się chętnie ofiarował zjechać na niejaki czas na wieś i pilnie a spokojnie chorobę Hortensyi obserwować. Zjechał też wkrótce i długo ją obserwował i wszystkich próbował środków, jakich mu tylko sztuka jego dostarczała. Ale jakkolwiek umiejętnie użyte i zastosowane, wszystkie okazały się bezskutecznymi, co naturalnie biegłego lekarza spowodowało, iż chorobę Hortensyi za nieuleczoną uznał tém śmielej, gdy podczas samój kuracyi powróciły znów dawniejsze paroksyzmy jawnego szaleństwa i objawiły się w kilku gwałtownych wzbuchach.

Tak rzeczy stały w domu dziadka, kiedy niespodziewany wypadek całkiem nowy nadał im obrot.

Było to w czasie politycznej burzy we Francyi. Wyrzucała ona po za jej granice i brzegi raz po raz licznych robotników, którzy się emigrantami nazywają i darzyła niemi sąsiednie a nawet i odleglejsze kraje. Wielu przybywało także do Polski.

Pewnego dnia zawiadomiony został mój dziad przez jednego ze swoich przyjaciół, że wnet przybędzie i do niego pewien taki emigrant, dla którego o gościnne w domu przyjęcie i zachowanie polecający prosił przyjaciel, dodając poniekąd na swoje usprawiedliwienie, że to osoba i dobrze wychowana i jak się zdawało znakomita, choć stan swój i dostojęstwa ukryte mieć chciała pod skromnym a przybranym nazwiskiem *Ryszarda*.

Gdy to nazwisko pan Hilary wymówił, ja mimowolnie poruszyłem się na krześle, bo mi w téj chwili na myśl przyszło jego zdziwienie i pewien ambaras, kiedy pierwszy raz usłyszał był imie moje. Postrzegł to pan Hilary i robiąc mały ustęp w ciągu swéj powieści, a obracając mowę wprost do mnie, rzekł:

„Wiem, o czém myślisz w téj chwili. Zrozumiesz jednak lepiej jeszcze powód wrażenia, jakie na mnie zrobił dźwięk twego imienia, skoro następnie usłyszysz, co to za figura i w mojej powieści i w losach mojej ciotki Hortensyi, jest ów francuzki emigrant *Ryszard*.“ Poczém do właściwej wracając powieści, tak dalej mówił:

W kilka dni po nadejściu wspomnianego uwiadomienia, kiedy ciotka Hortensya udać się chciała na ulubioną w samotności do parku przechadzkę i wyszła z pokoju ojca do sieni, ukazał się w niej wchodzący ze dworu młody mężczyzna, na którego widok Hortensya krzyknęła: „Stanisław!” i padła zemdlona w jego objęcia.

Mniemany Stanisław musiał ją, chcąc nie chcąc, pochwycić, żeby od ciężkiego na kamienne flisy uchronić upadku, lecz pomięszany rzekł po francuzku do tulącej twarz na jego ramieniu, obracając się zarazem na poły do ojca, którego krzyk Hortensyi wywołał także z pokoju do sieni:

„Jakkolwiek widocznej pomyłce najpiękniejszą w życiu mojem zawdzięczam chwilę, nie mogę z niej wszakże dłużej korzystać. Ja nie jestem Stanisławem; nazywam się Ryszard.“

Na te słowa, przywrócona do przytomności Hortensya, odskoczyła na bok, a spojrzawszy raz jeszcze na przybyłego, jakkolwiek w nim upatrzeć było można niejaki do Stanisława podobieństwo, nie mogła jednak dłużej w błędzie pozostać i szybko rumieńcem wstydu okryta, uciekła do swego pokoju.

Dziad mój tymczasem zaprosił do salonu przybyłego, a przeczytawszy list rekomendacyjny, który mu przywiózł od przyjaciela, witał go ze staropolską szczerą gościnnością; poczem naturalnie przystąpił czémprędzej do tłómaczenia przed obcym i cudzoziemcem dziwnej przy pierwszém spotkaniu pomyłki córki, i opowiedział mu z téj okazji całą jęj i Stanisława historią, stosunek ich wzajemny i szczególniejszą chorobę, więcéj umyslową, niżli fizyczną Hortensyi.

Nie chciał się na tę ostatnią choroby charakterystykę zgodzić, po wysłuchaniu pilnem całego opowiadania przybyły Francuz i mówił, że z tego, co dotąd o niej słyszał, odgaduje poniekąd jęj naturę, choć nie jest właściwie lekarzem z powołania, ani się sztuce lekarskiej poświęca. Ale że w czasie pobytu swego przy boku hrabiego Artois poznał bliżej, i nadwornego jego lekarza d'Esilon, i nową jego, od Mesmera przejętą, metodę leczenia za pomocą magnetyzmu, o którego skutkach niepojętych i nasłuchał się dużo szczegółów, i sam miał sposobność przekonać się z własnego doświadczenia naocznie; przeto z tego, co słyszał i widział, domysła się już prawie niewątpliwie, że słabość na pozór umyslowa Hortensyi,

uleczoną tylko być może przez magnetyzm; czego jednakże, jak mówił, z góry ani przesądzać, ani decydować, ani zaręczać nie chce, dopóki przy bliższem poznaniu chorój, lepiej trochę nie zbada jój natury i usposobień tak fizycznych, jak i moralnych. Dojść zaś do takiego poznania może bez żadnych innych zachodów i formalności, przez samo jedynie zbliżenie się do chorój i przez częstsze z nią w przytomności ojca rozmowy; gotowym zaś oświadczył się zaraz do rozpoczęcia pierwszej próby swojej metody leczenia, a usprawiedliwił ten pospiech uwagą, że pod wrażeniem, jakiego chora przy pomyłce swój w sieni niedawno doznała, a z którego pewnie całkowicie jeszcze nie ochłonęła, najlepiej da mu się poznać stan jój umysłu i choroby.

Zgodził się i na to stroskany ojciec, a opowiedziawszy jeszcze niektóre o Stanisławie szczegóły, względem jego upodobań, charakteru, ukształcenia, a nawet i zewnętrznych przymiotów, o co wszystko przybyły Francuz dosyć troskliwie wypytywał, i przyrzekłszy mu zachować przed Hortensyą sekret o tej rozmowie; poszedł do jój pokoju próbować, czy nie zdoła namówić jój do salonu. Długa dość chwila minęła, zanim powrócił, za rękę trzymając Hortensyą, która spostrzegłszy Francuza, zatrzymała się w progu i znowu żywym splonęła rumieńcem. Postąpił naprzód i o krok tylko od niej oddalony zatrzymał się Francuz, a nachylając, jakby w upokorzeniu bardzo piękną i w męzkie kształty utoczoną głowę: „Wybacz pani, rzekł głosem dźwięcznym, lecz lekko do modulacyi błagalnego tonu nagiętym, wybacz pani, że śmiem stawać przed panią; ale niesłusznie ze strony pani, a dla mnie zbyt okrutnie byłoby, karać mnie wygnaniem z przed swoich oczu za własną pomyłkę, w której ja raczej instynkt serca pani i silne podziwiam przecucie. Choć bowiem nie jestem tym szczęśliwym Stanisławem, za którego wzięłaś mnie pani w pierwszej chwili, przybywam jednak co tylko z pod jego nieostygłych jeszcze uścisków, któremi mnie żegnał, kiedym w te strony niedawno z Francyi wyjeżdżał.“

„Więc pan go widziałeś?“ zapytała Hortensya z żywością, a całą duszą zawisła na ustach Francuza, z których zbawienia swego zdawała się spodziewać.

„Nietylko widziałem, odpowiedział, ale widywałem czę-

sto, a co ważniejsza, nazywałem go najlepszym swoim przyjacielem; i z jego téż polecenia przybywam właśnie w te strony, żeby najlepszą o jego powodzeniu wiadomość przynieść osobom, które ono tak żywo obchodzi!“

Hortensya złożyła ręce, oczy podniosła ku niebu i cicha, gorącą, choć krótką modlitwą dziękowała najprzód Bogu za tę o Stanisławie wiadomość, a potem rękę podając cudzoziemcowi, rzekła z niewypowiedzianym wdziękiem, którym przed swoją chorobą serca wszystkich zachwycała:

„Ja tylko podziękować mogę za tę przyjacielską dla Stanisława usługę, lecz Pan Bóg wynagrodzić ją panu raczy, jeśli mych modłów wysłucha. Mów pan jednak wszystko, co jeszcze wiesz o nim; mów, gdzie jest, co robi, jak się miewa Stanisław?“

Wtedy to zaczął Ryszard z tym wdziękiem towarzyskiej wymowy, która tylko Francuzom dobrego wychowania jest właściwa, a którą on w wysokim stopniu posiadał, opowiadać o Stanisławie, że od kilku miesięcy służy w armii francuskiej i zbiera pod *Dumouriem* na polach franuzkich te liczne wawrzyny sławy, których mu rodzinne pozazdrościły; że odznaczył się w kilku walnych bitwach i zasłużył sobie na pochwały wodzów francuskich, którzy w nim podziwiają mężstwo, zimną krew w boju, i najzupełniejszą w największych niebezpieczeństwach przytomność umysłu; że jednak wyrzekłby się i oddał niezawodnie wszystkie te zebrane wawrzyny sławy za jedną taką chwilę, jaka się przyjacielowi jego dostała teraz w udziale; tęskni albowiem i bardzo za krajem tęskni Stanisław, ale się cieszy nadzieją, że wkrótce będzie mógł wrócić do swoich i przynieść z sobą imię znane i głośne w Europie.

Ta ostatnia mianowicie, jakoby wieszczka o przyszłej wielkości Stanisława przepowiednia Ryszarda, najżywiej wyobraźnią Hortensyi uderzyła. Oczy jej zapaliły się dawniejszym blaskiem życia, twarz od niejakiego czasu co dzień smutniejsza i bledsza, ożywiła się lekkim rumieńcem łagodnego wzruszenia; uśmiech szczęścia i wewnętrznego zadowoleniemia, od dawna u niej niewidziany, powrócił na usta; jedném słowem, zaszła w niej cudowna jakaś przemiana, na którą stroskany ojciec z zadziwieniem poglądał, nie wiedząc, czy ją przypisać wpływowi saméjże osoby Ryszarda, który od pierwszej chwili

wzrok swój przenikliwy, głęboki i szczególny utkwivszy w oku Hortensyi, nie zdejmował go z niej ani na moment w czasie swego opowiadania; czy też przypisać tę przemianę miał wieściom, jakie przywiózł od Stanisława. Dostyc, że przemianę sam postrzegał ojciec Hortensyi, która nawet, przerywając uporne swoje dotychczasowe milczenie, zaczęła zwolna wchodzić z Ryszardem w rozmowę, zadając mu rozmaite względem Stanisława pytania, na które on tak trafnie zawdy odpowiadał, że sam ojciec, nie odznaczający się zresztą zbyt wielką bystrością i przenikliwością umysłu, a wiedząc najlepiej, co mu dziś, i o ile o Stanisławie opowiadał, gdy teraz takie o nim od przybyłego dopiero co słyszał szczegóły i dawniejszego życia okoliczności, o jakich z pewnością nie mu nie mówił, sam już narzeczcie nie wiedział, czy Ryszard na doprawdy nie zaznał gdzieś za granicą Stanisława i czy nie należało wierzyć temu wszystkiemu, co teraz o nim powiadał. Tak dalece zręczne i złudne było opowiadanie Ryszarda! Jeżeli zaś zdolne było złudném prawdopodobieństwem do tego stopnia zwieść staroego ojca, jakże łatwiej i prędzej uwieść musiało chorobliwą i egzaltowaną Hortensyą! Zawierzyła ona mu bezwarunkowo, i ta niewątpliwie wiara zrodziła w niej dla Ryszarda od razu takie zaufanie, jakiegoby sobie innym sposobem nawet w takiej jak Hortensya kobiecie, wytłómaczyć nie było można względem cudzoziemca. Objawiało ono się w jój głosie, w sposobie prowadzenia konwersacyi, w całym postępowaniu, tak zachwycającem przez wdzięk niewymuszonej owęj swobody, którą się każda wyższość umysłu i charakteru odznacza.

Wspomnieć mi zaś o tym nadzwyczajnym na charakter Hortensyi wpływie Ryszarda zaraz na wstępie ich znajomości należało, żeby cię w następnych dniach nie dziwiła pewna familiarna poufalość, jaką w obcowaniu z nim przyjęła. Stało się ono poniekąd moralną dla Hortensyi potrzebą i było przyczyną, że po całych nieomal dniach widywano, jak wsparta na jego ramieniu błąkała się z nim i przechadzała po ciemnych alejach parku, jak siedząc obok niego na kanapie w pokoju, dłoń swoją po całych godzinach w jego zostawiała dloni, całą zatopioną duszą w jego opowiadaniach, których przedmiotem były zwykle wojenne czyny Stanisława, z taką żywością i sztuką przedstawiane, że widocznie sam opowiadacz naocznym

ich musiał być świadkiem, że nawet postać jego aż do nierozpoznania częstokroć mieszała się z postacią Stanisława, co znowu ten miało skutek, bez budzenia w ojeu najłżejszych podejrzeń, iż Hortensya w chwilowém zapomnieniu indentyfikowała czasami drogiego sercu swemu narzeczonego z Ryszardem; a podejrzeń to, jak powiedziałem, nie budziło w ojeu najłżejszych, po części dla tego, że umysł jego, co także już wiesz, nie odznaczał się zbyteczną przenikliwością i bystrością, po części zaś z powodu cudownych nieomal skutków, jakie osoba Ryszarda, jego towarzystwo i jego obecność wywierały na zdrowie Hortensyi. Widocznie ona powracała do niego fizycznie i moralnie!

Czasami wprawdzie popadała w swoje dawniejsze zajmania, w swoją bezwładność i senność; popadała w nie nawet codziennie, ale wtedy dość było przywołać Ryszarda, a jeśli uznał za rzecz stósowną, dość było, żeby się do bezwładnej przybliżył, żeby ją wziął za rękę, lub nad twarzą śpiącej kilka tajemniczych rozszerzoną dłonią zrobił poruszeń i znaków, dość tego było, żeby ją ze snu przebudził, i wlał w nią życie dawniejsze i siły.

Nie widział w tém wszystkiém stroskany ojciec nietylko nie zdrożnego, ale tak dalece władzy tajemniczej Ryszarda nad córką i uczciwości jego zaufał, że ją opiece jego tém chętniej powierzył, gdy mu tenże niejednokrotnie zaręczał, iż przy dłuższém zastosowaniu téj metody leczenia, jakiej wyuczył się od Mesmera i d'Eslona, ustana powoli i te magnetyczne zajmania.

W oczekiwaniu spełnienia się tych zaręczeń, minęło już kilka tygodni. Ryszard stał się przez ten czas zupełnym domownikiem; wszyscy do niego przywykli, wszyscy go polubili, tak sobie ludzi *umiał ujmować* i taką nadzwyczajną władzę nad ich sercami posiadał. Największą wywarł na sercu Hortensyi, która nie przestała kochać Stanisława, ani wspominać o nim często, ani tęsknić za nim ustawicznie; ale przez dziwną jakąś operacyą wyobraźni, przemieniał się w niej często nieobecny kochanek na obecnego Ryszarda, i w takich chwilach, jakby zapominając o tantym, oddawała się chwilowemu złudzeniu, była swobodną, wesołą i szczęśliwą.

Tak znowu kilka minęło tygodni.

Nareszcie pewnego dnia rano, kiedy wszyscy zwykli byli

schodzić się do salonu na śniadanie, oznajmiono ojcu, że Hortensya zamknęła się w swoich pokojach ze służącą Kasią i nikogo widzieć nie chce. Myślał więc biedny ojciec, że to znów nowy przystęp dawnych paroksyzmów szaleństwa i zawezwał Ryszarda, żeby teraz użył doświadczonego swego na Hortensyą wpływu i udał się z nim do jej pokojów. Ale jakże się zdziwił, gdy Ryszard oświadczył, że choroba Hortensyi przeszła od wczoraj w nowe a takie stadium, iż ukazanie się jego jej oczom pogorszyłoby tylko mogło stan niebezpieczny. Dla tego radził, żeby ją dopóty pozostawić w samotności, dopóki z niej sama wyjść nie będzie chciała, a że chęć taka odezwie się w niej może dopiero za kilka dni, zamierzał przeto Ryszard załatwić przez ten czas niektóre swoje interesa, wymagające obecności jego gdzieindziej i oświadczył ojcu, że będzie musiał dom jego na kilka dni dziś jeszcze opuścić.

Zdziwił się i temu zamiarowi dziad mój, tém bardziej, że w występowaniu jego dzisiejszém, wbrew zwykłej mu pewnością, śmiałości, a czasem nawet aż arrogancyi, zdradzał się pierwszy raz pewien ambaras, trwożliwość i pewne pomieszanie. Gdy jednak prawa nie miał wstrzymywać, ani woli jego krępować, pożegnał przeto odjeżdżającego nadzieją, że za kilka dni znów go w swym domu powita; względem Hortensyi wół zagniewany na jej dziwaczność, wół spowodowany radą Ryszarda, zachował się na pozór zupełnie obojętnie i przez kilka dni wcale o nią nie spytał.

Czwartego dopiero, czy piątego dnia, kiedy zamyślony siedział w swym pokoju, weszła do niego Hortensya, ubrana w grubą żalobę, przybliżyła się do jego krzesła powolnym, uroczystym krokiem, uklękła przed nim i rzekła drżącym głosem: „Ojczy drogi, Stanisław — mąż mój, nie żyje; na polu sławy poległ śmiercią walecznych; przed tobą klęczy nieutulona w żalu po nim wdowa!“

Dziad wziął te słowa za oczywisty dowód obłąkania, lecz nie chcąc tego nieszczęśliwej jawnie pokazać, odpowiedział: „„Uspokój się moje dziecko! Wszak wiesz, że Stanisław żyje i że wnet do nas powróci!““

Ciężko westchnęła Hortensya, a tuląc przez kilka chwil głowę na kolanach ojca, podniosła ją potem z wolna i rzekła na pozór spokojnie: „Tobie, Kochany ojczy, powiedzieć wszy-

stko muszę, jak było, ażebyś przynajmniej ty wiedział i uznał we mnie wdowę Stanisława. Słuchaj więc! Przed tygodniem może blisko, siedziałam razu jednego pod wieczór, kiedy zmrok pierwszy zapadał, w ogrodowym naszym od strony wschodniej pawilonie. Wszystkie moje myśli zwrócone były w utęśnieniu za Stanisławem, do którego dusza się moja z ciała wyrywała, aż nagle uczułam, że mi się oczy mimowolnie zamykają i że zapadam w ów stan nadzwyczajny, którego snem nazwać nie można, lecz raczej sennem na jawie marzeniem. Wnet też usłyszałam szum jakiś naokoło siebie, potem głosy dzikie, krzyk i wołanie, nareszcie wyraźny szczełk broni, tętent kopyt końskich i wystrzał jeden po drugim. Zerwałam się przerażona, chciałam uciekać, aż oto u nóg moich klęczy on sam, Stanisław, mój najmilszy! Upadłam w jego objęcia. „Bogu najwyższemu niech będzie chwała, zawołał, tuląc mnie do serca, tyś moja, tyś moja!“ Potem nie wiem, co działo się ze mną; tylko Stanisław mówił, że zaraz po ślubie upadłam zemdłona i dopiero też teraz przypominałam sobie i księdza Serafina, i polową kaplicę i ślub, którym mnie w niej na wieki ze Stanisławem połączył, i tę oto ślubną obrączkę, którą mi wtedy, błogosławiąc, włożył na palec.“ To mówiąc, pokazała Hortensya zdumionemu ojcu, istotnie ślubną na palcu obrączkę, jakiej dotąd nigdy był u niej nie widział; a potem mówiła dalej: „Wszystko to przypominałam sobie od razu, a wtedy... Ojciec najmilszy, wypowiedzieć nie zdołam, jak byłam szczęśliwą! Wypowiedzieć tego nie zdołam! Upoiło mnie szczęście! Straciłam zmysły w zachwyceniu! Ależ przebóg, jak okropne było a prędkie z niego przebudzenie! Bitwa, co ucichła na chwilę, znów teraz zawrzała z wściekłością. Otwieram oczy, szukam około siebie Stanisława i widzę, o zgrozo! widzę w tej chwili jak obskoczony przez licznych nieprzyjaciół, broni się mężnie, powala z nich kilku o ziemię, ale nareszcie sam pada, kilku strzałami przeszyty!“

I to, gdy powiedziała Hortensya, jakby złamana zbyt-kiem boleści, opadła przy krzyśle bez zmysłów na posadzkę. Prerażony ojciec chciał po ratunek pospieszyć i przywołać pomocy, ale nim do drzwi dojsz zdążył, Hortensya sama powstała i głosem uroczystym z zadziwiającą rzekła spokojno-

ścia: „Niech się wola Najwyższego dzieje! Nie mnie przystoi przeciw niej sarkać, skarżyć się i biadać. Zostałam wdową, ale zaprzysiężonych ślubów i wierności dochowam mężowi memu do śmierci, i nigdy już tej sukni żalobnej nie złożę!“

Słyszając to wszystko biedny ojciec, cóż miał pomyśleć? Oto wpadł na bardo naturalne przypuszczenie, że dłuższy czas w obec Ryszarda powstrzymywane i tajone szaleństwo Hortensyi, tém za to gwałtowniejszym wybuchem objawiło się teraz i ostatnią tamę rozsądku może na zawsze zerwało. Z politowaniem więc spojrział na córkę, a nie chcąc niewczesnymi perswazyami pogorszać nieszczęśliwego jęj stanu, udawał niby, że wierzy i w historją jęj ślubu, i w śmierć bohaterską Stanisława. Udawał to przez kilka pierwszych dni i pocieszał mniemaną wdowę Stanisława; ale też nareszcie zaczął coś napomykać i o urojonych przywidzeniach, o wizjach, fantazmagoryach, złudzeniach. Wtedy Hortensya uśmiechała się żałośnie, i nic nie odpowiadając, całowała w milczeniu ślubną ową obrączkę, którą ksiądz Serafin zaślubić ją był miał z Stanisławem, a której widok na palcu Hortensyi samego ojca w takich chwilach dekoncertował. Nie wiedział, co o tém sądzić. Ale że tysiąc było sposobów, jakimi Hortensya przyjść była mogła do tej obrączki na drodze bardzo naturalnej, nie troszczył się przeto o nią zbyt. Więcej niepokoić zaczął go fizyczny stan zdrowia Hortensyi, która się czasami skarżyła na dziwne słabości, jakich nigdy dotąd nie doznawała, a z których sama sobie nie umiała zdać sprawy, tak szczególniejsze rodziły w niej uczucia.

Okolo tego jakoś czasu przyjechał do domu dziada książę z żoną, która była rodzoną siostrą męj babki, a matki Hortensyi, zmarłej jeszcze za jęj pierwszego dzieciństwa, o czém ci podobno dotąd jeszcze nie wspomniałem, a co wiedzieć należy, chcąc zrozumieć stosunek księżny do Hortensyi. U niej ona się chowała, i przywykła uważać w księżnie drugą matkę, którą też księżna rzeczywiście być umiała, tyle dla osieroconej okazywała czulej i prawdziwie macierzyńskiej troskliwości. To też zaledwie po pierwszém przywitaniu postrzegła zmianę i bladeść nienaturalną na jęj twarzy, zaczęła niespokojnie wypytywać ją o zdrowie, a poprzednio już

przez ojca zawiadomiona o dziwaczném Hortensyi urojeniu i osobliwszego rodzaju fiksacyi, mniej zwracała uwagi na jej naiwne opowiadanie całego w pawilonie zdarzenia, ale tém pilniej słuchała tego, co Hortensya mówiła o fizycznym stanie swego zdrowia, którego diagnoza tak dalece uderzyła księżnę, za zatrzymawszy się naumyślnie przez niejaki czas w domu dziadka, pilnie i uważnie obserwowała wszystkie symptomata tej nowej słabości i coraz więcej niepokoila się niemi, im widoczniej po jakimś czasie Hortensya nietylko do dawniejszego powracała zdrowia, ale nawet lepiej niż kiedykolwiek zaczęła wyglądać. Rumieniec żywszy powracał jej na lica; oczy, ostatniemi czasy przygasłe, nowém życiem i blaskiem zajaśniały; formy niknącego na niej ciała poczęły się wypełniać i zaokrąglać; jednym słowem, Hortensya zakwitła na nowo! A jednak księżna zdawała się mieć ją za słabszą, niż dawniej i większą otaczała ją troskliwością. Nie mógł tej troskliwości, ani ojciec, ani książę wyrozumieć i obadwaj kłopotali się jedynie chorobliwym stanem jej umysłu, w którym Hortensya uważała się ciągle istotną wdową po Stanisławie. „Bóg tylko wie, co to z tego będzie, mówił książę; jej obłąkanie i pomięszanie zdaje się nie do uleczenia, skoro ustąpić nie chce powracającemu jej zdrowiu i siłom fizycznym.“ „„Otóż to jest, czego i ja się obawiam, odpowiadał ojciec. Bo i ja znajduję, że Hortensya nigdy tak zdrową, jak teraz, nie była. I dla tego też nie wiem, dodał, zwracając się do księżny, czy dobrze jest obchodzić się z nią i pieścić, jakby rzeczywiście była słabą.““ Dotknięta tą uwagą księżna, utkwiała wzrok swój w oku mówiącego i rzekła: „To prawda! Hortensya nie jest słabą, jest nawet zdrowszą, niż kiedykolwiek; ale gdyby to zupełnem niepodobieństwem nie było, gotowabym myśleć, że jest przy nadziei.“ To powiedziawszy wstała i wyszła z pokoju.

Jak gromem rażeni, ojciec i książę w nieruchomej postawie i w osłupiałem patrzali na się milczeniu. Pierwszy przerwał je książę i rzekł: „Ależ bo żona moja dziwne ma czasem pomysły!“ „„Dziwne i niekoniecznie! odpowiedział ojciec, bo jeśli mam prawdę powiedzieć, to wczoraj, kiedy Hortensya chodziła przedemną w ogrodzie, a ja na kibić jej i postać patrzałem, przyszła mi taka sama o niej myśl do

głowy. Dzisiejsza więc księżny uwaga, zaczyna mnie istotnie niepokoić!“ „I tu na chwilę znów obadwaj zamilkli i przeszli się każdy w inną stronę kilka razy po pokoju. Pierwszy odezwał się znów książę: „Kiedy tak, to trzeba sprowadzić doktora, niech on rozstrzyga!“ I znowu zamilkli, i znowu przechodzili się każdy w inną stronę, mileząc, po pokoju i rozeszli się wreszcie, nic nie postanowiwszy. Tak kilka dni w niepewności minęło. Stan Hortensyi stawał się z każdą chwilą wyraźniejszy i przestał już nieomal być wątpliwym; chciano się jednak o nim z ust umiejętnego znawcy lekarza przeświadczyć i sprowadzić go zamierzono, kiedy księżna sprzeciwiła się temu stanowczo, robiąc słuszną i przezorną uwagę, że nie ma jeszcze konieczności oddawać się w tym przypadku na łaskę czyjejkolwiek dyskrecyi, skoro lekarskiej pomocy popotrzebować będzie Hortensya pewnie dopiero za 5 miesięcy.“

„Jakiej pomocy?“ krzyknął przerażony ojciec, jak gdyby pierwszy raz zrobiono przed nim fatalne o stanie córki odkrycie. „„Nie ma co taić przed sobą, odpowiedziała księżna, bo wątpliwości już nie ulega żadnej, że Hortensya jest przy nadziei.““ „Wątpliwości to już nie ulega żadnej! zawołał znowu ojciec. I któż jest sprawcą jój hańby?“ „Na to odpowiedzieć nie umiem, rzekła księżna, bo albo Hortensya najszkaradniejszą w świecie i bezwstydną jest hypokrytką, albo przypadek jój w pawilonie nieodgadniona okrywa tajemnica.“

Ta pewność, z jaką księżna teraz o stanie Hortensyi mówiła, tak przerażyła ojca, jak gdyby dotąd niedowierzał był własnym podejrzeniom i oczom. Długi czas słowa przemówić nie mógł; a potem gniewem wybuchnął i zaklinał księżnę, żeby bądź co bądź, choćby to życiem Hortensya przyplacić miała, wydobyć starała się z niej całą tajemnicę i nazwisko uwodziciela. Księżna nie traciła nadziei, że dokazać tego potrafi, bo Hortensya nie domyślała się jeszcze, iż już o stanie jój wiedziano; obiecywała sobie przeto księżna od chwili, gdy jój to wręcz powie, że wtedy spadnie z niej maska obłudy, jeżeli jest hipokrytką, lub okaże się niewinność, jeżeli jest niewinną. Tego samego przeto jeszcze dnia udała się wieczorem do pokoju Hortensyi, a wzrok w niej utopiwszy badawczy, wzięła ją za rękę i rzekła bez ogródki: „Kochanko, ty jesteś

przy nadziei!“ Wtedy Hortensya rzuciła się na szyję ciotki, twarz jej rozpromieniła się blaskiem wewnętrznego szczęścia, oczy w zachwyceniu podniosła do góry i zawołała: „„Ach! ciciu, najdroższa ciciu, toć i ja to czuję i wiem, i jestem szczęśliwszą nad wszelkie pojęcie! Bóg na mnie łaskaw, moja ciciu! Męża straciłam prawie w chwili połączenia, ale mi po nim pozostanie zakład naszej miłości i naszego związku, w którym mieć będę pamiątkę, a może żywy obraz straconego Stanisława!““

Księżnie zdawało się, że zmysły traci z zadziwienia! Prostota, naturalność, z jaką mówiła Hortensya, wyraz zachwycenia w jej twarzy, akcent przekonania w głosie, wszystko to nie dozwalało podejrzewać jej o wyrafinowane udanie; a jednak szaleństwem byłoby z drugiej strony wiarę dać temu, co mówiła. Ostatnie to przeświadczenie odezwało się najgłośniej w sumieniu księżnej; odepchnęła więc z lekka od siebie Hortensyą i rzekła z indygnacją: „Bezwstydna! Czy i we mnie wmówićbyś chciała, że przez sen matką się staniesz, a dom nasz hańbą okryjesz? Czyż i we mnie wmówićbyś chciała, że żoną jesteś Stanisława?““

Łzami zalała się Hortensya. „„Jakto ciciu i matko moja, zawołała z rozpaczą, więc i ty temu nie wierzysz, i ty nie wierzysz, że mnie z nim śluby kościelne na wieki połączyły? Więc i ty masz mnie za waryatkę! A cóż pierścionek ten, czy za nic uważasz? Lecz na co mi pierścionka, dodała po chwili, na co mi pierścionka, kiedy ty znasz przecie stan mój obecny! Czyż mogłabym znajdować się w nim, gdybym nie była żoną Stanisława?““

To naiwne zapytanie, w większe jeszcze wprawiło księżnę zdumienie, bo świadczyło najwymowniej, że w duszy Hortensyi cienia nawet nie było popełnionej jakiegóś zdrożności, lub grzechu. Nie domyślała ona się nawet alluzji, wymierzonej na nią w tym słowie: „*bezwstydna!*“ Rzucając się tedy do nóg przybranćj matki, i cała łzami zalana, całując jej ręce, zaklinała ją goręciami słowy, żeby nareszcie teraz, kiedy przecie zna już i stan jej, i taki wymowny posiada w nim dowód zawartego ze Stanisławem małżeństwa, przestała o nióm wątpić i ulitowała się raczej nad nieszczęśliwą jego wdową.

Patrząc na nią, i słuchając tych zakłębiedna księżna

sama nareszcie nie wiedziała, co o tej całej rzeczy ma sądzić, a gdy jej następne jeszcze usiłowania nie zdołały ani Hortensyi w przekonaniu jej zachwiać, ani odkryć śladu, po którym tajemnica jej brzemienności objaśnić dałaby się w sposób naturalny, poczęła nareszcie skłaniać się do uwierzenia w nadnaturalny jej powód, i z udzieleniem tego przypuszczenia powróciła do pokoju mężczyzn.

Tu kiedy weszła, spotkał ją zaraz na wstępie nowy kłopot. Brat bowiem Hortensyi, a ojciec mój nieboszczyk, o kilka lat starszy od siostry, po kilkumiesięcznej w domu niebytności, pod czas której to za granicą wojażował, to niejaki czas bawił w innej części kraju, gdzie konkurował o córkę zamożnego i znakomitego domu, powrócił teraz niespodzianie i wszedł do pokoju ojca pod czas, gdy księżna u Hortensyi siedziała.

Na jego widok zmięszała się z razu, bo nie wiedziała, czy w jego przytomności mówić jej wypada o tak delikatnej materii. Wyprowadził ją z tego ambarasu sam przybyły, zapytując porywczo, czy wierzyć ma temu, co od ojca i księcia słyszał o Hortensyi; a kiedy mu księżna fatalną wiadomość o brzemienności siostry powtórzyła, schwycił się oburącz za głowę i włosy sobie targać począł. Był to jednakże wybuch, nietylko spowodowany przez uczucie spadającej na rodzinę jego hańby, jak raczej przez wyrachowane, a w interesie osobistym zagrożone samolubstwo, co się w gwałtownych przeciwko siostrze objawiło wyrzutach, że ona drogę mu do szczęścia zagrozi, bo przyczyną będzie zerwania się zamierzonego, a korzystnego mariażu, który niezawodnie do skutku nie przyjdzie, jeżeli hańba Hortensyi rozgłosi się przed światem, boć żaden dom uczciwy nie będzie chciał zawrzeć kolligacyi z rodziną tak shańbioną. Bezwstyduść zatém lekkomyślniej i występnej siostry, nietylko jak czarna plama spadnie na wszystkich jej członków, ale mścić się będzie i w późniejszych jeszcze pokoleniach.

Silne były, ale po części słuszne i sprawiedliwe wyrzuty, a obudziły długo tajony i w głębi serca tłumiony gniew staro-ojca. Wybuchnął nim teraz z tą gwałtownością, która dawniejszą generacją szlachty polskiej cechowała. Napróżno starała się ułagodzić ją księżna; napróżno zapewniała, że Hortensya nie udaje, że w sumieniu swoim najsilniej przekonana

jest o prawdziwości tego, co opowiada; a kiedy nareszcie do oburzonych na taką hipokryzyą bezwstydną, powiedziała, że są na tym świecie tajemnice, których materyaliści grubemi zmysłami pojąć nigdy nie zdołają; że wspólne działanie myśli, uczuć i wyobraźni dwojga ludzi może wydać skutki realne; że takim zapewne skutkiem takiego działania jest i dzisiejszy stan Hortensyi, spowodowany jedynie przez czysto duchowe połączenie się jój z duchem Stanisława; gdy to z niejaką powiedziała emfazą, książę bardzo niegrzecznie głośnym parschnął śmiechem, rozsierdzony dziad mój, nie rozśmiał się wprawdzie w głos, ale komicznie jakoś mruknął dwa razy: „facecye, Mości Dobrodzieju, facecye!“ i wąsa zamaszysto pokręcił, a ojciec gniewem i popędliwością krwi uniesiony, porwał się z miejsca: „a choćby to duch był i z piekła, zawołał zapalczywie, poznać go muszę,“ i wybiegł szybko z pokoju. Chciała zatrzymać go księżna, lecz było już za późno; w dwóch skokach dopadł mieszkania Hortensyi i drzwi na klucz zamknął za sobą. Wystraszona i pomięszana wróciła do pokoju księżna i zaklinała dziada, żeby powagą ojcowską zapobiedz pospieszyl nieszczęściu, jakie brat zapalczywy gotów był siostrze może niewinną wyrządzić; ale z granic umiarkowania raz wystąpiwszy, nie mógł się starzec tak prędko w uniesieniu swém pohamować, i przechadzając się żwawym po komnacie krokiem: „„Niewinną siostrze, niewinną!““ mruczał opryskliwie; „„czy może, Mościa Dobrodziko, z ducha Sgo poczęła? Pfe, to bluźnierstwo! A chłopiec ma racya, że się chce prawdy dowiedzieć. Mistyfikacyi i babskich sentymentów było dosyć! Teraz czas pomyśleć, pogadać i poradzić na *serio*! Albo może czekać tak dłużej niedbale, aż sekret nasz i wstyd chodźć sam zacznie po świecie i hańbę naszą okrzykiwać? Ma racya pan Józef, (tak bowiem imie było memu ojcu, wsunął nawiasem pan Hilary) ma racya pan Józef, że do tego dopuścić nie można. Wywieść ją trzeba, wywieść nie tylko z domu, ale nawet daleko z kraju, i to natychmiast, Mości Dobrodzieju, czénu prędzéj!““

I tu obrócił się, jak gdyby po aprobacyą, do księżny, która dzielając zupełnie taki sam zamiar, nie chciała uznać potrzeby nazbyt nagłego pospiechu. Zaczęto szeroko o tém rozmawiać, i układano plan podróży i przebiegano różne miej-

sca, do ukrycia Hortensyi najspodobniejsza, kiedy powrócił i do pokoju wszedł pan Józef. Twarz miał nieprzygaszonym jeszcze gniewem zapaloną, zaiskrzone oczy, ale znać było po tych oczach i twarzy, że cierpiał wewnętrznie i że boleść ta serca gniew jego hamowała. „To waryatka, odrzekł na pierwsze zapytanie ojca, czysta waryatka, i może więcej nieszczęśliwa i politowania godna, niż winna! Dogadać się z nią jednakże nie można, bo zawsze i ciągle to samo powtarza, że jest wdową po Stanisławie, że z nim ślub brała w polowej jakiejś kaplicy, i tym podobne dziwactwa! Ale i to wreszcie rzecz mniejszej wagi na teraz! Daleko ważniejsze jest, co sam widziałem, co niezadługo świat cały ujrzy i zobaczy, jeżeli państwo nie pomyślicie o ukryciu przed nim jęj występku, a wstydu i hańby naszój!“

Znów więc wszczęła się sekretna, familijna narada o wywiezieniu Hortensyi, które księżna w ten sposób bez obudzenia podejrzeń ofiarowała się skutecznie, że sama puścić się chciała w dalszą za granicę podróż, a Hortensyą wzięść niby dla towarzystwa z sobą, rzeczywiście zaś zawieść ją miała do jakiegoś odludnego zakątka Europy, n. p. do jakiejś mieściny, o którąby Polak albo zgoła nigdy, albo przynajmniej rzadko kiedy o nią zawadzał; i tam z nią pozostać, dopóki czas niebezpieczeństwa nie minął, powód ukrycia nie ustał, a nie nadeszła pora, w którejby znów mogła śmiało do kraju z nią powrócić.

Radzono o tém i o wyborze tej mieściny.

Ojciec mój przez długi czas milczał, w głębokim zatopiony rozmyślaniu, nareszcie odezwał się z niektórymi uwagami, podkopującemi plan księżny. Jego zdaniem albowiem, trudno byłoby przypuścić, ażeby księżna polska, dama i urodzeniem, i pięknoscią i majątkiem znakomita, mieszkać i ukrywać mogła się przez dłuższy czas w małej jakiej mieścinie, bez zwrócenia na siebie uwagi ciekawych i obudzenia podejrzeń. Takie ukrycie, byłoby najlepszym sposobem wyklucia i wyprowadzenia na świat tajemnicy, o której zachowanie chodzi, zwłaszcza przy dzisiejszych szybkich i nieuchronnych między najodleglejszymi krajami komunikacyach przez pisma publiczne; miałoby zaś takie wywiezienie i ukrycie Hortensyi całkiem przeciwny zamierzonemu skutek; bo hańba rodzinna nie-

tylkoby się na języki plotkarskie pewnej okolicy dostała, aleby może świat cały obiegła, a figurowała w pismach, czarne na białem *wraz z nazwiskiem księżny wydrukowana* i na wieczne czasy całej przekazana potomności.

Ta ostatnia uwaga trafiła w najslabszą stronę starego szlachcica polskiego. Imię i nazwisko były dla niego świętością, druk zaś i książka powagą. Lękał się ich jak ognia, a przypuszczenia plamy na nazwisku znieść nie mógł! Porwał się przeto z krzesła dziad mój, a kładąc rękę na rękojęści korda, jak zwykł był robić, kiedy chciał pokazać, że nie żartuje, zawołał: „Na to ja nigdy nie zezwolę, i zniosę raczej śmierć bezwstydną córki, jak hańbę rodziny!“

Ojciec mój dedukował dalej wymownie i jasno, że przyjmując nawet to, czego przyjąć na żaden sposób nie można, iż tajemnica Hortensyi dałaby się przy projekcie księżnej zachować, to któż zaręczy, czy obłąkana dziś Hortensya, pozbywszy się za granicą dowodu swojej lekkomyślności, pozbędzie się zarazem i obłąkania i zdrowa na umyśle powróci do kraju; czy powróciwszy, nie będzie tak jak dziś, otwarcie i bezwstydnie opowiadać, że jest wdową po Stanisławie i matką jego pogrobowca; czy nie będzie krzyczeć w niebogłose, że jej wydarto własne dziecko, jedyny zakład miłości i związku ze Stanisławem? Któż zaręczy, że wtedy sama nie wyjawi światu domu całego hańby?

Nastało długie milczenie, wywołane uwagami mego ojca, którym pewnej trafności nie było można odmówić, choć ich nie dyktowało serce brata, lecz raczej samolubny interes egoisty. Przerwał je po niejakięj chwili dziad mój i zakonkludował, że księżna nie może, bez narażenia całej tajemnicy na szwank, pozostać z Hortensyą przez kilka miesięcy za granicą, że raczej ją samą trzeba gdzieś ukryć tak dobrze, aby przypadkiem nawet poznaną być nie mogła i pod tak ścisłym dozorem, aby powrócić nie potrafiła bez woli familii do kraju. „Jednem słowem, kończył z okrutną, twardą i nielitościwą konsekwencyą, Hortensya uchodzić powinna w oczach świata za umarłą, umarłą w podróży, daleko gdzieś za granicą! Chodzi tylko o to, jak tę całą rzecz mądrze ułożyć i wykonać? Poradźcie!“

„Ja sama poradzę!“ odezwał się głos odedrzwi z cie-

mnego kąta pokoju, i ukazała się teraz dopiero Hortensya, która niepostrzeżona wszedłszy na początku całej téj rozmowy do komnaty, aż do końca niemym była jój świadkiem; a powiedziawszy te trzy wyrazy, szybko się ku drzwiom zwróciła. Przerażona księżna krzyknęła i znów nie zdążyła zatrzymać uchodzącej, która z pośpiechem do swego wbiegła pokoju. Pozostali patrzeli na się i milczeli zawstydzeni. Tylko księżna głośno wyrzekała i wyrzucała mężczyznom ich niedyskrecyą, niedelikatność i niewzględność na stan Hortensyi, wymagający pobłażania. Przyznał jój słuszność w téj mierze poczciwy i dobry w gruncie serca dziad mój, żałował swój porywczoci, nad którą uczucie ojcowskiej ku córce miłości górę już brać zaczynało; byłby więc może z innym, nie tak okrutnym względem nieszczęśliwej odezwał się projektem, kiedy nagle drzwi się otworzyły i weszła Hortensya ze spuszczoną na twarz czarną, krepową zasłoną; zbliżyła się do stołu, za którym wszyscy siedzieli, stanęła naprzeciw ojcu i dobitnym, podniesionym nieco a stanowczym głosem te powiedziała słowa: „Chcesz ojcze, żebym umarła! Woli twojej wypełnić nie mogę, bo dziś nie swoim tylko życiem rozporządzam. Ale bądź ojcze spokojny — i ty, życzliwy bracie, Józefie! Bądźcie obadwaj spokojni! Nie spadnie na was ze mnie żadna plama. Potrafię zginać i ukryć się w świecie obcym; a choćby mnie tam kiedy z dawnych znajomych kto zobaczył, że nie pozna, przysięgam!“

To powiedziawszy, odrzuciła w tył zasłonę. Wszyscy przytomni krzyknęli przeraźliwie! Księżna twarz w dłonie ukryła, obsunęła się z krzesła i padła zemdlona na posadzkę. Hortensya okropny przedstawiała widok. Twarz jój cudownie piękna i zachwycająca urokiem, a blaskiem zdumiewająca — wyglądała teraz jak jedna, wielka, ognista i czarna zarazem rana!

Witryolu to substancya palna i zjadliwa wryła na niej okropne to piętno niezatartego nigdy kalectwa. Hortensya sama je sobie i dobrowolnie zadała!

Jak głowa Meduzy unieruchomiła i zbezwładniła przerażeniem tych, co na nią patrzali. Żaden słowa nie mógł przemówić, żaden się z miejsca nie ruszył i ani na ratunek zemdlonej księżny pospieszył, ani śmiał zatrzymać Hortensyę,

która z wolna czarną zasłonę na twarz zaciągnęła i słowa więcej nie przemówiwszy, wyszła z pokoju. Oni jeszcze milczeli, i wszyscy trzej oczy obrócone mieli na drzwi, któremi wyszła Hortensya. Księżna sama ocuciła się z omdlenia i do przytomności wróciwszy, a przecierając czoło, zapytała: „Co to było?” Te słowa i mężczyznom przytomność i mowę dopiero przywróciły. Nie będę opisywał sceny, jaka teraz nastąpiła. Łatwo ją sobie wystawisz!

Najwięcej przytomności umysłu podczas niej okazał jeszcze mój ojciec, który pierwszy zwrócił uwagę, że teraz już żartować nie można, i na *serio* tajemny Hortensyi wyjazd z domu stanowczo trzeba zdecydować, a jak najprędzej uskutecznić. Wszyscy się na to zgodzili i znów radzić zaczęli o podróż, którą mój ojciec rozpocząć rozkazał téj samej jeszcze nocy, co się tém łatwiej dawało wykonać, gdy księżna, przewidując prędzej czy później konieczność takiego wyjazdu, porobiła do niego powoli wszystkie przygotowania, a książę od kilku już dni sprowadził na jęj przedstawienie potrzebne dla niej i dla Hortensyi papiery z Warszawy. Nic więc nie stało na przeszkodzie natychmiastowemu w podróż wyruszeniu, kiedy księżna, instynktem serca niewieściego wiedziona, który tak rzadko zawodzi, zapytała ojca Hortensyi, czy pomyślał o jęj materyalnej *za granicą egzystencji*, i dodała słusznie, że Hortensya żyć jeszcze może bardzo długo, a do żywienia będzie miała prócz siebie, jeszcze i biedną istotę, której matką stanie się wkrótce. Niepodobna wypędzić jęj z domu o jednę koszulę i puścić w świat o żebranym chlebie do obcych.

Tego nie zrobię, mościa księżno! odpowiedział surowy, ale prawego charakteru i szlachetnego serca dziad mój, kiedy mu życie dał, dziecka własnego nie umorzę, chociażby było niedobre. U obcych po jałmużnę krew moja ręki nie wyciągnie! Pomyślałem już dziś o tem. Hortensya kawał fortuny swojej w gotowiznie odbierze, a ten wystarczy na życie dla niej i dla bękarta, byle pod obcém imieniem i od domu daleko! Ale czasu nie traćmy! Wszak i tak jeszcze kilka dni minie, zanim ten interes na czysto się ułoży, Hortensyę tym czasem w <http://rebin.org.pl> i strzedz, jak oka w głowie!“

Tu zadzwonił. Wszedł służący: „Niech kozak Hrymko, dysponował mu dziadek, przygotowuje się w daleką drogę. Dziś jeszcze, najdalej za godzinę, wyjedzie.“ Potem wstał, poszedł do kantorka, papier wydobyl i pióro, i zaczął list jakiś pisać. Księżna tymczasem pobiegła do pokoju Hortensyi. Znalazła ją leżącą na kanapie w całym ubraniu, z czarną, krepową na twarzy zasłoną. Nie odezwała się na jej wołanie. Tylko siedząca w kącie i cicho płacząca, a nadzwyczaj do Hortensyi przywiązana służąca Kasia, powiedziała księżnej, że pani jej żyje, bo z cicha czasami zajęczy, ale mówić nic nie chce. Z tą wiadomością wróciła stroskana do dziadka, który właśnie pisanie skończywszy, kazał przywołać sobie Hrymka, oddawał mu list napisany i mówił: „Do Warszawy, za końcem języka, a żwawo i bez długich popasów, żeby pojutrze rano tam stanąć!“ Potem obrócił mowę do mego ojca: „Asan, panie Józefie, wyjedziesz jutro od południa także do Warszawy i będziesz deptał bankierowi na pięty, żeby co prędzej interes załatwił i na twoje ręce złożył żadaną kwotę, którą mi tutaj sam przywieziesz. Będzie dość znaczna; trza się w drodze pilnować i od przypadku trzymać zawdy blisko przy powózce Hrymka!“ To powiedziawszy, oddalił się do swojej sypialni. Za nim rozeszli się i inni téj smutnej sceny familijnej widzowie i aktorzy. Księżna udała się znów do Hortensyi, i całą prawie noc przy boku jej przepędziła, starając się chwilowe jej jęki i łkania ukoić słodkimi perswazyami współczucia, na które jednak nieszczęśliwa nic nie odpowiadała.

Następny i trzeci dzień minęły w domu niewesoło! — Czwartego wrócił nad wszelkie spodziewanie Hrymko i przywiózł dziadkowi list, w którym mu ojciec mój donosił, że wskazany mu bankier, który od wielu lat był bankierem i to nader usłużnym we wszystkich interesach pieniężnych bankierem dziada, przyczém niemałe zapewne miał zyski, tą razą robił jakieś trudności w wypłacie żadanej summy, która zbyt była wielką, żeby ją od razu wytrząść mógł jak z rękawa; robił jednak propozycyą, a ojciec ją mój aprobował, że od żadanej kwoty składać będzie corocznie na jego ręce umówioną prowizyą, którą z kolei zwracaną, albo skapitalizowaną i na całym zapewnioną w parę lat chce mieć majątku.

Oburzył się na tę propozycyą pan, do pieniężnych spe-

kulacyi nieprzywykły: „Szachrajstwo, Mości Dobrodzieju!“ zawołał, wąsa pokręciwszy i kazał zaprzęgać. Tego jeszcze dnia sam do Warszawy wyjechał, księżnie baczną i ostrożność największą względem Hortensyi zaleciwszy. Pilnowała jej téż przez dni cztery bez przerwy i zakomunikowała jej w najłagodniejszej formie cały plan familii, co do wywiezienia za granicę. Słuchała go Hortensya spokojnie i najmniejszego nie okazywała wzruszenia ani smutku. Odzywała się zaś do ciotki wtedy tylko, kiedy prosiła, żeby ją na chwilę sam na sam zostawić raczyła z Kasią, do której wiele okazywała zaufania; ale co wtedy z nią robiła, lub mówiła, nikomu nie wiadomo. Z domowników nikogo samotne to Hortensyi zamknięcie i odosobnienie nie uderzało, bo wszyscy już do dziwactw jej byli przyzwyczajeni. Bez obudzenia więc czyichkolwiek podejrzeń lub jakichkolwiek domysłów, minęły spokojnie od wyjazdu dziada dni cztery. Piątego powrócił i zaraz poprosić kazał do salonu księżnę, a kiedy weszła, oznajmił jej ku niemałemu zadziwieniu, że w pierwotnym planie wywiezienia Hortensyi zaszła pewna zmiana o tyle, iż w niej dostojna osoba księżnej ani fatygowaną, ani kompromitowaną nie będzie. Znalazł się albowiem człowiek zacny, co ją w téj mierze zastąpi z zupełną dla bezpieczeństwa familii gwarancją, a z pewnością dla zabezpieczenia losu Hortensyi rękojmnią, niżby ją w obcym kraju dać mogła i najmocniejsza kobieta. Tym człowiekiem był sam bankier. Znał go dziad mój od dawna i o uczciwości jego tak mocno był przekonany, że pod przysięgą dochowania wiecznej tajemnicy, powierzył mu sekret familijny, i znalazł w nim nietylko mądrego doradcę, ale i czynnego pomocnika. Bankier albowiem pochodził z Niemiec; znał je w szerz i w dłuż doskonale, znał okolice i miasta, o które obcy podróżny rzadko, Polak zaś nigdy prawie nie zawadzał; tam Hortensyą odwieść nietylko radził, ale sam odwieść i bezpiecznie umieścić ofiarował się tém chętniej, że zamierzał właśnie w tym czasie wyjechać do Niemiec dla odwiedzenia dalekich krewnych. Nic przeto w oddaleniu się jego nie będzie podejrzanego, bo już i tak przygotowania do podróży porobił. Po drodze zabierze Hortensyą, którą księżna podwieść miała do pierwszego miasta za granicą, gdzie bankier czekać już będzie na nią od pojutrze i podwiezioną pod swoją weźmie

opiekę i na swoją odpowiedzialność radzić nadal o niej będzie. „A pieniądze i fundusz?” zapytała księżna. „Są oto w tej skrzynce, odpowiedział zapytany, wskazując na sporą skrzynię, którą w tej chwili wnoszono; Hortensya odbierze część swoją co do grosza; może nią szastać i rozporządzać, jak będzie chciała; lepiejby jednak było, gdyby rozporządziła rozsądnie, a i w tej mierze może jej bankier być użyteczny. Jemu niech do ulokowania kapitał zawierzy, a niech żyje z prowizyi.“

Księżna zamysliła się nieco, a po chwili rzekła: „Nie wiem, czy to bezpiecznie i roztropnie tej samej osobie kapitały Hortensyi powierzyć, której się tajemnicę jej upadku powierzyło! dla czegoż nie chciał uczciwy ten bankier wypłacić od razu żądanej summy na ręce Józefa?” „Nieporozumienie było między nimi, Mościa Księżno!“ odpowiedział dziad mój niechętnie, brwi zmarszczył, a przecinając dalszą w tej materji rozmowę, przypomniał z przyciskiem, że teraz przedewszystkiem myśleć należy o wyjeździe. Tego też jeszcze dnia księżna i Hortensya wyruszyły w podróż. Kasia nie chciała odstąpić swęj pani i choćby na drugi koniec świata gotowa była iść za nią. Ona więc pojechała trzecia.

Bankier wedle umowy czekał na ich przybycie w pierwszym za granicą mieście; odebrał od księżny i pod swoją opiekę wziął Hortensyą i Kasię; przewiózł je do jakiejś małej miejsciny niemieckiej, gdzie na czas choroby umieścił u znajomego sobie pastora, gdzie też Hortensya spokojnie, bezpiecznie i w ukryciu pozostawała, i gdzie po kilku miesiącach urodziła się Krysia.

Nazwisko familijne Hortensyi nietylko umiał zataić, ale z zachowaniem wszystkich form i przepisów prawnych przysposobił i przybrał dla niej przez ten czas niemieckie nazwisko *Rabe*, a śmierć prawdziwej Hortensyi tak dobrze potrafił ułożyć i simulować, że księżna powróciwszy po kilku miesiącach do kraju, przywiozła z sobą zupełne dowody jej nagłego zejścia z tego świata. Powszechnie też przyjęto i uwierzono, że Hortensya gdzieś za granicą w podróży z księżną umarła. Żyła ona tymczasem ukryta rok przeszło w owej niemieckiej miejscinie, po upływie którego przeniósł ją bankier opiekuńczy wraz z Kasią pod przybranem i już utartem nazwiskiem: *Rabe*

do tego tutaj miasta i umieścił w tym oto domeczku, który dla niej zakupił. Kilka lat już przepędziła w nim Hortensya, nieznana nikomu w mieście, na którego ulicach nigdy się śród dnia nie pokazywała. Kasia tylko bieżące codziennego gospodarstwa interesa obrabiała na mieście. Hortensya z małą Krysią żyła i oddychała powietrzem ogrodu. Bankier dostarczał przez te kilka lat potrzebnego na utrzymanie, bardzo małego funduszu. Ale jakkolwiek był mały, uprzykrzyło mu się jednak wykładać go z własnej kieszeni. Trzeba ci albowiem wiedzieć, że w dwa lata po wyjeździe z domu Hortensyi, dziad mój żyć przestał, ojciec się ożenił i objął cały majątek, a od téj zaraz chwili przestał téż i bankier odbierać prowizye od summy, którą dziadowi memu na spłacenie Hortensyi pożyczwszy, zabezpieczył ją sobie na całym majątku. Złożyła wprawdzie Hortensya tę samą summę na ręce tego samego bankiera, który tym czasem przeniósł się do tego tu miasta z Warszawy i stała się tym sposobem jedyną wierzycielką mego ojca. Bankier właściwie nic nie stracił i nic nie pożyczył, bo odebrał od Hortensyi napowrót summę, którą chwilowo złożył był na ręce dziada. Ale gdy ojciec mój procentów mu od niej nie płacił, nie czuł się téż obowiązany dostarczać Hortensyi potrzebnego na utrzymanie funduszu i wyraźnie jęj to oświadczył. Wtedy zaczęły się dla nieszczęśliwej dokuczliwe kłopoty powszedniego żywota o zarobienie kawałka powszedniego chleba dla siebie, dla Krysi, która ślicznie wyrastała i dla Kasi, co w bezprzykładném przywiązaniu poświęciła się całkiem dla pani. Wtedy téż po długich naradach z Kasią i z bankierem, powzięła nareszcie zamiar zarabiania na utrzymanie swoje ubieraniem i układaniem trupów do trumien, gdyż okropne oszpecenie twarzy, dla którego zakrywać musiała się zawsze czarną krepową zasłoną, nie dozwalało jęj wchodzić w żadne ze żyjącymi stosunki. Miała ona z razu myśl oddania się pielęgnowaniu chorych, gdy jednak owa krepowa zasłona i tego nie dopuszczała, musiała od niej odstąpić. Ale od chorych przejście do umarłych było zbyt bliskie i podręczne, żeby na nie wpaść nie była musiała jęj wyobraźnia żywa, a do wszystkiego, co nadzwyczajne, niezwykle, fantastyczne, pochopna. Pochwyciła więc myśl zostania trupiarką z zapalem i rozpoczęła nowy ten zawód z chorobliwem upodobaniem. Pomocną

w wykonywaniu ręcznych i technicznych, do niego przywiązanych robót, była jej głównie Kasia. Bankier zaś był jej znów w innym względzie nader pomocnym. On to ułatwił jej pierwsze wystąpienie. On w pierwszych i znakomitych domach miasta, gdzie pomoc doktorska stała się już zbytęzną, a potrzebną stawała się pomoc trupiarki, rekomendował panią Rabe i wskazywał jej adres. Za jego nareszcie staraniem i zabiegami weszła w modę i uzyskała na całe miasto monopol.

Tym sposobem po kilku latach zarabiała nietylko na utrzymanie swoje, ale nawet potrafiła znacznieszą co rok sumkę oszczędzić i składała ją u bankiera, z czego przez lat 20 tak znaczny urosł kapitał, że Krysia, dla której przeznaczony był na wyprawę i posag, uchodzić była mogła śmiało za jedną z najposażniejszych owego czasu panien na wydaniu. Była to jednak najmniejsza i ostatnia z jej zalet!

Tu pan Hilary, jak gdyby siłą wspomnień porwany, zamilkł znów na chwilę i zamyslił się głęboko. Korzystałem z téj przerwy w jego opowiadaniu, żeby mu zrobić kilka zapytań, zmierzających do wyjaśnienia wielu wątpliwości, jakie się w powieści jego przedstawiały, a zacząłem od najbliższej i rzekłem: „Dla czegoż Hortensya, a raczej pani Rabe, mając z procederu swego nietylko wystarczające utrzymanie, ale już i taki, jak słyszę, znaczny dla Krysi zebrany majątek; dla czegoż proces wytaczała ojcu pana o wypłacenie summy, jaką jej dziad zabezpieczył i groziła nieuchronną ruiną całej rodzinie?“

„Dla czego?“ — odrzekł pan Hilary, zachmurzając się nieco, „dla czego proces wytaczała i chciała naszej ruiny? Powiem ci, skoro ta niedokładność, w mojem opowiadaniu sama cię przez się uderzyła. Ja ją popełniłem rozmyślnie, bo wołałbym na ten ustęp domowej naszej historii rzucić zasłonę niepamięci. Ale gdy sam na nią popadłeś i żądasz objaśnienia, dam ci je o tyle, o ile tego dozwoli obowiązek żyjącego syna względem zgasłego już ojca, którego pogrobowej pamięci należy się synowskie poszanowanie. Zdaje się zaś niestety, jak gdyby ojciec mój w téj całej sprawie majątkowej względem Hortensyi nie był zupełnie bez winy. Twierdził przynajmniej i opowiadał to bankier, że już w Warszawie traktował z nim o to, żeby żądanego kapitału dla Hortensyi nie

wypłacał, lecz zobowiązał się raczej wypłacać należne od tej summy tylko procenta, przyczem od samego początku, zdaniem bankiera, miał już myśl i projekt pozostać po śmierci dziada w posiadaniu kapitału, a prowizyi żadnych nie opłacać; jakoż i od zabezpieczonej a od bankiera pożyczonej summy nie opłacał ich zgoła i rzecz całą puścić chciał z krzywdą nieszczęśliwej siostry w niepamięć.

To odkrycie bankiera oburzyło Hortensyą, która prócz tego rozżalone miała serce do brata za okrutne obejście się z nią i za wypędzenie nieszczęśliwej z domu; czego główną przyczynę i winę jego podburzeniom przypisywała. Chciała więc teraz odwetować poniekąd na nim swą krzywdę i pomścić się tem dotkliwiej, że pomścić chciała się szlachetnie! Miała bowiem zamiar wyzuć prawomocnie okrutnego i chciwego brata z majątku, ażeby mu go potem dobrowolnie zwrócić i tym sposobem upokorzeniem ukarać. To była jej myśl przy rozpoczęciu procesu, a dla wykonania jej i przeprowadzenia, kiedy już wyrok prawomocny przeciw ojcu memu zapadł, chciała się z nim zobaczyć i przez bankiera do przyjazdu wezwać kazała. Sam Pan Bóg zdawał się wspierać ją w tym zamiarze, bo wiesz jak dziwnie, a rzeczby prawie można cudownie rzeczy pokierował, żeby i mnie zbliżyć do trupiarki i ojcu memu przywrócić za pomocą i łaską owęj pokrzywdzonej siostry nietylko cały majątek, ale nawet jedynego we mnie syna.

Taka była zemsta Hortensyi, taka przyczyna twardego na majątkową naszą ruinę nalegania. Masz ją więc, jak sędzę, wytłómaczoną dostatecznie i jasno. Albo też może jeszcze czego w powieści mojej nie rozumiesz, zwracając się do mnie, kończył pan Hilary, może jeszcze wyjaśnień jakich potrzebujesz? Mów!

„Potrzebuję, odpowiedziałem, i wielu i ważnych! Boć proszę pana dobrodzieja, nie raczyłeś dotąd najważniejszej przedemną odkryć tajemnicy i najciekawszej rozwiązać zagadki. Albo też może chcesz, żebym i ja dziś wierzył jak niegdyś wierzyła księżna, że wspólne działanie i połączenie się myśli, uczuć i wyobraźni dwojga ludzi, wydać i zrodzić może skutki realne; że takim skutkiem, a raczej owocem takiego połączenia się w duchu Hortensyi ze Stanisławem, było

też i przyjdzie na świat Krysi. Czy do prawdy pan chcesz, żebym i ja w to wierzył?”

„„Miasto ci dać odpowiedź, rzekł na to pan Hilary, pozwól, że cię nawzajem zapytam, czybyś gotów był wierzyć, gdybym powiedział, że chcę?““

Zastanowiłem się nieco, a po dłuższym namyśle odpowiedziałem: „Nie wiem! Rozum się wprawdzie przypuszczeniu podobnej myśli sprzeciwia; ale rozum nasz tak jest ograniczony, tak niedołączny, tak mało w gruncie pojmuje i rozumie wewnętrzną istotę najprostszych pojawów w naturze, że w tych, które przechodzą zwykłą sferę materyalnego doświadczenia, nietylko za wyrocznią, ale nawet za bezstronnego sędziego ani brany, ani uważany być nie może. Dowody na to najoczywistsze mam przed własnymi oczami i z własnego je czerpać mogę doświadczenia. Jakże bo n. p. tajemniczą brzemienność Hortensyi, tak jak ona ją tłómaczyła, uznawać miałbym za niepodobną, dla tego tylko, że jęj mój rozum nie pojmuje, kiedy ten rozum pojąć nie może ani tak prostego zjawiska, jakie się dziś nieomal wszędzie ze stołami wirującymi powtarza, ani tego n. p. co mnie już dwa razy z owemi książeczkami spotkało. Ale, ale; à propos książeczek, kiedy je tutaj wspomniałem, racz mi też pan powiedzieć, co one właściwie za związek mają z tą całą historią pańską, do której pierwszym stały się pohopem? Dotąd nie widzę żadnego! Byłoby to więc nowa wątpliwość, o której wyjaśnienie dziś jeszcze śmiałybym prosić.“

„„A ja mam, prawdę powiedziawszy, wielką ochotę, żadnego dzisiaj ci nie dać i zostawić cię w niepewności przynajmniej do jutra. Gdy jednak po tém, co o rozumie naszego niedołączności powiedziałeś, obawiać mi się należy, iż przez noc dzisiejszą gotówbyś zostać kompletnym i zapalonym *Mesmerystą*, *Rosenkranzerem*, albo *Lumistą*, obowiązek przeto chrześcijański nakazuje mi dziś już żądane dać ci objaśnienia i stanąć w obronie zagrożonego niebezpieczeństwem rozsądku i upośledzonego rozumu. A ułatwia mi ten obowiązek ta okoliczność, że obiedwie wątpliwości: co do tajemniczego przyjdęcia na świat Krysi, i co do związku książeczek Mesmera z niniejszą historią, postawiłeś bezpośrednio w dwóch obok siebie pytaniach. Na obadwa odpowiem ci zaraz. Posłuchaj!

Hortensya uważała się do ostatniej chwili życia swego za nieszczęśliwą wdowę Stanisława. Mnie samemu niejednokrotnie opowiadała, jak ślub uroczysty brała z nim w połowej kaplicy, jak przez to żoną jego, a następnie matką została jego dziecięcia, którém była Krysia, jak wnet po téj chwili najwyższego szczęścia, Stanisław pod jój oczami poległ w boju. Wierzyła w to wszystko najmocniej do końca życia, a rok rocznie obchodziła pamiątką żalobną dzień zarazem dla niój uroczysty i smutny — dzień ślubu i śmierci Stanisława, o którego dacie tak dobrze pamiętała, jak każda wdowa nieszczęśliwa! Nie podobna było, patrząc na to wszystko, powątpiewać o czystości jój wiary i jój przeświadczeniu. Że jednak Hortensya była kobietą wyższych zdolności umysłowych, które się staranną edukacją silniej jeszcze i wyżej rozwinęły, obejść się przeto nie mogła bez racjonalnego poniekąd wytłómaczenia przed własnym rozumem tego zjawiska, nad którém później zastanowiwszy się sama spokojnie, musiała uznać, że jakkolwiek dla niój bynajmniej niewątpliwe i niepodejrzane, było jednak w porządku rzeczy przyrodzonych samo przez się nie naturalne i nadzwyczajne. Starła się przeto wynaleść sama dla siebie możebne jakieś i prawdopodobne jego tłómaczenie. Aż nadto dostarczał go zawracający w tych czasach głowy ludzkie magnetyzm. Wiedziała o nim Hortensya; a chcąc i teorią tajemniczej o nim nauki i doniosłość skutków, jakie za jego pomocą osiągnięte być mogą, poznać i zbadać grunto-wnie, sprowadzała sobie wszystkie dzieła francuzkie, niemieckie i polskie, które o tym traktowały przedmiocie, a których mnóstwo pojawiało się wtedy. Tym sposobem zebrała prawie bibliotekę magnetyczną, którą dziś jeszcze nietkniętą znajdziesz w tamtéj oto szafie. Z niój wydobyłem także i owe książeczki o Mesmeryzmie, drukowane w Warszawie, co tak nadzwyczajnym sposobem niepokoiły cię przez dwie ostatnie noce. Hortensya w nich i tym podobnych dziełach szukała rozwiązania tajemnicy, która choć dla niój była niemniej w przekonaniu pewna i święta, jak artykuły i tajemnice wiary, niemniej zarazem od nich była niedocieczona i niepojęta! Chciała ona wszakże w podobnych dziełach znaleźć jój objaśnienie. Wszystkie chwile wolne od przyjętego na się obowiązku, poświęcała gorączkowemu ich czytaniu. Powiedzieć

można, że dzień i noc znajdowały się te książki w jej ręku. Utwierdzała się przez to i utwierdziła nareszcie w mniemaniu, że działanie magnetycznego płynu, przez dwie wole zgodne a silne, i do najwyższej wyteżone potęgi, skierowanego równocześnie z miejsc dwóch nawet odległych na jeden i ten sam przedmiot, wydać może skutek, jaki się na niej pokazał, kiedy przez samo wysilenie woli i duchowe połączenie się ze Stanisławem została żoną jego a matką Krysi.

Hortensya i w rzeczywistość tego zjawiska wierzyła, i starała się tym sposobem wytłómaczyć sobie jego możebność. Księżna również przez długi czas tego samego była zdania jeszcze i po wyjeździe z kraju i po mniemaną śmierci Hortensyi, a gniewała się na niedowiarstwo materyalistów, którzy poznać się nie umieli na potędze czystej duchowej miłości. Dziad mój, krótko przed śmiercią, pomrukiwał na takie remonstrancye księżny raz po raz: „facecye, Mości Dobrodzieju, facecye!“ ale nareszcie zachwiewać się także już zaczynał w swém niedowiarstwie; książę się w niem zachwiał już dawniej dla zachowania spokojności domowej. Ojciec mój tylko pozostał jak najdłużej niewiernym materyalistą i niewzruszonym w téj mierze! Ale i na niego przyszła kolej zachwiania. W rok bowiem niespełna po owém zdarzeniu, które się przytrafić miało w ogrodowym pawilonie Hortensyi, nadeszła do Polski i do dziada mego wiadomość z Francyi urzędowemi dokumentami potwierdzona, że Stanisław * * poległ istotnie w bitwie z nieprzyjaciolmi Francyi, a poległ tego samego dnia, który téż Hortensya podawała najprzód za dzień swego z nim ślubu, a następnie jego śmierci.

To spotkanie się i zgodzenie dat, przejęło wszystkich, co znali historią Hortensyi, najwyższém zdumieniem. Księżna tryumfowała! Dziad mój i książę, zachwiani już poprzednio w swoim niedowiarstwie, uwierzyli teraz zupełnie, a w miarę progressyi, ojciec mój zachwiał się z kolei! Lecz że to był człowiek w szkole XVIII. wieku ćwiczony i wychowany, nie mógł i nie chciał od razu kapitulować i teraz dopiero zamierzył, dla własnej i całej rodziny spokojności, dotrzyć do gruntu całej téj tajemnicy. Od dawna zaś miał już w téj mierze przekonanie, że wedle tego, co słyszał, sam tylko francuzki ów emigrant Ryszard, mógłby mu być, gdyby zechciał, potrzebne

dać objaśnienia i rzecz całą po ludzku wytłómaczyć. Zajął się przeto gorliwie odszukiwaniem jego utajonego pobytu. Po długich staraniach udało mu się wpaść na ślady, starannie bardzo przez tułającego się po różnych częściach kraju ukrywane i zacierane, już to za pomocą zamieniania i przybierania coraz innego nazwiska, już przez występowanie w coraz to nowym charakterze; udało się wszakże memu ojcu wpaść na jego ślady, po których przy dłuższem staraniu odkrył nareszcie awanturnika na drugim krańcu gdzieś Polski, trudniącego się znowu magnetyzowaniem nieszczęśliwej jakiejś żony nieszczęśliwego męża. Było to jego najpospolitsze rzemiosło, którym najczęściej i najchętniej po różnych miejscach się trudził. Kiedy go ojciec mój poznał, na wstępie zaraz i bez ogródki, powiedziawszy mu kto jest i po co przyjeżdża, zaklął go na honor, tak drogi każdemu Francuzowi, żeby mu prawdę powiedział, jaki był jego stosunek z Hortensyą? Łatwiej było zapytać, niż odpowiedzieć! Francuz na honor zaklęty, dla tego właśnie, że był człowiekiem honorowym, oświadczył, że na to pytanie nie odpowie. Ojciec mój nalegał, Francuz się wzbraśniał; przychodziło od słowa do słowa, nareszcie przyszło do przemówki i do wyzwania. W pojedynku, który w skutek tego nazajutrz się odbył pomiędzy nimi, ojciec mój Ryszarda postrzelił, wsadziwszy mu kulę w bok pomiędzy żebra. Rana była niebezpieczna i śmiertelna. Oznajmił to zaraz na miejscu przytomny doktor, uczuł téż i sam ranny, kiedy go przeniesiono do przyległego domu, i przywołać kazał mego ojca, a pozostawszy z nim sam na sam w pokoju, podał mu rękę już stygnącą i rzekł słabym głosem: „Widzę, że jest sprawiedliwość wyższa, co się mści za wyrządzone krzywdy. I ty byłeś i jesteś tylko narzędziem w jój rękę. Pomściłeś siostrę!“

„Jako, zawołał mój ojciec, mów wyraźnie i wprost, czy ty jesteś sprawcą jój hańby, a ojcem jój dziecięcia?“

„Ja jestem, odpowiedział Ryszard, już przytlómnionym głosem i mówił dalej, co chwila przerywając opowiadanie dla braku tchu, który widocznie stygł i ucinał się w konającej piersi: „Ja jestem! Ale nie oskarżaj i nie potępiaj siostry... Ona niewinna swój hańbie... Ona zgrzeszyła a raczej nie zgrzeszyła, bo nie wiedziała, że ja nadużyłem jój chorobliwego stanu... Ma-

gnetyzowałem ją.... Wprawiałem w sen magnetyczny, do którego z natury.... była skłonna....“

„A więc, zapytał mój ojciec, korzystając z chwili dłuższego przestanku, w czasie którego Ryszard głęboko w piersi szukał tchu ginącego, a więc magnetyzm jest czemś rzeczywistém?“ „Nie przerywaj, odpowiedział konający, „jest... magnetyzm jest... czem jest... ja nie wiem! Ale to wiem, że kiedyś uśpił osobę taką, jak była twoja siostra,... tom jej kazał... i ona musiała marzyć i widzieć i mówić to wszystko, com ja chciał.“

Tu znowu nastąpiła przerwa. Ryszard dłużej, niż przeszłą razą szukał cichnącego oddechu, a potem coraz słabiej i coraz wolniej tak mówił: „Uśpionej Hortensyi rozkazywałem nieraz... samą siłą méj woli... widzenie mieć Stanisława... a w wyobraźni jej marzącej... podkładałem siebie na jego miejsce... Manewr ten udawał się zawsze... Jednego razu pod wieczór... w pawilonie ogrodowym...“, tu rzucił się Ryszard gwałtownie na łóżku, potem mocniejszym głosem, w którym słychać było ostatnie wysilenie, wykrztusił po dłuższych za każdym wyrazem przestankach: „ksiądz... pierścionek... ślub... Stało się!“ I tu rzucił się raz jeszcze, opadł wyprężył nogi i ręce, krew buchnęła ustami, oczy stanęły słupem, skonał!“

To powiedziawszy pan Hilary, wstał, a przeszedłszy się kilka razy w milczeniu po pokoju, stanął nareszcie przedemną i rzekł: „Czy jeszcze czego nie rozumiesz?“ „„Rozumiem wszystko!““ odpowiedziałem. „Gdyby ci jednak, mówił, na nowo przyjść miały przez noc jakie wątpliwości, chętnie ci jutro wszelakie, jakich tylko zażądasz, dam objaśnienia.“

To mi przypomniało, że czas nareszcie było też już i odejść. Zabrawszy się tedy czémprędzej, pożegnałem pana Hilarego i wyszedłem. Dopiero na ulicy przyszło mi na myśl, że w całej słyszanej dotąd powieści bynajmniej się nie wyjaśniła historia moich książeczek, a raczej dziwne i nadzwyczajne z nimi zdarzenie, które mi się przez dwie ostatnie noce przytrafiło. Zajęty tą uwagą, wszedłem do domu. Pierwszą istotą, którą zaraz w sieniach spotkałem, był Johann. Zawołałem go z sobą na górę. „Słuchaj, mój Johann, zapy-

tałem, co się z tobą działo, gdzie ty przebywał przez te ostatnie dwa dni?“ „„Tylko przez dwanaście godzin, odpowiedział, nieco pomięszany, byłem zamknięty w kozie, proszę pana, najniesłuszniej i najniesprawiedliwiej, jak Boga Kocham! Ten szelma dorożkarz zaczął, on pierwszy mnie uderzył a za to, żem mu oddał, prawda, trochę z procentem, wsadzono mnie zaraz do kozy, a jemu nie! Jego zostawiono na kozle! Ale ja tego nie daruję i zobaczy pan...“ „„Mniejsza o to, przerwałem; powiedz mi raczej, czy byłeś ty wczoraj rano u mnie w pokoju?“ „„A jużci byłem, odpowiedział Johann, chciałem pana przeprosić, że na zwykły czas sukien nie wy czyszczę, bo musiałem tamtego pana odwozić na kolej.“ „„Więc nie czyściłeś sukien? I cożes tu robił?“ „„Nic, proszę pana, odpowiedział z głupowatą miną Johann, pana nie mógłem przeprosić, boś pan bardzo smaczno spał, choć to już było dosyć późno. Nie śmiałem pana przebudzić. Więc bardzo cicho i ostróżnie podniosłem w pierwszym pokoju z podłogi te oto czarne książeczki i położyłem je na stoliku przy łóżku.“ „„Jakto, zapytałem trochę zawstydzony, więc to ty, Johann, podniosłeś z ziemi te książki i położyłeś tu na stoliku.“ „„Ja, proszę pana, odpowiedział, podniosłem je, a myślałem sobie wtedy, że to muszą być książki ladaco, kiedyś je pan z takim gniewem rzucił na ziemię, że aż im oto oprawa się pokrzywiła. A dzisiaj rano pomyślałem sobie drugi raz to samo, kiedym zobaczył, że pan nietylko książki, ale i stolik razem z nimi wyrzucił.“ „„Czy może i dzisiaj, zapytałem z niechęcią, znowu ty i ten stolik podniosłeś w pierwszym pokoju z podłogi i postawiłeś przy łóżku?“ „„Znowu ja, proszę pana, odrzekł zaambarasowany tonem moim Johann, sprawilem się przecie tak cicho, żem pana nie przebudził!“ „„To dobrze, zawołałem, możesz odejść!“ Odszedł Johann, spoglądając na mnie ukradkiem odedrzwi, czym nie zwariował, a ja zostawszy sam w pokoju, uderzyłem się dłonią w czoło, zaśmiałem się w głos i mimowolnie zawołałem: „Ma racya pan Hilary! Nic nowego pod słońcem! A jabym jeszcze dodał: nic nadprzyrodzonego w przyrodzeniu; choć między niebem a ziemią są rzeczy, o których się filozofom naszym nie śniło!“ Poczem położyłem się w łóżko i spałem tej nocy wybornie!

Reguły staropolskie.

Dukat, to nie kwitek —
Miodek, to napitek —
Bigos, to potrawa —
Kulig, to zabawa!

Kiedy zbrojno, to ze szablą —
Kiedy z miną, to już z diabłą —
Kiedy strojno, to we złocie —
Gdy pracować, to już w pocie —
Bankietować, to już szumnie —
Sejmikować, to już tłumnie.

Kiedy spać się, to jak bela —
Kiedy pić, przyjaciela.
Gdy pomagać, to sownie,
Kiedy bić, to należycie.
Kiedy pościć, to na sucho,
Kiedy palnąć, to już w ucho.

Gdy kto w biedzie, to zaradzić,
Gdy dać słowo, to nie zdradzić,
Stroić żarty, to niewinnie,
Przyjąć kogo, to gościnnie,
Kiedy gardzić, to podłością,
Kiedy mówić, to z szczerością,

Gdy kto oszust, to go łaj,
Gdy poczciwy, rękę daj,
Gdys pokrzywdzon, to się mścij,
Gdys obrażon, to go bij.
Kiedy rąbnąć, to przez łeb,
Kiedys stchórzył, toś już kiep.

Gdy się bratać, to z równymi,
Gdy mieć litość, nad biednymi,
Gdy się modlić, to już szczerze,
Kiedy wytrwać, to w swęj wierze,
Kiedy cierpieć to wytrwale,
Kiedy kochać, to już stale.

Kiedy jeździć, to już sanna,
Kiedy szaleć, to za panna,
Kiedy ładna, romansować,
Gdy zalotna, to figłować,
Gdy uczciwa, to polubić,
Gdy wzajemna, to poślubić,
Gdy rozsądna, to ją cenić
A gdy mądra, strzeż się żenić.

Kiedy wspierać, to rodaka,
Kiedy tańczyć, krakowiaka,
Sąsiadować, to spokojnie,
Gdy obdarzać, to już chojnie,
Gdy docierać, to obcesem, -
Gdy już zniszczyć, to z kretesem,

Gdy miłować, to swobody,
Gdy wyśmiewać, to już mody,
Kiedy order, to za bliznę,
Kiedy cierpieć, za ojczyznę,
Kiedy hulać, to z drugimi,
Kiedy umrzeć, to w swęj ziemi.



O wynalazku balonów.

Na okręcie obiega człowiek niezmierne oceany, za pomocą pary mknie szparko jak strzała po kolejach żelaznych, a nawet w górze, wysoko po nad ziemią, szybuje w jedwabnej kuli napelnionej powietrzen.

Ale nie zawsze tak bywało.

Jak w dawnych wiekach nieznaną była żegluga, lub przed laty kilkudziesięciu nikt nie myślał o wynalazku parowców, tak stopięćdziesiąt lat temu ani się śniło ludziom o balonach. Pierwszy pomysł zbudowania napowietrznego statku, podał Laurent w roku 1709 ale doświadczenie jego na długi czas pozostało bez naśladowcy. Wprawdzie już wtedy, tak jak dziś, puszczały dzieci bańki mydlane, które unoszą się czas niejakiś w powietrzu, wzbijają nawet w górę, dopóki się wewnątrz nich powietrze nie oziębi, nareszcie spadają na ziemię lub pękają. Jednakowoż nikt się nie starał, zjawisko to bliżej zgłębić, a tém mniej dalsze z niego wyprowadzić następstwa. A przecież ptak skut-

kiem dziwnego składu swojego ciała unosi się wysoko nad głowami ludzi, wysyłane z listami gołębie w krótkim czasie, obszerne



Statek napowietrzny M. Laurent'ego z r. 1709.

przebywają krainy. Nieznający tajemniczej budowy ptaka sądzili, że do latania tylko dwóch skrzydeł potrzeba, tych tylko dostać, mówili, a zagadka bujania w powietrzu będzie rozwiązana; szczególnie gdyby jeszcze i nogi uzbroić niemi można. Nie zabrakło też puszcających się na tego rodzaju doświadczenia. Ślusarczyk Besnier z Sablée we Francyi zwrócił na siebie powszechną uwagę już około 100 lat przed wynalezieniem balonu. Machina jego konstrukcyi przymocowaną była na barkach jak nosze. Dwa drążki stanowiły główne jej części i poruszały się oparte środkiem na zgięciach ramion. Na końcach znajdowały się przyprawy z kija



Besnier w locie.

http://rcin.org.pl
 tajki skrzydła, każde zajmując $\frac{1}{4}$ długości całego drążka.

Przednie skrzydła rękami, tylne zaś nogami poruszać się dawały tak, iż przednie skrzydło z lewego ramienia równocześnie ze skrzydłem tylném z prawego podnosiło się lub spuszczało. Ten wynalazek posłużył tylko do spuszczenia się w ukośnym kierunku z wyżyn, lecz nie do wzbijania się w górę. Utrzymują, że gdy się wynalazcy ta praktyka zlatywania z wysokości szczęśliwie udawała, próbując co raz więcej sił swoich doprowadził tak daleko, że nawet rzeki przelatywał. Niewiadomo wszakże o ile podania te zasługują na wiarę; bo każdy jego późniejszy naśladowca życiem doświadczenie przypłacił. Skrzydła więc nie rozwiązały zagadnienia napowietrznej żeglugi, trzeba było pomyśleć o innych ku temu sposobach.

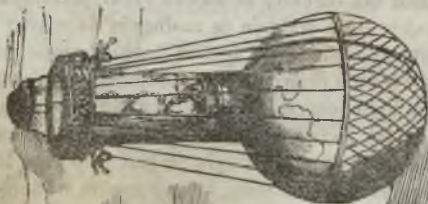
Wiadomo, że jak każde ciało tak i powietrze ma pewną ciężkość; badacze przyrodzenia odkryli, że jest 800 razy lżejszém od wody, a pewien jego rodzaj, zwany gazem wodorodu, znów $14\frac{1}{2}$ razy lżejszym od zwyczajnego atmosferycznego. Odkrycie to zrobił w r. 1766 Anglik nazwiskiem Cavendish. Chcąc gaz ten produkować, należy wsypać w butelkę $\frac{1}{2}$ łóta zwyczajnych opilków żelaznych; zlać je 5ciu łótami wody, dodać do tego 1 łót zwyczajnego angielskiego kwasu siarczanego; klócić to wszystko tak długo, dopóki się nie zacznie gotować i wydawać ciepła, co jest dopiero skutkiem rozwijania się gazu. Gdy nim napełnimy lekką kulę z pozłotki, wielkości średniej dyni, wzbija się balonik w górę i tak długo unosić się będzie w powietrzu, póki się gaz przez pory lub szczeliny pozłotki nie ulotni. Pozłotka dla tego jest najstósowniejsza do podobnych doświadczeń, ponieważ ze wszystkich tego rodzaju materji jest najlżejszą. Dla łatwiejszego pojęcia owego parcia w górę, zauważmy, że jak wzdęta pęcherzyna, zanurzona w wodę zawsze wypływa na wierzch dla tego, że powietrze, które ją napełnia, lżejszém jest od wody, tak też kula napełniona gazem lżejszym od powietrza, zawsze ku górze partą będzie, jeżeli materya, z której się składa, nie waży zbyt wiele. Po wynalezieniu owego gazu myślano nad tém, jakby sporządzić machinę, w którąby gaz ten zgromadzić i ująć można, a machiną taką był balon, wynaleziony przez dwóch braci Józefa i Stefana Montgolfier, fabrykantów papieru z Annonay we Francji.

Wspomnieni bracia w godzinach wolnych od pracy za-

trudniając się badaniem natury, czytali w roku 1777 sławne w ówczas dzieło o fizyce, a mianowicie o rozmaitych gatunkach powietrza. Pojęli je zupełnie, a kończąc czytanie dzieła, zawołali: „a więc i żegluga napowietrzna nie będzie dłużej zagadką!” Wiedząc zaś, że za pomocą ognia powietrze przerzedzić i tём samém lżejszém uczynić można, zbudowali jeszcze w roku 1782 w Listopadzie balon, w kształcie sakwy,

mający objętości 540 stóp sześciennych i w nim przerzedzili powietrze za pomocą palenia papieru. Ta próba zupełnie im się udała: balon wzniósł się na 800 stóp wysoko i po niejakiem czasie spuścił się zwolna na bliski pagórek. Teraz poprzestali już wątpić o pomyslnym skutku swoich usiłowań. Zrobiwszy zatem balon z płótna

Montgolfiera.



Pierwsza podróż Roziere.

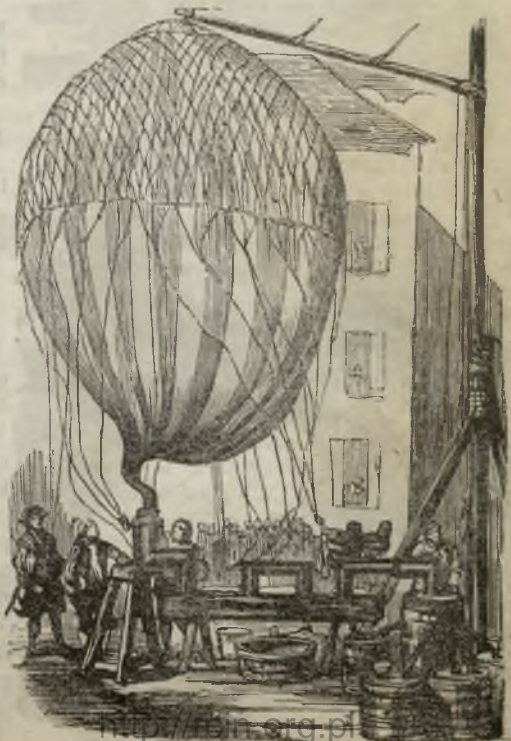


Balon Bristoga.



450 funtów ciężki o 35 stopach średnicy, puścili go publicznie dnia 5. Czerwca 1783 w Annonay, miejscu ich zamieszkania. Jakież zadziwienie opanowało przybyłych z dalekich stron widzów, na widok niepozornego przed chwilą woru, jak tenże po przerzedzeniu w nim powietrza za pomocą ognia, przybrawszy majestatyczną kuli postać, z szybkością strzały wzniósł się nad ziemię i po 19 minutach był już 7,200 stóp wysoko. Do własnej jego ciężkości przydano jeszcze 400 funt. ciężaru i przekonano się, że próba puszczenia większych balonów z dość znacznym ciężarem przestała być marzeniem. Jak pokazuje rycina, ogrzewano balon najprzód słomą, co później

zastąpio-
no spiry-
tusem pa-
lącym się
w urzą-
dzonych
na ten cel
piecy-
kach. Ba-
lony takiej
konstruk-
cyi na-
zwano:
*Mont-
golfiera-
mi*, na
cześć ich
wyna-
laz-
ców. Po-
źniej za-
częto uży-
wać gazu
wodoro-
dnego,
a balony
nim na-
pełnione
przybrały



Napełnianie gazem wodородnym.

nazwisko Charlierów od profesora Charles, który pierwszy sposób ten wymyślił. Uczony ten z pomocą dwóch braci Robert, zręcznych mechaników, zbudował wielką kulę z tyftyku i pociągnawszy ją pokostem, puścił na polu Marsowém w Paryżu dnia 27. Kwietnia 1783 roku. Miała ona 12 stóp średnicy; 21 funtów ciężkości. Wzniosłszy się na 300 stóp w górę, zniknęła w obłokach i dopiero po $\frac{3}{4}$ godzinach spadła pod Gonessé o $2\frac{1}{2}$ mili od Paryża. Prostuduszni miejsca tego mieszkańcy, którzy dotąd nic o balonach nie słyszeli, widząc, że coś dużego spuszcza się ku nim z obłoków, mocno się zdziwili. Roztropniejsi mieli to za drapieżnego ptaka



szczegól-
niejszej po-
staci; inni
zaś poznali
natych-
miast sza-
tana, a
byli i tacy,
co sądzili,
że księżyc
spada na
ziemię.

W miarę
spuszcza-
nia się ba-
lonu ogar-
niało ich
coraz wię-
ksze zadzi-
wienie i
przestrach,
aż hurmem
rzucili się
do probos-
zcza, aby
go o nawie-
dzinach
czarta u-

przedzić. Proboszcz zebrał parafian, procesjonalnie udał się na miejsce i zaklinał diabła, żeby przynajmniej z jego parafii wynieść się raczył. Ale gdy ów potwór żadnych przedstawień słuchać nie chciał i poruszany już to gazem już też powiewem wiatru, z wolna toczył się po łące, okrażali go zdala i ostrożnie. Nakoniec po upływie godziny, najodważniejszy z przelęknionych, uzbroiwszy się w strzelbę, podszedł nieco bliżej, zmierzył, wypalił i w sam brzuch ugodził potwora. Co za tryumf! czart zwyciężony! Z wytrysnięciem gazu zmniejszyła się objętość balonu, a wtenczas ośmielona tłuszczą, widząc bestyą śmiertelnie ranioną, rzuciła się na nią z widłami, cepami, kijami, aby ją do reszty zadławić. Smrodliwy oddech rozlał się na wszystkie strony. A tak balon, dzieło tyłu bezsennych nocy, poprzebijany, pogruchotany, w końcu przywiązany koniowi do ogona, włączono po polach i pokazywano jako trofeje zwycięstwa nad czartem. Upojonych radością obudził Charles, który tymczasem nadjechał z Paryża szukać swego balonu, ale niestety znalazł już tylko płaty. Ta okoliczność spowodowała rząd do wydania odezwy, zapobiegającej na przyszłość podobnym wypadkom.

Dnia 19. Września 1783, właśnie gdy Charles i Robert zajmowali się budową nowego balonu, młodszy Montgolfier w obecności króla odbył nową, ważniejszą próbę. Balon jego zbudowany w kształcie jaja, w którym umieścił pierwszych napowietrznych żeglarzy, t. j. barana, kaczkę i koguta, miał 57 stóp wysokości, 41 szerokości i 37,500 stóp sześciennych objętości. Wzniósł się na 1,500 stóp wysoko, a po upływie 8 minut spuścił się na ziemię o 10,200 stóp od miejscca, z kąd był puszczone tak lekko, że znajdujące się w nim zwierzęta żadnego nie poniosły szwanku.

Pierwszymi, co nadziemskie zwiedzili okolice, był Pilatre de Rosier i towarzysz jego Markiz d'Arland. Z zamku La Muette pod Paryżem odbyli tę podróż d. 21. Listopada 1783 r. w balonie zbudowanym przez Montgolfera, mającym 48 stóp średnicy a 74 stóp wysokości. U spodu znajdowała się galerya dla żeglarzy, i ognisko z żarem dla utrzymywania ciągłego ciepła. Zajmującymi są układy, które trwały przez dni kilka, nim uzyskali pozwolenie do śmiałej wyprawy. Każdy dotychczas puszczone balon przywiązywano do liny, aby go

można ściągnąć na dół; Pilatre zaś postanowił tą razą wnieść się nieco wyżej, w czem mu jednak Montgolfier silny stawiał opór. Ustanowiono więc na ten cel komisją, złożoną z członków akademii umiejętności, lecz i ta o możebności wykonania zamiaru Rosiera żadnego nie objawiła zdania. Na wspomnienie téj podróży, najodważniejszych dreszcz przejmował. Pilatre udał się o pozwolenie do króla, lecz mu go Ludwik XVI. odmówił, obiecując natomiast ulaskawienie dwom na śmierć wskazanym zbrodniarzom, jeżeli się wyprawy téj podejmą. Oburzony tém do najwyższego Pilatre „dla czegoż,“ zawołał, „podli, wykluczeni ze społeczeństwa ludzkiego złoczyńcy dziężyć mają sławę, że byli pierwszymi żeglarzami w powietrzu.“ Przez ludzi mających u dworu wpływy, a szczególnie za wdaniem się Markiza d’Arland, uzyskał nakoniec pozwolenie; dnia 20. Listopada miał się puścić w górę. Ale gwałtowny wiatr z deszczem stanął w dniu tym zamiarowi jego na przeszkodzie i dopiero nazajutrz mógł go uskutecznić. Mimo silnego jeszcze wiatru, Pilatre i d’Arland puścili się w obłoki, a będąc już wysoko nad głowami kilkukroć stotysięcy zgromadzonego ludu, wiewaniem kapeluszy żegnali zdziwione tłumy, napełnione trwogą o ich całość. Coraz wyżej a wyżej wznosił się balon, żeglarze zniknęli już z oczu widzom i tylko statek ich, podobny do puharu, ukazywał się w górze. Aż do Łabędziej wyspy trzymali się kierunku Sekwany, poczem minawszy rzekę, przesuwali się nad Paryżem w takiéj wysokości, że ich z najciasniejszych uliczek miasta dostrzedz można było. Wieże kościoła Nôtre Dame okryte były widzami, a gdy balon stanął w prostéj linii pomiędzy nimi a słońcem, zakryła ich cień jakoby w czasie zaćmienia słońca. Wysokość, którój balon dosięgał, zależała od rozszerzania lub przytłumiania ognia. Minawszy już Hotel inwalidów i szkołę wojskową „teraz dosyć,“ zawołał d’Arland, „ku ziemi!“ Przeszali natychmiast podsycać ogień i po 25 minutach spuścili się zwolna 1 1/2 mili od miejsca, zkąd się puścili. D’Arland dosiadłszy zaraz konia, ruszył co tchu do Paryża gdzie jeszcze stały zdziwione tłumy ludzi; odważny zaś Pilatre, zapakowawszy w przeciągu 10ciu minut balon na wóz, przywiózł go do miasta. Wśród widzów znajdował się także sławny Benjamin Franklin, chcąc być świadkiem zdobyczy, którą przemysł ludzki świeżo wydarł ży-

wiołom. Zapytany na coby się podług niego, balony przydać mogły? „jest to nowo narodzone dziecko,“ krótko odpowiedział.

Kilka dni potem zabawiał się znów Paryż nowem widowiskiem napowietrznej żeglugi, którą przedsięwziął Charles i Robert balonem co dopiero zbudowanym ze składek publicznych, napełnionym gazem wodorodu. Gdy spuszczał się z wysokości 1500—1800 stóp na smugach Nésle 4 1/2 mili od Paryża, Robert wyskoczył pierwszy z Gondoli, balon



Ostatnia podróż Bostera w r. 1785.

przez ulżenie ciężaru raz jeszcze sunął się w górę z pozostałym w nim p. Charles na 9000 stóp wysoko i poniewolny aeronauta ujrzał raz jeszcze na widnokręgu słońce, które na ziemi zaszło już wtenczas, gdy miał wysiadać z balonu. Powrócił jednak szczęśliwie do swego towarzysza po 25 minutach. Odtąd wyprawy napowietrzne stały się tak powszechnymi, iż w r. 1785 już ich 35, aeronautów zaś 58 naliczono. W Styczniu roku 1784 Pilatre i starszy Montgolfier, zabrawszy z sobą jeszcze 5 osób do olbrzymiego balonu, który miał 126 stóp wysokości i 102 stóp średnicy, puścili się w Londynie, ale dla szczelin w statku, musieli już po 15 minutach wrócić z wysokości 5000 stóp. Nakoniec w dniu 13. Czerwca 1785 r. przedsięwzięł Pilatre z jednym tylko towarzyszem, podróż do Anglii przez cieśninę Kaletańską. Jakkolwiek nowy lecz niedokładnie zbudowany statek szybko wzbijał się w obłoki, zawisł nad morzem i pochwycony prądem wiatru, wrócił znów nad brzegi. Pilatre nie chcąc pod czas burzy kończyć przedsięwziętej podróży, w zamiarze spuszczenia się na ziemię, otworzył klapę, aby wypuścić nieco gazu, lecz nie mógł jej potem szybko jak

chciał zamknąć; gaz wytrysnął nagle, a balon w największym impecie uderzył o ziemię. Pilatre jeszcze w powietrzu zdruzgotany został, nieszczęśliwy zaś jego towarzysz przeżył go o 10 minut. To były napowietrznej żeglugi pierwsze ofiary. Przedsięwzięcie, które odważny Pilatre przypłacił życiem, uskutečnił szczęśliwie Blanchard w 6 miesięcy później. Jak wiadomo dzieli Francją od Anglii cieśnina morska, 6 mil szeroka; najbliż-



Balon Blancharda.

szemi zaś obódwóch krajów punktami są miasta: Calais we Francyi i Dover w Anglii. Z tego ostatniego wybrał się Blanchard do Francyi, a puściwszy się dn. 7. Stycznia 1785 roku w towarzy-
 stwie Amery-
 kanina, na-
 zwiskiem Je-
 fers, stanął
 szczęśliwie
 na brzegu
 francuzkim,
 pod gwinej-
 skim laskiem,
 1 milę fran-
 cuzką od Ca-
 lais, w prze-
 ciągu 2 go-
 dzin i 32 mi-
 nut. Ale po-
 dróż ich nie
 ze wszy-
 stkiem je-
 dnak była
 bezpieczną,
 gdyż przy
 końcu balon
 szedł już tak
 nisko, że że-
 glarze znie-
 woleni byli
 ulżyć mu ba-
 lastu; wyrzu-
 cili więc naj-
 przód książki
 i żywność, pó-
 źniej odzież,
 nareszcie
 przywiza-
 wszy się po-



wrozami do balonu, chcieli łódkę, w której siedzieli oderznąć. Nie przyszło jednak do téj ostateczności, gdyż dostali się szczęśliwie na ziemię francuzką, gdzie już od godzin kilku czekali na nich w niepokoju mieszkańcy, obserwując przez lunety wszelkie poruszenia unoszącego się nad kanałem balonu. Przyjęto ich jak najuroczyściej, a śmiałego Blancharda nie tylko obsypano kosztownymi dary, ale jeszcze ku uwiecznieniu jego pamięci wystawiono pomnik w tém miejscu, gdzie wysiadł z balonu.

Te same podróże odbywali później wielokrotnie i Francuzi i Anglicy. Najdalszą jednak a oraz najwięcej podziwienią godną była ta, którą przedsięwziął sławny w ówczas aeronauta Green. Zabrawszy z sobą dwóch towarzyszy, puścił się z nimi d. 7. Listopada 1836 r. w Londynie wielkim balonem, napełnionym nie wodorodnym, ale tańszym choć mniej silnym gazem z węgla. Już zmrok zapadał, gdy jeszcze byli na ziemi angielskiej, i tylko z posuwania się balonu wnosili, iż dążą ku Francyi. Nareszcie noc zapadła i po biciu bałwanów poznali pod sobą morze północne: balon mknął coraz dalej a dalej — ujrzeli naraz światła w przystani Calais, ale balon przeleciał wysoko nad miastem. Około północy, podróżni minawszy już wiele następujących po sobie wsi i miast, przybyli nad ogromną osadę, oświetloną gazem; było to miasto Leodium, ale i te światła niedługo im zniknęły i byli znów jedynymi istotami wśród ciemnej pomroki, mając nad sobą słabe światło balonu, a pod sobą czarne obszary powietrza. Z brzaśkiem jutrzeńki zaczynały im się znów pokazywać gdzieś migające światełka, aż nastąpił dzień i duża tarcz słoneczna oświeciła mgłą zaległą ziemię. Wtenczas ujrawszy pod sobą piękny pagórek, którego wierzchołek sterczał ponad ciemne warstwy mgły, spuścili się na ziemię. Za ledwo zarzucili kotwicę, już ich licznie otoczyli wieśniacy, i pomimo niezwykłego dla siebie zjawiska, z radością niesli im pomoc. Na zapytanie, gdzieby się obecnie znajdowali? powiedziano im, ku wielkiemu ich zadziwieniu, iż w okolicach średniego Renu w państwie Nassau, blisko Weilburga. A więc w przeciągu godzin 19 przebyli blisko 90 mil niemieckich.

Nim do dalszej o wycieczkach napowietrznych przystąpimy opowieści, nadmienić wypada, jakie początkowo z wynalazku tego obiecywali sobie ludzie korzyści. Zaledwie Pila-ter po raz pierwszy puścił się w górę, sądził każdy, iż wkrótce roje podróżnych rozmaitego stanu potraćć się będą w powietrzu. Teraz nikt już nie chciał żółwim krokiem na wózku tłuc się po grudzistych drogach; jaki taki myślał sprawić sobie balon, a wybierając się do przyjaciela w odwiedzinę, przedrzeć w nim powietrze wiązką spalonej słomy, puścić się w niebieskie sfery i za godzinę stanąć wygodnie przed domem przyjaciela. Zbliża się n. p. niedziela lub święto, pogoda piękna, a więc zamiast przechadzki po ziemi czyż nie lepiej wybrać się w powietrze? zobaczyć na szczytach olbrzymich gór Szwajcaryi odwieczne śniegi, pobujać nieco nad Tyrolem, przysłuchać się grze burzliwych wałów oceanu i t. p. bo teraz te podróże w góry bardzo męczą, a na morzu to nawet i niebezpiecznie i mokro. Ale odtąd będzie inaczej: wsiędzie człowiek w balon, zaleci na wierzchołek góry, nasyci wzrok swój przepyszniemi widoki, wzbije się jeszcze z jakie 10,000 stóp wyżej i wróci na wieczór do swojej cichej zagrody, zje kolacją i schowa balon, aby na przyszłą niedzielę mieć go znów pod ręką. Wielu na seryo tak myślało. Skąpiec budził się ze snu i z trwogą zaglądał pod łóżko do swęj szkatuły. Bo i jakżeż tu spać spokojnie, kiedy złodziej, co w nocy złupił wszystkie jego skarby, rano już, w całym znaczeniu wyrazu, jest za górami; któż będzie go ścigał? A więc pierwsza nasuwająca się konieczność była: uorganizować napowietrzną żandarmeriją. Jakżeż inaczej ustrzedz się tych niebezpiecznych wietrzników, kiedy z włóczęgami tyle jest już biedy. Nie jeden widział już nawet krwawe bitwy staczane w obłokach, za nic miał wszystkie twierdze, mosty, wozy z bagażami; a nawet sądził, że cała kawalerya już się teraz na nic nie przyda. Arsenalami będą ogromne balony i t. d. Ale na cóż zapuszczać się w szczegóły oczekiwanych korzyści, jakie sobie rojono; geniusze owego wieku poznali wnet, że po tym wynalazku nie wiele spodziewać się można; i zaprawdę pozostał on i dziś jeszcze tępym, czem był wówczas t. j. widowiskiem. Używali wprawdzie Francuzi przez czas niejakiś balonów do rozpoznawania nieprzyjacielskich stanowisk, ale już generał Bernadotte, pó-

źniejszy król szwedzki, gdy go naglono aby wsiadł w balon, odpowiedział; „*wolę jechać na osle.*“ Taka jazda napowietrzna oprócz trudności swojej, połączona jest jeszcze z wielkiem niebezpieczeństwem, z powodu ognia służącego do rozrzedzania powietrza; gaz zaś z wodorodu a nawet gaz z węgla, wielkich wymaga nakładów. Kiedy Coxwel w jesieni r. 1851 puszczał się kilkakrotnie balonem w Lipsku, za każdą razą kosztował go gaz węglowy 100 tal., a za wodorod byłby 5—6 razy tyle zapłacić musiał.

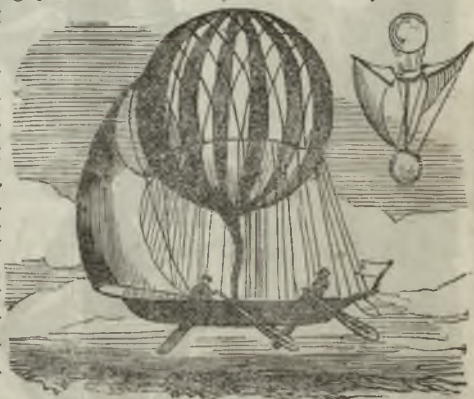
Druga okoliczność, która staje na przeszkodzie rozpo-

wszecznieniu się balonów, jest niemożność kierowania niemi. Dotąd posuwały się wszystkie w tę stronę, w którą je wiatr pędził. Żeglarz panuje tylko nad siłą, za pomocą której może dowolnie wzbijać się w górę lub spuszczać na dół; wszelkie zaś inne poruszenia jego



statku podlegają zupełnie prądom powietrza. Znany wraz z żoną swoją jako aeronauta professor Reichard, Niemiec, opowiadał pod czas pobytu swego w Lipsku w r. 1834, iż wznosił się razu jednego balonem w Warszawie, porwały go tak silnie przeciwne sobie prądy powietrza w niższych i wyższych warstwach, iż trzy razy okrążył Warszawę, poczem zapędził go silny strumień wiatru aż pod Modlin. Już najpierwszy z żeglarzy napowietrznych, a szczególnie Blanchard, przemysłiwali nad tém, jakby można nadać balonowi dowolny kierunek za pomocą steru i żagla, lecz usiłowania ich były prawie daremne. Udało się wprawdzie osiągnąć niejakiś skutek lecz prowadzenie steru tak było uciążliwe, że każdy wołał zaniechać przyjemności takiej podróży lub też całkiem zdać się na wolę wiatru. Zatem nie dziw, że wśród takich okoliczności, niezmordowany nigdy w tworzeniu wynalazków umysł ludzki, innych szukał

środków. Pewien Wiedeńczyk, nazwiskiem *Jakób Degen*, wpadł w r. 1808 na pomysł uczynienia żeglugi napowietrznej możliwą za pomocą innej maszyny, do której był przyrządzone mały balon ze



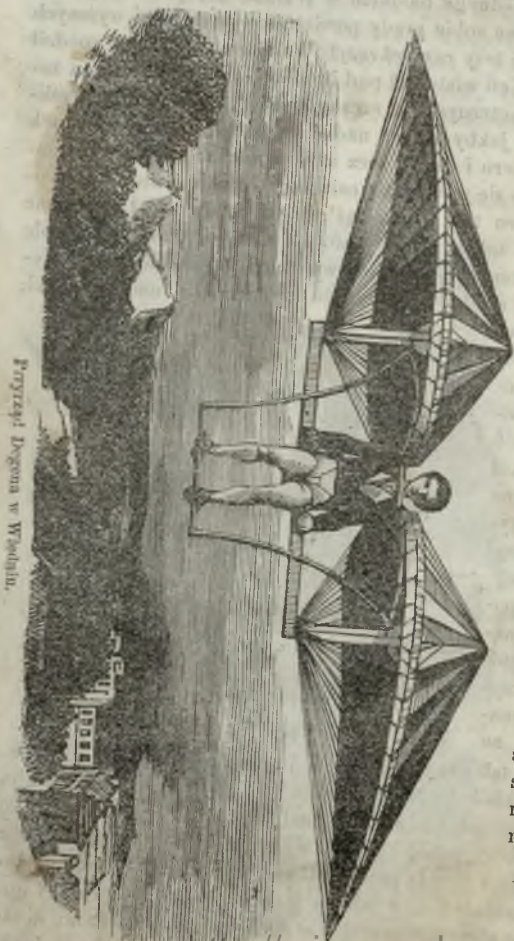
Balon z żaglem i wiosłami.

skrzydłami tak urządzone, iż je można było dowolnie rozwijać lub składać. Na próbie odbytej w Praterze wiedeńskim d. 15. Listopada 1808 r. dokazał tego, że za pomocą swojej lotnej maszyny wznosił się nad wierzchołki najwyższych drzew i równolegle z ziemią przesuwiał się nad nimi. Ogromne jednakowoż natężenie, z jakim musiał pracować rękami i nogami, chcąc utrzymać maszynę w ruchu, nie pozwoliło mu dłuższej odbyć przejażdżki i dla tego maszyna jego nie znalazła

naśladowców. Powiodło mu się więc tak jak niegdyś p. Dress z Monachium, który wynalazł wózek, później od nazwiska jego dressiną zwany, ale wkrótce całkowicie zaniechany, gdyż

poruszanie go wymagało tyle pracy, iż każdy *wolał iść pieszo, niż na takim jechać wozie.*

Prawie już równocześnie z wynalazkiem balonów szukano sposobów, któreby można żeglugę napowietrzną bezpieczną uczynić dla tych, którzy się niemi puszczali, a przez to samo usunąć smutne nie raz wypadki. Urządzono więc pewien rodzaj



Przyjazd Drogowa w Wiedniu.

spadochronu, który miał zapobiegać nagłemu spadnięciu przez parcie powietrza: lecz ten tylko do lekkich przywiązany ciał okazał pomyślny skutek. Byliśmy naoczniymi świadkami jak Green, zabrawszy z sobą królika, przywiązał go do takiego parasola i ze znacznej wysokości zrzucił go na ziemię, a królik upadł bez żadnego nadwężenia. Ale wszystkie inne próby tego rodzaju wypadły jak najgorzej; pomimo ciągłych ulepszeń maszyny. Były to parasole zupełnie do zwykłych podobne, zrobione z tyftyku, a niektóre z nich miały nawet do 20 stóp średnicy. Pierwszym był Blanchard, któremu udała się pomyślnie taka próba w roku 1785. Zaś Robertsohn, chcąc wynalazek ten ulepszyć, nadał mu kształt podwójnego parasola zrobionego tak, iż gdy się jedna połowa otwierała, druga się równocześnie zamykała; jednakowoż praktykę swoją życiem przypłacił. Najniedorzeczniejszy wszakże ze wszystkich a zarazem zupełnie przeciwny naturze rzeczy, był spadochron konstrukcyi Anglika nazwiskiem Cöhing. Ten odbywszy kilka podróży napowietrznych jako towarzysz Greena, uroił sobie, że on dopiero wynalazkiem swoim świat uszczęśliwi. Zauważywszy, iż parta powietrzem taka machina zawsze się przewraca na ręby, zrobił parasol przeciwniej konstrukcyi. Ograniczenie jego do tego dochodziło stopnia, iż nie był w stanie pojąć, że tylko taki parasol odpowiadałby celowi, któryby opór powietrza wytrzymać zdołał; jego zaś machina nie tylko że żadnemu powietrzu nie stawiała oporu, ale nawet przysparzała ciężaru przedmiotowi, do którego była przywiązaną i przez to upadanie jego czyniła tém szybszém. Na wszelkie przedstawienia ludzi roztropniejszych głuchym pozostał Cöhing i d. 27. Września 1836 r. puścił się balonem w towarzystwie Greena z Vauxhall w Londynie, mając parasol swój przywiązany do gondoli w koszyku. Gdy się już znajdowali ze 3,500 stóp nad ziemią, mimo usilne prośby i przestrogi Greena, przerznął łączące go z gondolą linę i nim Green z drgnienia balonu przekonał się o szalonym kroku swojego towarzysza, już on był daleko pod balonem, spadając z takim pędem, iż owe 3,500 stóp wysokości przeleciał w $\frac{1}{2}$ minuty. Zbiegli się ludzie na widok upadającego parasola i znaleźli owego szaleńca na miazgę rozbitego. O tej wy-

cieczce wspomina tu jeszcze Green z żalem, jako o najmniej szczęśliwszej z tych 300, które odbywał.

Gazeta Triestańska z r. 1846 zawiera opis popełnionej w innym rodzaju niedorzeczności jak następuje: Pewien Fran-



Spadochron Cockinga.

cuz nazwiskiem Arban zapowiedział po raz kilka mieszkańcom Triestu odbycie napowietrznej wycieczki, ale dla niepogody był zmuszonym po dwa razy przedstawienie swoje odwołać. Nakoniec dnia 8. Września, chcąc się przekonać o stanie wiatru w górze, puścił mały balon, a widząc posuwający się od południa ku północy, zaczął zaraz na dziedzińcu przed wielkimi koszarami

robić przygotowania. Nie miał jednakowoż tyle gazu na podoręczu, aby napełnić nim balon tak, iżby miał dostateczną siłę do podniesienia gondoli i znajdujących się w niej rozmaitych narzędzi. Już zegar wybił 6, a zapowiedziany na godzinę 4tą odjazd w obłoki jeszcze nie nastąpił i dla tego publiczność zaczęła się niecierpliwić. Arban nie chcąc, aby go posądzano o zamiar oszukania, w szalonej rezygnacyi postanowił wzbić się bez gondoli. Oddaliwszy zatem pod jakimś pozorem komisarza policyi i własną żonę, która miała mu towarzyszyć, odwiązał gondolę; sznury którymi była przymocowana, w jeden spętawszy węzeł, usiadł nań i z zadziwieniem przytomnych puścił się w górę, trzymając się jedną ręką powrozdów a drugą pozdrawiając publiczność. Z trwogą spoglądano za śmiałym żeglarzem, który prznosił

śmierć nad pozór złamania słowa. Majestatycznie wznosił się balon w górę i w wysokości prawie tysiąc dwieście stóp suwał się najprzód ku górze Corso, ale nagle zmieniawszy kierunek, zwrócił się szybko ku zatoce Triestańskiej. Wszyscy mieli Arbana za zgubionego i serdecznie go żalowali; żona jego w największej rozpacz przeżyła całą noc na skale Molo San Carlo, i w sercach wszystkich wielkie wzbudzała politowanie. Natychmiast ruszyło wiele łodzi w tę stronę, gdzie się balon posuwał, ale noc minęła, a o losie Arbana żadnej nie było wieści.



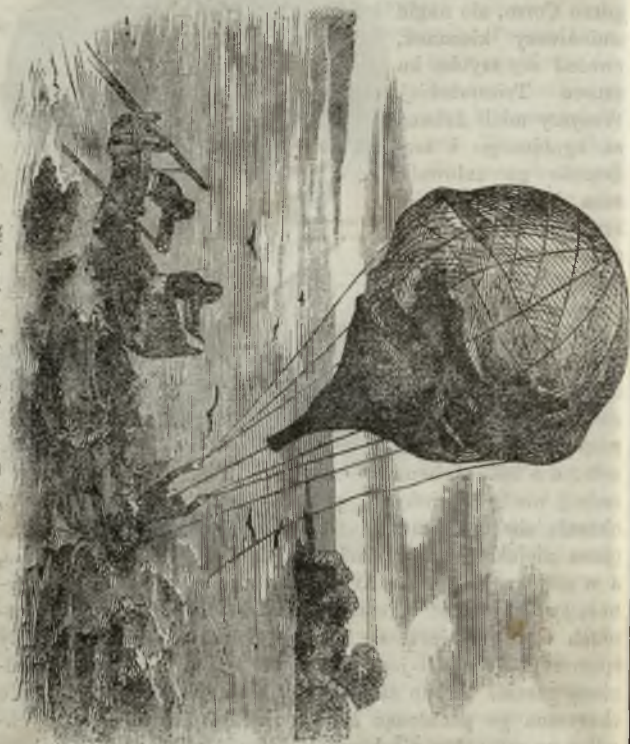
Spalochron Robertsona.

Dopiero nad ranem około godziny 6. ukazała się pod Santa Marittima łódź rybacka, prowadzona przez niejakiegoś Franciszka Salvagnio, rybaka z Chioggia, a w niej znajdował się Arban. Salvagnio wyjechawszy z synem swoim jeszcze w zeszły poniedziałek na połów ryb w toniach Grao, zabierał się właśnie do zarzucania sieci, gdy postrzegł Arbana i jego balon już tylko do połowy napełniony gazem. Arban aż pod szyję w wodzie, opierał się silnie chcącemu go pochłonać żywiołowi. Pospieszyli mu natychmiast na ratunek a ujechawszy blisko 2 mile włoskie, około godziny 11 na wieczór wyrwali go z rąk niechybnej śmierci. Zznał on, iż już przed godziną 8 wpadł w morze, a miotany na wszystkie strony przez bałwany musiał bardzo dużo wody polykać. Tak więc porywezość swoją, która go łatwo życie kosztować mogła, przyplacił tylko lekką febrą, bez żadnych dalszych złych skutków.

Ku uzupełnieniu obrazu nieszczęśliwych przygód, wspomnimy jeszcze o kilku innych podobnych wypadkach, które

się częścią w dawniejszych, częścią w nowszych wydarzyły czasach, a które jedynie w szalonej junakieryi napowietrznych żeglarzy miały swoją przyczynę.

Niebezpieczeństwo Arbona w Tybecie.



Po śmierci sławnego aeronauty Blancharda, odbywała żona jego napowietrzne wyprawy. Pomimo to, że już sobie dość znaczny uzbierała majątek, nie przestawała jednak dość często, a niekiedy z szaloną nawet odwagą, puszczać się balonem. Nieraz opuściwszy wieczorem ziemię, w łódce balonu spokojnie przespała noc całą w powietrzu aż do rana. Już w roku 1817 zaledwo uszła śmierci, gdy balon spadł na błota; lecz szczęściem dla niej, zawisł na gałęziach drzew i wisiał

tak długo, aż jej zdążono przybyć na ratunek. Ale ta przestroga była dla niej płonna. Dnia 16. Czerwca 1819 r. puściła się z ogrodu Tivoli w Paryżu, a chcąc zrobić publiczności przyjemną niespodziankę, machinę zapobiegającą nagłemu spadaniu obwinęła wieńcem bengalskich ogni i do zapalenia ich użyła lontu. Właśnie nastąpił nieszczęśliwy obrot balonu tak, iż gaz zachwyił ognia i w mgnieniu oka cały balon był w płomieniu. Można było widzieć dokładnie z dołu, z jaką usilnością ta nieszczęśliwa starała się ugasić płomień przez ściśnienie balonu, a gdy widziała próżne swe usiłowania, spokojnie usiadła w gondoli i oczekiwała dalszego losu. Jakoby meteor jaki świecił się palący gaz, a balon zaczął się zwolna spuszczać i możeby była szczęśliwie stanęła na ziemi, gdyby nie był powstał mocniejszy wiatr. Ale silny prąd porwawszy balon rzucił go ku Paryżowi i uderzył o dachy. Urwała się gondola i zsunęła z pochyłego szczytu kamienicy na bruk wraz z panią Blanchard, a słowo „ratunku“ było ostatnie, które wyrzekła. Podniesiono ją z czaszką zupełnie strzaskaną. Wszytek gaz wypalił się wewnątrz, ale balon był prawie nieuszkodzony. Smutny był wprawdzie koniec téj kobiety, ale go jedynie nieroztropności przypisać należy.

O smutnej wyprawie Gypsona w powietrze podczas nocy.

Od czasu jak markiz d'Arland i Pilatre de Rosier odważyli się powierzyć życie swoje miotanemu przez wiatry balonowi, czyli od dnia 15. Października 1783 roku, żadna wyprawa w powietrze nie była tyle niebezpieczną jak ta, którą przedsięwziął w dniu 9. Lipca 1847 r. w ogrodzie Vauxhall w Londynie, niejakiś Gypson. Gdy pominiemy nieszczęsną próbę p. Pilatre i jego towarzysza Romain, których balon zapalił się na wysokości 3000 stóp i spadł pod Boulogne, gdzie obadwaj na miejscu utracili życie, tylko przypadek król. astronomia Sig. Carlo Brioschi z Neapolu i włoskiego aeronauty Sig. Andreani mógłby z powyższym pójść w porównanie. Ci dwaj ostatni albowiem, chcąc wzbić się jeszcze wyżej jak przed dwoma laty wzniosł się Gay Lussac, dostali się we warstwę tak przerzedzonego powietrza, że balon pękł, a lubo szczątki



<http://rcin.org.pl>
Przygoda Gypsona w nocnej miedziem wycieczce.

jego bronili ich od zbyt gwałtownego spadnienia, jednak Brioschi tak się skaleczył, że w skutek tego wkrótce umarł.

Tego właśnie wieczora, kiedy Gypson wznosił się w górę balonem, puszczano w ogrodzie sztuczne ognie; zatem postanowił Gypson wyprawić podobneż widowisko w powietrzu. Wieczór był zimny i mglisty, a nad Londynem głęboka panowała cisza, zapowiadająca zbliżającą się burzę. Albert Smyth, który wraz z Coxwellem i Pridmorem byli uczestnikami tej wyprawy, tak o niej mówi w sprawozdaniu swoim: „Nakoniec już wszystko było do podróży przysposobioném. Zabraliśmy z sobą cokolwiek żywności, gdyż Gypson, na przypadek, gdyby bardzo ciemno być miało, postanowił noc całą przepędzić w górze. Włożywszy jeszcze 6—8 worów z piaskiem jako ballast do łódki, daliśmy znak do puszczenia balonu. Zagrzmiała muzyka, odezwały się radosne okrzyki ludu, a statek nasz pędząc z ogromną szybkością ku górze, obrócił się w biegu. Będąc już dość wysoko, chcieliśmy za pomocą wystrzału zapalić fajerwerk zrobiony pod balonem w kształcie korony. Pierwszy wystrzał chybił, lecz za drugim wytrysnęły precudne różnobarwne fontanny ognia, tworząc cudny w powietrzu widok. Tymczasem pokazały się także fajerwerki w ogrodzie Vauxhall, a z wysokości ujrzeliśmy nietylko jasność ale nawet puszczone rakiety. Często oświeciła nam błyskawica to całe panorama, lecz to działo się tak przelotnie, iż nie zdołaliśmy pojedynczych rozpoznać przedmiotów. Nad naszemi głowami migaly miliony gwiazd na niebie.

Dążyliśmy coraz wyżej, a będąc już na 7000 stóp wysoko oznajmił nam Coxwell, który siedział nad łódką pomiędzy sznurami i trzymał sznurki wentyla, że się balon w skutek bardzo już przerzedzonego powietrza nadzwyczajnie wyprężył. Gypson rozkazał wypuścić natychmiast nieco gazu, ale zaledwo Coxwell uchylił cokolwiek wentyl powstał szum podobny temu, jaki sprawia wypuszczanie zbytecznej pary z lokomotywy, a dolna część powierzchni czyli powłoki balonu, skurczyła się ku górze. „*Wielki Boże! cóż się stało?*“ zawołał Gypson, i nim jeszcze Coxwell zdołał wymówić: „*zginęliśmy, wentyl...*“ już balon lotem błyskawicy pędził ku ziemi. Dwaj drudzy towarzysze wydali przeraźliwy krzyk trwogi i jęliśmy co tchu wyrzucać z łódki ballast i inne przedmioty, ale

wszystko daremnie. Wiatr nam przenikliwie świszczał nad głowami, a na domiar trwogi dostaliśmy się pomiędzy zapalone w powietrzu rakiety, tak że kilka z nich wraz z tlejącym się papierem uczepiło się balonu i sypało na około iskry. W około nieustanna błyskawica, a nasza machina już się trzęść i chwiać poczęła.

Nie wiem jak długo mógł trwać nasz lot do ziemi, ale sądzę, że przynajmniej ze dwie minuty upłynąć musiały. Ocalenie nasze téj jedynie winniśmy okoliczności, że siatka została nieuszkodzoną, przez co utworzył się w górnej części jakoby parasol z jedwabnej materji, który ciśnieniem powietrza uchronił nas od gwałtownego spadnienia. Już ujrzelśmy dachy Londynu, które zdawały się z największą szybkością dążyć ku nam. Za zbliżeniem się szczytów kamienie „zatrzymać” krzyknęliśmy wszyscy razem. W ukośnym biegu uderzyła gondola tak silnie o ziemię, żeśmy przez to gwałtowne wstrząśnienie dostali się pomiędzy siatkę a powłokę balonu i tak byliśmy poplątani, iż nam niepodobna było się ruszyć. Szczęściem że nie spadliśmy na Tamizę, bobyśmy w niej niezawodnie byli grób znaleźli. Mnóstwo ludzi zaraz nas otoczyło, którzy rozwikławszy nas z owych więzów, wieszowali nam szczęśliwego ocalenia. Trudno zaiste uwierzyć, aby podarte szaty, pogniecione kapelusze i kilka sińców były jedynymi skutkami téj przeszło milę angielską długiej podróży, a przecie tak było w istocie.

Przy końcu swojego sprawozdania radzi jeszcze pan Smyth, aby rząd ostro zakazał tym podobne wyprawy nocne, które oprócz nieszczęścia, żadnego nie mają celu. Gypson zaś upomina wszystkich aeronautów, ażeby nim się puszczać w górę, znawcom ściśle balony swoje zrewidować polecili. Przyznaje on, iż stan atmosfery znaczny wywierać mógł wpływ na gaz i sprowadzić ów nieprzewidziany wypadek, lecz utrzymuje zarazem, iż co do ich balonu, przy wentylu musiało koniecznie zajść jakie uchybienie, gdyż inaczej samo tylko otwarcie go za pomocą sznura nie byłoby sprowadziło katastrofy, która o mało nie kosztowała życia czterech ludzi.

Ale zostawmy nieszczęśliwe przygody zaszłe w nadziemskich sferach, a posłuchajmy dwóch innych żeglarzy, którym j - sprzyjały. Pierwszy ma już nam ziemię, jak się

przedstawia obserwowana z wysokości; drugi zaś opisuje szczegółowo wyższe warstwy obłoków podczas dżdżystej sfery.

O podróży napowietrznej Coxwella i Dra Hamme.

Dr. Wilhelm Hamm, który z aeronautem Coxwell wzbijał się w powietrze balonem d. 9. Października 1851 r. w Lipsku tak podróż swoją opisał:

„Pan Coxwell, ze względu na starszeństwo, wybrał mnie z pomiędzy ubiegających się o zaszczyt towarzyszenia mu w napowietrznej podróży odbytej dnia 9. Października 1851 roku. Sylph, balon olbrzymiej wielkości, stał już napełniony gazem; gondola przymocowana, a mistrz bystrzym okiem i z przezornością badał jeszcze całą budowę maszyny, gdy ja już z radością wskoczyłem na bardzo wygodne siedzenie uplecione z prętów. Jeszcze raz doświadczał Coxwell siły balonu, a potem stanął na obręczy pomiędzy właściwym balonem a gondolą. Jak kondor, ów król gór amerykańskich, próbuje wprzód skrzydeł swoich, nim wystrzeli pod obłoki, tak balon po razy kilka podnosił się i opadał, dopóki mistrz za przyciśnieniem sprężyny nie odhaczył liny, która nas trzymała na ziemi. Jużemy wolni — i wśród radosnych okrzyków zgromadzonego ludu zwolna a majestatycznie dźwiga się Sylf ku niebu i dopiero wtenczas przyspieszy biegu, gdy wyrzucimy cokolwiek ciężaru. Nie jestem w stanie opisać tego uczucia, które mnie opanowało w tej chwili, gdy z wysokości spojrzalem na ziemię. Zadziwienie i trwoga miotały mną na przemiany. Mówię trwoga i nie wstydzę się wyznać tego uczucia, bo sądzę, że ktokolwiek po raz pierwszy taką jazdę odbywać będzie, nie zostanie od niej wolnym. Jednakowoż pannaowało ono tylko tak długo nademną, dopóki sam znajdowałem się w gondoli; skoro zaś pan Coxwell zajął obok mnie miejsce, natychmiast mnie opuściło. Ta pewność i spokojność, która go nie odstępowała ani na chwilę, najbojaźliwszego uspokoićby mogła, a przytém usiłował przekonać mnie, że daleko bezpieczniej jest jechać balonem, aniżeli jakimkolwiek innym parowcem. Balon, mówił Coxwell, ulega tylko niektórym przypadkom, gdy przeciwnie pociąg kolei żelaznej co krok zgubne natrafić może przeszkody. W przedziagu 5 minut barometr



Wyprawa Cokswella w Lipsku.

<http://rcin.org.pl>

wskazywał już 4,100 stopni wysokości, a temperatura spadała do 10^0 podług Réaum. Przed naszymi oczyma nieprzejrzone na wiele mil w około rozciągało się panorama. Lubo niebo zakryte było chmurami, jednakowoż te tak wisiały wysoko, że nam bynajmniej nie zasłaniały czarującego widoku. Pierwszém co nas najbardziej zadziwiło, była powierzchnia ziemi; szeroka jęj płaszczyzna wydała nam się wklęśła w kształcie kociołka, którego środek leżał pionowo pod nami, wystające zaś brzegi stykały się z widnokręgiem nieba. Czyżby i to nie miało być dowodem kulistego kształtu ziemi? Lipsk przedstawiał nam się tak małym, że go na jednym półmisku postawiłoby można, płynące zaś około miasta rzeczki, połyskiwały jak srebrne nitki na ciemnej sukni, z dalekich lasów unoszące się mgły zaczęły zakrywać nam widok, wszystkie zaś wśród drzew osady miały postać ptaszego gniazda w trawie. Jedném słowem, tego zajmującego widoku żadne pióro określić nie zdoła.

A my ciągle wznosimy się jeszcze wyżej, przychodzimy w inną warstwę powietrza, która nam tylko przez obrócenie się balonu w koło swęj osi uczuć się daje. Wszystkie pod nami przedmioty stają się coraz mniej wyraźne i tylko już rozrzucone tu i owdzie kępy lasów odznaczają się nieco, jakoby sine plamy na zielonej sukni. Jedziemy 10 minut i jesteśmy już 5600 stóp wysoko, temperatura wynosi 5^0 . Nie ze wszystkiém napełniony balon napęczał niezmiernie w warstwie czystiejszego powietrza, a siła rozprzestrzeniająca wypychała silnemi strumieniami gaz przez dolne szczeliny balonu. Coxwell uznał za konieczne otworzyć wentil. Zamknięcie klapy za pomocą sprzężyny wydaje tak mocny i przeraźliwy odgłos w tęg nadziemskiej pustyni, że uszy pozatykać trzeba. Za wypuszczeniem gazu spadł balon w 5 minutach o 2300 stóp. Już nas dochodziły głosy z ziemi; slyszeliśmy, jak we wszystkich wsiach, nad któremi przelatywaliśmy, zebrany lud wydawał okrzyki radości na widok tak niezwykłego zjawiska; ale wśród tych milionów czarnych punktów, któremi nam się ziemia okrytą zdawała, nie zdołaliśmy ani jednej ludzkiej istoty rozeznać. Dotąd byliśmy samodzierncami nadziemskich krain, ale otóż mamy teraz współzawodników. Stado ptaków, których rozpoznać nie mogliśmy, ciągnęło daleko pod nami w tym

samym kierunku. Spłoszone zapewne ogromnym naszym statkiem, nagle wracały do swoich siedzib i w kilka sekund już je straciliśmy z oczu. Ciemności wieczorne poczęły zalegać ziemię, granice widnokręgu coraz się zcieśniały, a na czarném tle ziemi widać już tylko było białe kościoly i srebrzyste wody. Padająca na wodę cień balonu uroczy tworzyła widok. Na prośbę moją pozwolił p. Coxwell wzbąć się balonowi nieco wyżej, przez wyrzucenie 2 worów z piaskiem wilgotnym, mialko przesiewanym, który nam służył za ballast. Tego poruszenia bynajmniej nieuczuliśmy i tylko rzucane w powietrze kawałeczki papieru, które jak olów ku ziemi nagle spadały, były dowodem szybkości, z jaką dążyliśmy w górę. Tymczasem obwinęliśmy na kotwicy mocną linę uplecioną z nitek kokosowego orzecha, a przywiązawszy drugi koniec jej do łódki, zrzuciliśmy ją na dół tak, że 150 st. wisiała pod nami, przyczepiona na drugim końcu liny. Gaz rozprzestrzenił się tak mocno, iż po dwa razy musieliśmy otwierać klapę. O kwadrans na 6. znajdowaliśmy się o 6700 stóp nad ziemią. Termometr pokazywał 3 i 4°. Po 10 minutach już byliśmy 9200 stóp a termometr stał na 1°—0, i zimno przejmować nas już zaczęło. Oprócz pewnego wysuszenia i wyprężania skóry, nie czułem żadnych dolegliwości ciała. Jakże mały był ten świat pod nami! Lasy, to zielone plamy mchem porośłe, rzeki, to cienkie szklanne nitki, a siedzib ludzkich nawet i dojrzeć nie było można! Ale czas było wrócić ku ziemi, gdyż noc coraz szerszej a szerszej rozpościerała swoje skrzydła. Prądy powietrza pchały balon w tym samym niemal kierunku, który mieliśmy wzbijając się w górę; ciągle trzymaliśmy się linii lipsko-drezdeńskiej kolei żelaznej. Po trzykroć już otwierał Coxwell wentyl, a papier ciągle jeszcze spadał na dół, znów trzy razy otworzyła się klapa a nasze wierne przewodniki w powietrzu dążyły teraz w górę ochoczo. Szparko spuszczał się balon, cośmy przez świst powietrza około uszu wyraźnie rozpoznać mogli. O godzinie 5²/₄ byliśmy już tylko o 4000 stóp nad ziemią i pod naszymi nogami ujrzeliśmy najpiękniejszą część okolicy, którąśmy przebyli. Bieg Mołdawy tworzy tutaj pomiędzy zielonemi pagórkami, setne zakręty; gdzie zwrócisz oko, wszędzie wyrastają dworce z kłobów drzew; liczne wsie i miasta, które przy wzmagającej się coraz bardziej nocnej pomroce tylko

po słupach dymu poznawaliśmy, stanowiły widnokrąg w naszym panoramie, i zdawało nam się że zdążamy do miasteczka Wurcen. Ten krajobraz szczególniejszy na Coxwella wywierał urok, bo mu rodzinne jego przypominał strony. Z lubego dumania przebudził nas szum przesuwającego się pod nami przeciagu kolei żelaznej, który poznaliśmy tylko po daleko ciągnących się za nim kłębach białej pary. Zajmującym był z góry widok, jak te dwa żywioły, powietrze i para walczyły z sobą na wyścigi, zkad jednak balon wyszedł zwycięzko dla tego, że się spuszczał ku ziemi, szukając bezpiecznej dla siebie przystani. Coxwell postanowił przejść Mołdawę i na szerokiej niwie zarzucić kotwicę. Jako doświadczony sternik napowietrznego statku, umiał on tak panować nad siłą jego za pomocą wentyla, że zupełnie tam gdzie chciał zarzucił kotwicę. Jeżeli wzbijanie się balonu w górę zadziwiająco rozwija przed naszymi oczyma widoki, to spuszczenie się jeszcze jest miłszem dla oka. Ów kolos zbliżał się coraz bardziej ku ziemi; zatrudnieni w polach ludzie poczęli uciekać, konie się zbiegały, a mieszkańcy miasta w największym zamieszaniu dążyli na spotkanie niewidzianego dotąd zjawiska. Już kotwica drasnęła ziemię, ale przezorny sternik ujrawszy zabudowania, uniósł się raz jeszcze nieco w górę. Na pagórku zwanym Kieseberg pod miastem Wurcen zachwyciła kotwica drugi raz ziemię, lina się wyprężyła, balon zadrgnął gwałtownie, jakoby się przeląkł, a gondola zaczęła się kołysać tak, iż oburącz było się mocno trzymać trzeba, i nakoniec stanęła na ziemi.

Wrażenie, którego się doświadcza w gondoli balonu, z żadnym innym w porównanie iść nie może. Z wierzchołka góry Säntis w Szwajcaryi, wyniesionego o 7670 stóp nad zwierciadło morskie, napawałem wzrok mój dalekim widokiem śród najpiękniejszej pogody, a jednak nie doznawałem tego uczucia lubości i swobody tak żywo, jak w mizernej łódce balonu. Tu zupełnie inaczej przedstawia się całe panorama, bo nie nie staje na przeszkodzie ciekawemu oku, a nawet pionowo pod sobą wszystkie się pokazują przedmioty.“

Oto jest podróż napowietrzna w porę pogodną, ale zupełnie wydaje się ona inaczej podczas dnia dżdżystego. Gdy jednak nie często zdarzają się takie podróże, a piękne sprawozdanie Dra Kellera z Lipska, jako drugiego towarzysza po-

droży pana Coxwell, zupełnie zasługuje na wiarę, sądzimy za rzecz niezbędną udzielić je czytelnikowi.

O wyprawie napowietrznej p. Coxwell i Dra Keller.

Balon p. Coxwell, największy jaki dotąd w Lipsku widziano, ma 65 stóp wysokości, 125 st. objętości, 35,000 stóp sześciennych przestrzeni, z gondolą o 4 siedzeniach i potrzebuje 25,000 stóp sześciennych gazu do zapełnienia. Po dokładném odważeniu stosunku ballastu do siły balonu, wybiła godzina 5, a Coxwell odrzuciwszy hamulec trzymający balon przy ziemi, z wielką pewnością wzniósł się w powietrze z dziedzińca fabryki gazu. W pierwszej chwili posuwał się nad zachodnią częścią miasta od północnej ku południowej stronie, ale za minut kilka zniknął w gęstych chmurach deszczowych, któremi niebo zakryte było. Gdyśmy się już znajdowali pomiędzy chmurami na 4000 stóp po nad miastem, lekka mgła jakoby gazą zakryła przed nami zachwycający obraz rynku, na którym roily się tłumy jarmarcznych kupców. Mgła ta coraz się bardziej zgęszczała i wkrótce straciliśmy ten widok całkiem z oczu.

Wtenczas utworzył się pod gondolą ciemny obraz z sinych obłoków, któremu ziemia za tło służyła. Nad nami zaś i w około nas przybrały chmury złoto-jasną barwę. Ale ciemności te wkrótce zniknęły, a z nimi ostatnie znaki wskazujące nam ziemię. Niewyraźnie dolatywały nas już tylko pomieszane głosy, i oko żadnego nie zdołało dostrzedz przedmiotu. Trudny oddech i ociążałość głowy, przypominały nam żywo grube mgły jesienne, które jednak co do ciężkości z temi tutaj nie mogą iść w porównanie. Temperatura znacznie się zmieniła i przybrała wilgotne a zimne znamiona. Jednakoż nie dostrzegliśmy spadających kropli, jakie z mgły zwykle się tworzą. Ponieważ przestrzeń nas otaczająca była dla oka nieprzystępną, użyliśmy więc tego czasu do przywiązania kotwicy u liny, poczem zmniejszywszy znów ballastu, nadaliśmy więcej siły balonowi, który téż raptem przesunął się aż do górnych warstw obłoków, blisko na 3000 stóp grubych, przyczem wszakże najmniejszego nie doznaliśmy wstrząśnienia. Zdziwiliśmy się mocno, gdy naraz przed oczyma naszymi utwo-

rzył się przepyszny widok na całym horyzoncie; było to niby morze chmur, rozciągające się od krańca do krańca widnokręgu, jakoby dno olbrzymiego tego sklepienia, które nas przykrywało. Czysta atmosfera nie utrudzała bujającego wzroku na tej ogromnej przestrzeni, na której potworzyły się rozmaite obrazy; jedne jakoby zrobione lekkim pociągnięciem pędzla, inne dziwaczne przedstawiały postacie, a wszystkie zdawały się przybierać kształt powierzchni ziemi ze wszystkimi jej barwami, począwszy od koloru białego, niebieskiego i sinego, aż do słabego magicznego światła. Pozorne zakrąglenie nieba, stykające się, czyli opierające się na pokładach mgły do 2000 stóp od nas odległej, przedstawiały ogromną jakąś czarodziejską jaskinię. Do owej niezem niezakłóconej ciszy w tym zupełnie odrębnym świecie, w środku którego tylko nasz balon bujał, dochodził nas tylko jeszcze lekki szelest toczącego się pociągu kolei żelaznej. Zmieniły się nasze spostrzeżenia nie tylko co do wzroku ale i co do czucia, a oddech zupełnie się odmienił: powietrze było suche i przyjemnie chłodnawe, oddychanie lekkie i wolne a ociężałość głowy zniknęła. Opanowała nas jakaś niepojęta lubość, podobna do tej, jakiej doznaje podróżny wśród promieni czystego wiosennego słońca. Ale ta przyjemność wskazywała nam jeszcze inną w górze; a więc mniej ballastu, a przewodnik napowietrznego statku, kawałek papieru, jak kula spadał na dół z gondoli. Dosięgliśmy drugiej warstwy obłoków, i znów musiał się balon wznieść o 2000 stóp wyżej, aby je przebyć. Nasze w tej warstwie spostrzeżenia podobne były do tych, jakie zrobiliśmy w poprzedniej, z tym tylko wyjątkiem, że chmury były mniej ciężkie; zresztą to samo zimno, chociaż nie tak wilgotne; ten sam trudny oddech i tylko ciężkość głowy zniknęła. Towarzysz podróży, o którym dotąd nie wiedzieliśmy, tutaj nas opuścił, a był nim duży komar. To biedne stworzenie, jedyna po za gondolą żyjąca istota, długo koło nas brzęczał, aż naraz, zapewne zdrętwiały od zimna, zniknął nam z oczu. Nadzieja nasza że wkrótce dostaniemy się znów na wolne powietrze nie ziściła się, ale ten zawód nam się opłacił. Skoro minęliśmy drugą warstwę obłoków, ujrzeliśmy takąż budowę samotnego świata w powietrzu, którą podziwialiśmy w niższych warstwach: olbrzymia jaskinia

z obłoków, pełna czystego eterycznego powietrza, której firmament srebrzysta pokrywała mgła, a spód niby sople skał, złożone w jeden obraz rozmaitych dziwacznych postaci; na horyzoncie w fantastycznym układzie odbija się cały ten pod nami będący obraz, jakby osnuty na czarodziejskiej kanwie; niby martwy a przezroczysty jak kryształ, jaśnieje srebrzysto wśród rozlanój na około ciszy, której żadne zgiełku ziemskiego nie przerywają głosy. Wszędzie najmniejszego znaku życia, a przecież żadnego uczucia śmierci. Myśli nasze wśród rozbudzonój fantazyi jak duch Fingala w pieśniach Ossiana pomimowolnie błakały się na pręgach mgły przelatującej nad strumienistą chmur doliną, na stepie zasianym jaśniejącymi ruinami, opasanym martwemi bałwany cichego chmur oceanu. W lubém upojeniu siedzieliśmy w naszej gondoli jak dzieci nad otwartą księgą powiastek i znajdując się między Bogiem a ziemią, dumaliśmy o matce naturze.

„Nie jestże to czarujący widok? zawolał głęboko wzruszony Coxwell, a echo jego głosu było bez dźwięku i biała para z ust jego wiła się jakby wśród mrozu. Żarzące się w balonie światło gazu nie tak było jasne, niecałkiem zaś napełniony balon mocno się wyprężył. Znajdowaliśmy się tuż pod trzecim chmur pokładem może 11,000 stóp wysoko. Było 18 minut po 5tój godzinie.

Cel naszej podróży osiągnięty: wzrokiem uchyliliśmy zasłony obłoków; ilość sklepień mgły, które unosząc się jeszcze nad nami zakrywały słońca promienie, niewiadoma; serce jednak niezatęskniło za dzienném światłem, ale pragnęła pozostać dłużej w tym przepychu pomroki, dla tego oko rozstając się z tym światem cudów tęskno raz jeszcze go żegnało. Wprawna ręka uchyliła wentyl, a ciśnienie powietrza na czaszkę dało uczuć prędkość powrotu. Wnet rozpruł balon drugą mgły warstwę i toczył się z wolna na dół wśród uroczego sklepienia. Pewną ręką trzymając za sznur wentyla, a wprawném okiem pełném zadowolenia śledząc już to wzbijające się w górę skrawki papieru już też wyprężanie jedwabiu, używając na przemian gazu i ballastu, prowadził bezpiecznie Coxwell statek ku ziemi. Już byliśmy w objęciach téj samój mgły, która nas najprzód otoczyła. Massy jój w środku warstwy były gęściejsze, tak że nie mogliśmy rozpoznać kotwicy,

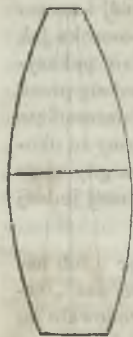
lubo tylko na 130 stóp pod gondolą wiszącej. Ulewny deszcz, który Coxwell już w górze zapowiedział, spadał na balon. Znowu posłyszeliśmy turkot pociągu na kolei żelaznej i szczekanie psów. Pod gondolą rozesłana była gruba pomroka jak wtenczas gdyśmy ziemię stracili z oczu; tu i owdzie pokazywały się jednak jaśniejsze miejsca, aż nagle rozwinął się przed nami świeży obraz i ujrzeliśmy lasy, wsie i łany, przerzniete rzeką Saalą, jakby srebrnym paskiem. Ale mijaliśmy te okolice dążąc ku sterczącemu z dala miastu (Lützen), a gdy wiatr zapędził nas na lewo, postanowiliśmy w bliskości dużej jednej wsi zarzucić kotwice.

Przesunęliśmy się nad dwiema wsiami pytając o ich nazwisko, ale głosu naszego nikt nie słyszał; z trzeciej zaś „*balon, balon*,” doleciały nas okrzyki. To nas spowodowało do spuszczenia się. Za port oznaczył Coxwell ściernisko na wysokim polu, blisko ćwierć mili od wsi, i trzymając się oznaczonego punktu, za pomocą gazu i ballastu, o godzinie 6 $\frac{1}{4}$ spuściliśmy się tak lekko i spokojnie na upatrzonym miejscu, że nie uczuliśmy nawet najmniejszego wstrząśnienia gondoli. Gdyby Coxwell nie był dotąd wykonał jeszcze swojego arcydzieła, owo przybicie do ziemi wśród ulewnego deszczu i niezupełnie spokojnego powietrza, mogło mu bezpiecznie posłużyć za patent na mistrza.

Prędko z okolicznych wsi zbiegli się mieszkańcy mimo pomroki i zaręczali, że widzieli dokładnie od strony Merseburga zbliżający się statek; opisali miejsce w którym się znajdowaliśmy i pomagali nam do zapakowania balonu w gondolę, co o godzinie 7miej uskutecziliśmy. Z powodu coraz bardziej wzmagającego się deszczu napróżno prosiliśmy o wóz i konie do odwiezienia statku. Dla tego widział się Coxwell zniewolonym do przykrycia go słomą, sam zaś przenocował w Koczowie (Kötschau), zkąd nazajutrz zdrowo wyjechał do Lipska.

Jakkolwiek moi czytelnicy nie będą już zapewne mieć téj miłej sposobności towarzyszenia tak śmiałym i wprawnym aeronautom, jak jest Green i Coxwell, jednakowoż może niejeden pała chęcią budowania małych balonów i spuszczenia ich w powietrze. Że zaś to niewiele wymaga pracy i da się bez wszel-

kiego uskutecznić niebezpieczeństwa, niechaj poniższy opis służy im przy tej próbie za wskazówkę.



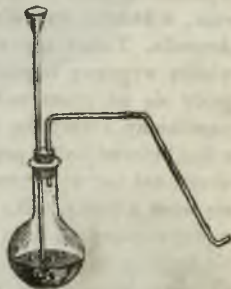
Chcąc robić balon na sposób Montgolfiera, w którym za pomocą ognia przerzedza się powietrze, bierze się 6 arkuszy jedwabnego papieru cienkiego, w różnych kolorach, lamie na półarkusze i

przerzyna się takowe na zgięciach. Jedna z tych dwóch połówek obstrzyga się kabląkowato ku górze tak, aby koniec jeden najwięcej 2, drugi zaś 9 cali pozostał szeroki. Te dwie połowy kleją się mączką szerszemi końcami, a z nich utworzy się tępa elipsa, czyli odcinek. Z tych

6 odcinków, uwzględniając różnaitość barwy, skleja się kula, czyli korpus balonu, który górą zamknąć potrzeba okrągłym kawalkiem takiegoż papieru, do którego jeszcze nitkę przymocować można, ku trzymaniu balonu podczas napelniania go. W dolny otwór wkleja się obrączka wystrugana cienko z hiszpańskiej trzeiny, i przez nią przeciągają się na krzyż pod prostym kątem dwa druty, najlepiej ze strun fortepianu. Spodem pod obrączką można przymocować jeszcze 8 cali szeroką obwódkę. W punkcie, gdzie się druty krzyżują, kładzie się wełniany knot umaczany w spirytusie i zapala się. Ostatnie może tylko podczas cichego powietrza mieć miejsce, przyczém i na to zważać potrzeba, ażeby wzniesionego w górę balonu nie pędził wiatr nad budynki, gdyż zdarza się często, że balon się zapala przez co łatwo mógłby wybuchnąć pożar. Dla tego takie tylko miejsce do puszczania balonu wybierać należy, gdzieby go najmniejszy wiatr odpędził od budynków. Taki balon wzbija się często do znacznej wysokości, i ten który na ziemi był 2 łokcie wysoki, wydawać się będzie w powietrzu jak gęsie jaje; trzyma się zaś często z kwandrans na wysokości i dopiero gdy się powietrze w nim oziębi spada na dół. Nieco więcej trudności następuje zbudowanie i napelnienie balonu podług Charliera, które można także w pokoju puszczać, a bujanie ich w powietrzu sprawia wielką zabawę. Robią się zaś z pozłotki ub z Collodium, t. j. z bawelny piorunującej rozpuszczonej

w eterze, którą w każdej dobrej aptece dostać można. W pękatej butelkę leje się nieco collodium, kłóci się tak długo, aż na całym szkłe wewnątrz flaszki osiedzie powłoka, wysusza się ją przez częste zmienianie powietrza za pomocą dymaczki, nareszcie wyjmuje się ją ostrożnie. Do napełnienia jej potrzeba użyć wodorodnego gazu. Bierze się więc duża butelka od wina, kładzie w nią posiekany cynk, opilki żelazne lub odchody drobne żelaza na $\frac{3}{4}$ grubości, to zlewa się wodą, i zamyka butelkę korkiem, przez który przechodzą 2 szklanne rurki.

Na pierwszą z tych rurek, która aż do wody dochodzić powinna, stawia się górą lejek; do drugiej zaś, która dochodzi tylko tuż pod korek, przytwierdza się lekko balon, tak aby go, gdy się już napełni, można zdjąć z łatwością. Wpuściwszy przez lejek małą ilość, około 30 kropli, kwasu siarczanego, którego coraz po trochu dodać należy, rozwinię się gaz wodorodu i przez drugą rurkę ucho-



dzi w balon. Gdy takowy dostatecznie już się napełnił, należy go związać nitką nad rurką i wtenczas można go puścić w powietrze. Ostrożność nakazuje, aby w bliskości balonu nie było ognia, gdyż rozwijający się gaz łatwo się zapalić i eksplozją zrządzić może. Najlepiej zatem, aby przyrządzeniem tym zajmowali się tylko dorośli ludzie, nie paląc wszakże przy tym cygara ani fajki. W Anglii można takie balony już gotowe kupić, szczególnie przy każdej niemal zabawie ludowej kupują zrobione z tyftyku figury, i puszczają je w powietrze. I tak n. p. przed kilku laty, przy obchodzie rocznicy spisku prochowego z r. 1605, puszczono figurę wyobrażającą postać Guy Fawkes. Że zaś figura ta była duża, dobrze napełniona gazem, i gęstą miała powłokę, wzbila się bardzo wysoko, machając w powietrzu rękami i nogami jak gdyby kroczyła. Zachodni wiatr zapędził ją na wschód w prostym kierunku ku krajom niemieckim, gdzie ją też nazajutrz znaleziono. Właśnie westfalskie chłopcy kosili łąkę, gdy ów babok machając rękami i nogami zbliżał się ku nim. Jużci to, myśleli, nie jest nic innego tylko bies, i uzbrojeni w widły

szli na jego spotkanie, a gdy zupełnie zbliżył się do ziemi, z zapalczywością przebili go na wylot. Nie miły zaduch rozszedł się z jego brzucha; skurczył się i pozostał płat tyftyku.

Jak Guérin poniewolnie wzniósł się w powietrze.

Na zakończenie, może zajmującym będzie sprawozdanie o pomimowolném wzniesieniu się w powietrze niejakiegoś Guérina, o którym nam illustrowana gazeta w r. 1843 z Nantes donosiła. Tamże zapowiedział aeronauta, nazwiskiem Kirsch wielką wyprawę napowietrzną. Liczne tłumy ciekawych zebrały się na promenadzie zwanéj La Fosse. Już był balon napełniony i wszystko do odjazdu gotowe, gdy w tém jedna z lin, któremi balon przywiązany był do dwóch kłocy pękła, druga zaś nie wystarczała na wstrzymanie go, i balon wzbil się wraz z łódką, tylko na jednym końcu przytwierdzoną, oraz z przywiązaną na linie kotwicą. Kilkadziesiąt kroków wlekła się kotwica po bruku i zachwyła kołodziejczyka, 12letniego chłopca, nazwiskiem Guerin; zahaczywszy go za lewą nogawkę, rozdarła ją aż do biodra i objęła go w ukośnym kierunku około brzucha w ten sposób, że drugi koniec kotwicy sterczał mu po prawej stronie nad biodrem. Chłopak, który nie przeczuwał jak niebezpieczną odbywać będzie podróż, pochwycony mocno, drepciał jeszcze czas niejakiś po bruku nim opuścił ziemię.

Instynktowo uchwycił się oburącz liny, jak gdyby z wszelką rozważą był się przygotował i w téj pozycyi umocnił. Z wielkiem przerażeniem zebranych ludzi podniósł go balon przeszło na 300 metrów wysoko. Każdy oczekiwał smutnej katastrofy, lecz jakby jakim cudem Opatrzności, balon zwolna spuścił się niedaleko miasta na łąkę, a chłopak po odbytem straszliwém doświadczeniu młodzieńczej odwagi, wrócił zdrów zupełnie do domu.

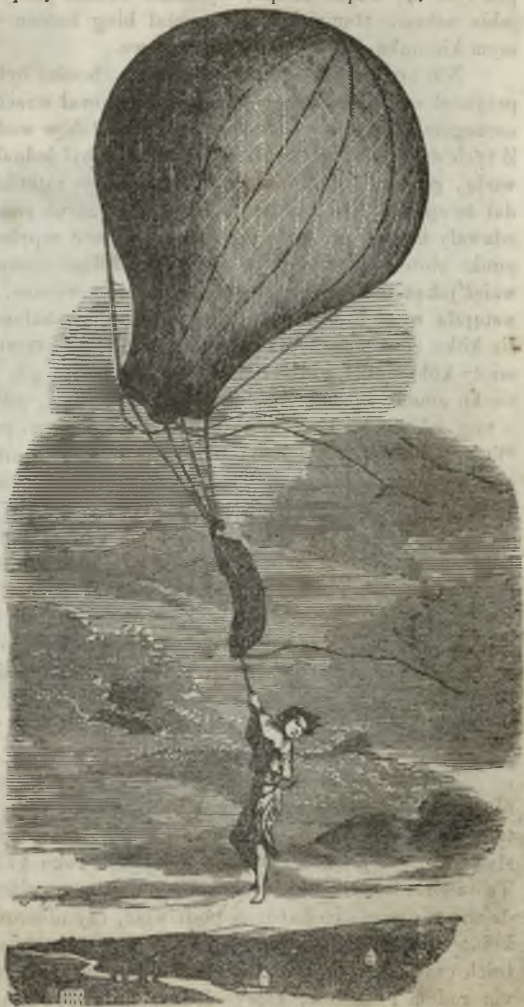
Gdy go przyprowadzono do matki, która nie o tém co się stało dotąd nie wiedziała, opowiadał jej sam różne uczucia, których doświadczał w tak niespodzianéj podróży.

Gdy przyszedł do siebie i rozpoznał poniekąd niebezpieczne

położenie w jakim się znajdował, wśród lkania zmówił najprzód krótką modlitwę za swoją siostrzyczkę a potem za siebie samego; poczem głośno zaczął

wołać ratunku, przyczem go nie opanowało ani zemdlenie ani zawrót głowy.

Gdy z wysokości spojrział na ziemię, poznał do-



piero co się z nim dzieje; wyraźnie widział jakby mrowisko jakie zebrane tłumy ludzi, i uważał bieg balonu w tym samym kierunku, który wziął początkowo.

Nie myśląc tak bardzo o śmierci, chociaż był jój bliski, przyznał się jednak że go ogromny opanował strach, a bał się szczególnież o to, żeby nie spadł na dach lub w wodę Ligierę. Z tych dwojga złego wybierając, wołałby był jednak spaść we wodę, gdyż tu miał jeszcze jakąś nadzieję ratunku. Powiadał że spoglądając raz na balon drugi raz na ziemię, domy zdawały mu się tak małe jak palce, a miasto zupełnie w jeden punkt zbite. Dostrzegł że się balon zniżać zaczynał, i powziął jakąś nadzieję wyswobodzenia się z więzów. Na nowo wstąpiła w niego odwaga. Ale za spadaniem balonu okręciła się kilka razy lina na której wisiał tak że wszystkie przedmioty koło siebie widział tańczące. Nakoniec gdy już zbliżał się ku ziemi, nowa w nim obudziła się trwoga, gdy pomyślał o tém jak się też skończy ta ostatnia stacya jego podróży. — Wtém zobaczył kilku ludzi przy stogu siana i wołał na nich, aby go przyszli ratować bo ginie, ale oni odpowiedzieli mu tylko, aby się nie bał a będzie ocalonym.

Zaraz dwóch przyskoczyło do niego, z których jeden wziął go na ręce a mały Guéria prosił, aby go zaprowadził do wuja swego, który mieszkał przy moście ś. Magdaleny.

Zdrowie jego żadnego nie poniosło szwanku i tylko następnej nocy miał bardzo niespokojny sen; ciągle mu się śniło, że go balon niesie w powietrze i po razy kilka wołał matki na ratunek.

Tak w dawniejszych jakotóż i w późniejszych czasach nietylko sami ludzie wystawieni byli na odbywanie napowietrznej podróży, świeżo zmuszono i konia do téj próby. Najślawniejszą tego rodzaju podróż odbył w roku 1790 niejakiś Testu-Brissi wielkim nowym balonem. Rzeczywiście nie wiadano w ówczas co bardziej podziwiać, czy niezrównaną spokojność konia, czy téż jeźdźca ufność w sobie samym. W ostatnich czasach słyszeliśmy wiele o sławnym aeronaucie Poitevin rodem Francuza, który siedząc na przywiązanym koniu do balonu, puszczał się w powietrze. Koń początkowo zaczął



Obiekt napowietrzny Potona

być niespokojnym, wierzgał w około kopytami, ale gdy balon wzniósł się nieco wyżej, natenczas Pony-Blanche (tak się ów rumak nazywał) zupełnie się uspokoił zwiesiwszy nogi jakby bezwładne. Wtedy widziano owego śmiałego żeglarza jak opuściwszy siodło po drabince ze sznurów wszedł w gondolę, wyrzucił niepotrzebny ballast, i tą samą znow drógą wrócił na siodło. Ta jazda konna potwierdza dawniejsze już mniemanie, że tylko człowiek w rozmaitych warstwach powietrza bez żadnej a przynajmniej z małą trudnością oddychać może i to nawet w najwyższych regionach; gdy przeciwnie koniowi p. Poitevin już w wysokości 3400 stóp szła krew z uszu i nozdrzy. Pan Poitevin spuścił się szczęśliwie na ziemię w Grisi i spokojnie pojechał sobie na swoim Pony nazad do Paryża.



Przejażdżka konna nad ziemią.

Lecz czas już skończyć naszą powieść, dodamy tylko jeszcze objaśnienie rysunku wyobrażającego napowietrzny statek, który zaprojektował niejakiś Pettin z Paryża w celu zrobienia zabawy wielu osobom razem, przez odbycie napowietrznej przejażdżki. Byłoby to oczywiście nader przyjemnym, gdyby mu się udało kierować dowolnie balonem i takowy od wszelkiego uchronić niebezpie-

czeństwa. Cztery wielkie balony, każdy o 90 stóp średnicy miały być spojone razem za pomocą galeryi 450 stóp długości 195 stóp szerokiej. W środku tego przyrządzenia mają się znajdować cztery maszyny chroniące od nagłego upadku (Fallschirme). Podróżni w oznaczonej liczbie, mają zająć miejsca w galeryi. Cała ta machina obmyślona jest bardzo roztro-

pnie i dowcipnie, jakkolwiek wiele jój jeszcze nie dostaje warunków nieodzownych do skutku pewnego, a które dopiero w późniejszych okażą się doświadczeniach. Plan ten dla wielkiego nakładu jakiego wymaga, nie jest jeszcze wykonany, gdyż z trudnością znajdzie się ktoś, coby za piękny projekt chciał oddać swój majątek. Czekajmy więc, czy się plan ten uda ale i wtenczas nie kwapmy się do odbycia pierwszej podróży tym statkiem, bo to może łatwo kosztować szyć.

Gdy rzucimy okiem na historią balonów, musimy otwarcie wyznać, że wszystkie od wynalezienia ich aż dotąd poczynione ulepszenia, niczem są w porównaniu do tego co jeszcze uczynić przyjdzie, chyba że machina pana Petin bardzo nas zbliży do rozwiązania wielkiej zagadki podróży napowietrznej.





F. 3579



BIBLIOTEKA IBL

F
3579